

ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA
DZISIEJSZEGO ŚWIATA
TOM IV

Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata

tom czwarty

Konwersatorium
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją:
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2009

Wydawnictwo SWPR
Szkola Wyzsza Przymierza Rodzin
Ul. M. Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel. (022) 644 07 97
www.swpr.edu.pl

Zapisu z nagrania dokonali:
Andrzej Skoczek, Bogumił Chlebny, Bogdan Motelski,
Łukasz Pobudejski, Łukasz Bujak, Ewa Smolska,
Agnieszka Nishtar, Hanna Rembertowicz

Korekta tekstu:
Urszula Kossowska-Cezak

Fotografie w tekście:
Waldemar Kompała, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Fotografia na okładce:
Piotr Dylak
Autor pomnika: Jole Sensi Croci,
dar dla Papieża włoskich artystów, 1980,
stoi na dziedzińcu Kurii Krakowskiej

Druk publikacji finansowany przez:
Jacka Waksmundzkiego

Druk:
ELPIL, Siedlce

Skład i łamanie:
Joanna Łokietek

Wydanie I

ISBN 978-83-61140-10-8

SPIS TREŚCI

Przedmowa.....	7
<i>Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?.....</i>	<i>9</i>
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi	
<i>Czy starość Panu Bogu się udała?.....</i>	<i>35</i>
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kurczabowa, Izabela Dzieduszycka	
<i>Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?.....</i>	<i>65</i>
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna	
<i>Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?.....</i>	<i>85</i>
Ks. Adam Zelga, (prowadzący), ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska	
<i>Czy to co robię uważam za swoją misję?.....</i>	<i>109</i>
Ks. Adam Zelga, (prowadzący), Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka	
<i>Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?.....</i>	<i>139</i>
Ks. Adam Zelga, (prowadzący), Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarz, Dariusz Kowalski	
<i>Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?.....</i>	<i>169</i>
Ks. Adam Zelga, (prowadzący), Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski	
<i>Moja droga do Pana Boga.....</i>	<i>199</i>
Ks. Adam Zelga, (prowadzący), Monika i Krzysztof Oczkowscy, Zenon Kosicki, Małgorzata Balicka, Jarosław Babicki	

Przedmowa

Z ogromną radością oddaję do rąk czytelnika czwarty tom „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”. Podobnie jak tomy poprzednie zawiera on teksty ośmiu Konwersatoriów (wraz z cytataми), które odbywają się regularnie, w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie, przez cały rok akademicki od października do maja.

Pomysł Konwersatoriów od samego początku był związany z nauczaniem Ojca świętego Jana Pawła II, a Jego nauka była inspiracją dla szukania odpowiedzi na dręczące nas wszystkich pytania. Obecnie wiele tematów, które są poruszane na naszych spotkaniach wyszło już poza zakres bezpośredniego przekazu nauk Ojca świętego, czujemy jednak stale Jego opiekę i błogosławieństwo nad dziełem Jemu poświęconym.

Czwarty tom „Odpowiedzi...” opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu jak i na wypowiedziach uczestników. Należy im się wszystkim serdeczna nasza wdzięczność. Trudno sobie wyobrazić Konwersatoriów bez znakomitych wprowadzeń do poszczególnych tematów Księdza Adama Zelgi oraz sprawnego prowadzenia przez niego spotkań. Również Księdzu Adamowi zawdzięczamy kontakt w wielu wspomniałymi ludźmi, którzy godzą się uczestniczyć w naszych Konwersatoriach.

Powstanie czwartego tomu „Odpowiedzi...” jest dziełem wspólnym dużej grupy ludzi, którzy nie żałują swojego czasu i umiejętności i dokładają swoje „cegiełki”, aby ostateczny efekt był możliwie najlepszy. Żmudną pracę przepisywania tekstu z nagrania zawdzięczamy

ośmiu osobom: Andrzejowi Skoczkwowi, Bogumiłowi Chlebnemu, Bogdanowi Motelskiemu, Łukaszowi Pobudejskiemu, Łukaszowi Bujakowi, Ewie Smolskiej, Agnieszce Nishtar i Hannie Rembertowicz. Dzięki nim moja praca redaktorska jest w dużym stopniu ułatwiona. Bardzo jestem im za to wdzięczna. Ostateczną korektę tekstu dokonuje już czwarty rok Urszula Kossowska-Cezak, doświadczony redaktor, a równocześnie Osoba, na którą zawsze mogę liczyć. Oprawę graficzną zawdzięczamy nieodmiennie Panu Waldemarowi Kompale, dzięki którego fotografiom kolejne tomy są coraz lepiej ilustrowane i zyskują w odbiorze. Jesteśmy Panu wszyscy bardzo wdzięczni. Zdjęcie na okładkę wykonał, na moją prośbę Pan Piotr Dylik (związany z miesięcznikiem „List”), któremu serdecznie dziękuję. Publikację czwartego tomu, podobnie jak i tomów poprzednich, zawdzięczamy wsparciu finansowemu Pana Jacka Waksmundzkiego. Też dzięki niemu „Odpowiedzi...” rozchodzą się szeroko w Polsce, jak również dochodzą do ludzi, których nie stać na zakup książek.

Proces powstawania czwartego tomu „Odpowiedzi...” zadaje kłam stereotypowi Polaka, o którym mówi się, że nie potrafi pracować wytrwale i w zespole. Do tego trzeba jeszcze dodać, że całkowicie społecznie. Dziękuję wszystkim bardzo serdecznie i jestem dumna, że z takim zespołem mam szczęście współpracować.

Następny cykl spotkań zaczynamy w październiku 2009, jak zawsze w trzecią sobotę miesiąca o godz. 11, w siedzibie naszej Uczelni (Warszawa, Ursynów, ul. M. Grzegorzewskiej 10). Teksty wszystkich Konwersatoriów są na naszej stronie internetowej www.swpr.edu.pl. Wszystkie cztery tomy „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” można zamówić drogą internetową (swpr@swpr.edu.pl) lub zakupić w Warszawie w księgarni im. Bolesława Prusa (przy ul. Krakowskie Przedmieście, naprzeciwko Uniwersytetu).

Elżbieta Mycielska-Dowgiatto

*Czy jestem świadomym członkiem
społeczeństwa obywatelskiego?*

Cytaty

Jan Paweł II. Aby dla wszystkich starczyło nam serca
(fragmenty), 7.02.2002 r.

... Wolontariat, jako owoc świadomego, choć niekiedy trudnego wyboru, nie tylko służy w sposób konkretny społeczeństwu, ale zarazem daje mu świadectwo wartości, jaką jest bezinteresowność. Ta wartość, sama w sobie bardzo wymowna, jest przeciwwagą indywidualizmu, który, niestety, bardzo się rozpowszechnił w naszych społeczeństwach, szczególnie najbogatszych. Choć nierzadko może się wydawać, że stosunki społeczne są zdominowane przez względy ekonomiczne, to właśnie działalność wolontariuszy ukazuje centralne miejsce człowieka. Osoba, tylko dlatego że jest osobą, zawsze zasługuje na to, by jej służyć i by ją kochać, zwłaszcza wtedy, gdy zagraża jej zło, gdy cierpi, gdy inni ją odpychają i nią pogardzają.

... Dla chrześcijan powołanie to zakorzenione jest w Chrystusie. Jezus z miłości, bezinteresownie dał swoje życie za braci. Wierzący idą za Jego przykładem. Biorąc udział w różnorodnych akcjach humanitarnych, mogą w sposób autentyczny i skuteczny zachęcić niewierzących do otwarcia się na głębię ewangelicznego przesłania. W sposób konkretny ukazują oni, że Odkupiciel człowieka – obecny w ubogim i cierpiącym – chce, aby Go rozpoznano i kochano w każdym człowieku.

Bartolomeo Sorge S.J. Wykłady z Katolickiej Nauki Społecznej. Dojrzała demokracja (fragmenty).

Według Urzędu Nauczycielskiego Kościoła demokrację można uważać za dojrzałą czy „autentyczną” wtedy, gdy spełnia ona zbiór nieodzownych warunków, takich jak: **praworządność** (na której opiera się „państwo prawa”), **solidarność** (będącą odbiciem „podmiotowości” społeczeństwa) i **uczestnictwo** (poprzez struktury „pomocniczościowe” cieszące się rzeczywistą współodpowiedzialnością).

W świetle tych przewodnich wskazówek trzeba więc, w pewnym sensie, wymyślić na nowo państwo socjalne, jeśli chce się przezwyciężyć kryzys, z jakim ono się obecnie boryka, i stworzyć wreszcie prawdziwie dojrzałą demokrację, odpowiednią dla wyzwań, które stoją przed nami.

W praktyce „praworządność” oznacza przełożenie na reguły postępowania tych wielkich zasad „gramatyki etycznej”. Są nimi: prymat osoby ludzkiej i jej niezbywalnych praw; solidarność ze wszystkimi, ze szczególnymi przywilejami dla najsłabszych; uczestnictwo i współodpowiedzialność obywateli, poprzez rozmaite prawomocne instytucje pośredniczące; troska o dobro wspólne, pojmowane przede wszystkim jako osiąganie poziomu życia w pełni ludzkiego.

Odnowione państwo socjalne, w sposób znacznie różniący się od państwa opiekuńczego i klientelistycznego, powinno ćwiczyć swoją solidarną praworządność.

Specyfika „trzeciego sektora” państwa socjalnego polega na fakcie, że zrodził się on właśnie jako spontaniczna reakcja wobec nowych form ludzkiego ubóstwa, niedostatku społecznego i marginalizacji, oraz wobec niezdolności (lub też braku dobrej woli) ze strony państwa, by temu zaradzić.

Stół nie może stać na dwóch nogach. Rynek i instytucje publiczne, nawet te odnowione, to zbyt mało, by utrzymać na nogach nowe państwo socjalne. Potrzebne jest jeszcze społeczeństwo obywatelskie, trzecia noga od stołu.

Istnieje już obecnie droga łączenia sprawności ekonomicznej i solidarności: jest nią nowa symbioza pomiędzy rynkiem, państwem i społeczeństwem obywatelskim, pomiędzy trzema nogami od stołu. Symbioza taka jest możliwa do osiągnięcia nawet szybko, ponieważ nie wychodzi się od zera. Rzeczywiście, sam kryzys starego modelu państwa pobudził spontaniczną inicjatywę wielu prywatnych grup, które już od dawna i w sposób ciągły poświęcały się usuwaniu najpoważniejszych niedostatków społecznych.

Istnieje i jest nadzwyczaj żywotny „trzeci sektor” (składający się z licznych form wolontariatu, kooperacji i stowarzyszeniowości), obejmujący zarówno grupy świadczące usługi w zamian za wynagrodzenie, jak i grupy działające bezinteresownie, w imię idei solidarności (*non profit*).

Podsumowując, nadeszła chwila, w której należy przyznać także i „trzeciej nodze” całą należną jej autonomię, po to by stół mógł stać, czyli by państwo socjalne – ta ważna zdobycz naszej cywilizacji – nie tylko nie zostało zniszczone, lecz by ożyło ponownie przeorganizowane.

Agata Adamowicz i Wacław Maślanka.
Jak wpłynąć na poprawę warunków życia Polaków

„Trzeci sektor” czyli organizacje pozarządowe, zrzeszające ludzi o szerokim potencjale profesji i możliwości społecznych, złączonych pewną ideą i realizujących swój własny program naprawczy – wpływa na poprawę atmosfery w środowisku lokalnym. Przyczynia się to do poprawy jakości życia. Od tych organizacji zależy dziś bardzo wiele. Szeroki margines biedy i ubóstwa w Polsce, stwarza wręcz konieczność działania na rzecz potrzebujących. Jest to realizacja postawy obywatelskiej. Jest to obowiązek chrześcijanina, jak określa to Papież Jan Paweł II:... „jeśli widzisz, że ktoś upada – pomóż mu – to wskazuje wyraźnie wiara i jej istota”...

Potencjał ludzkich serc gotowych pomagać innym, jest w Polsce duży i wymaga pobudzenia i wsparcia.

Andrzej Zoll. Jeszcze o bezradności

Obserwujemy dzisiaj zjawisko osłabienia aktywności obywatelskiej, powrotu do postawy oczekującej i roszczeniowej. Nie ma innej drogi do powstrzymania tych niekorzystnych zjawisk, jak budowa społeczeństwa obywatelskiego, a więc aktywizacja samych obywateli i ich organizacji.

Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski (burmistrz Wilanowa), Krzysztof Zanussi (reżyser)

Ks. Adam Zelga

Denerwuje mnie trochę sformułowanie: społeczeństwo obywatelskie. Współczesna nowomowa, tak ongiś rozpowszechniona w kołach urzędowo-partyjnych. Kiedyś Prymas Wyszyński rozmawiał z Gomółką o pozostawieniu łaciny w szkole. Gomółka się nie zgadzał, tupał, walił pięścią w stół i mówił, że tak musi być. Wtedy Prymas Wyszyński odpowiedział: „Panie Sekretarzu, gdyby nie było łaciny, nie byłoby określenia Plenum Komitetu Centralnego”.

Stworzyłem na własny użytek definicję tego, co nazywamy owym społeczeństwem obywatelskim. Jest to świadoma siebie wspólnota ludzi realizująca obrane cele i zdolna do ofiarowania siebie dla tych celów.

Dzieląc się swoimi doświadczeniami, opowiem, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z tym, co nazywamy społeczeństwem obywatelskim. Było to w roku, kiedy był mecz Polska-Anglia na Wembley. Wtedy z akademika przy ul. Kickiego pomaszerowaliśmy szczęśliwi pod ambasadę brytyjską. Po raz pierwszy zrozumiałem wtedy, jako dwudziestoparoletni student, że my Polacy mamy niesamowite zdolności do samoorganizacji. Były tam ogromne tłumy ludzi, które się błyskawicznie same zorganizowały w przemarszu ulicami. Pojawili się natychmiast ci, którzy nas prowadzili. Rondo obchodziliśmy prawidłowo, były też okrzyki, radosne śpiewy. To spotkanie było czymś niesamowitym.

Drugą taką próbą tworzenia społeczeństwa obywatelskiego było duszpasterstwo akademickie, w którym uczestniczyłem na Grochowie. Duszpasterstwem tym kierował wówczas ks. Józef Maj,

który skupiał wokół siebie młodzież akademicką, jak i młodzież robotniczą z Grochowa.

Trzecie moje doświadczenie społeczeństwa obywatelskiego było, kiedy pojawiłem się na Wolicy, czyli 300 metrów stąd, jako obcy człowiek, proboszcz „przyniesiony w teczce”, z zadaniem budowy kościoła. Będąc jeszcze wikariuszem u św. Katarzyny, poprosiłem o spotkanie z moimi przyszłymi parafianami i zastanawiałem się, ile osób przyjdzie. Przyszło ponad trzydzieści osób. W większości byli to starzy rolnicy z Wolicy. Stanęli oni przy mnie jako pierwsi, może dlatego, że byli najbardziej zintegrowani. Mieli w sobie poczucie wartości gromadzenia się wokół jakiegoś celu i gotowości do ofiar, nie tylko pieniężnych, ale i rzeczowych. Dla nich oczywistą rzeczą było, że kościoły budują społeczności, a nie firma.

Rafał Miastowski

Ze społeczeństwem obywatelskim spotkałem się po raz pierwszy w organizacji harcerskiej, z której się wywodzę.

Czy potrafimy być świadomymi członkami społeczeństwa obywatelskiego? – pytanie postawione nam w temacie Konwersatorium. Uważam, że każdy, kto stara się odpowiedzieć na to pytanie, staje się już świadomym członkiem tego społeczeństwa. Odpowiedź jednak często nie jest prosta. Chciałbym zwrócić uwagę na wybory, których musimy dokonywać. Często okazuje się, że skupieni wokół jakieś idei, bez względu na to, ile mamy lat, czy dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, czy pięćdziesiąt, stajemy przed wyborami, które już nie są białe lub czarne, ale mają odcienie szarości. Szarości wynikającej, na przykład, z naszych zobowiązań względem najbliższych.

Odkąd zostałem urzędnikiem w mieście stołecznym, spotykam się z innymi, znacznie trudniejszymi problemami niż te, które znałem z harcerstwa.

Społeczeństwa zgromadzone wokół pewnej idei stają się często społecznościami interesów, które tworzą się po to, by mieć drogę koło domu lub jej nie mieć, mieć placówkę pożytku publicznego na swoim osiedlu lub też jej nie mieć, bo okazuje się, na przykład, że wybudowanie drogi pod czyjąś rezydencją spowoduje spadek wartości majątku. Każdy patrzy w takich sprawach przez pryzmat własnego ja, swojego interesu, interesu małej ojczyzny, ale wielokroć

po prostu – swojej własnej wygody. I w tej ojczyźnie, w dzielnicy, takiej jaką jest, na przykład, Wilanów, którą nazywamy raz królewską, a raz wiejską, społeczności zupełnie czegoś innego oczekują od władzy, od urzędu i porządku publicznego, który jest poniekąd narzucany. Ludzie nie rozumieją tego, że rzeczy, które są im w tej chwili obce i niezrozumiałe, w przyszłości mogą chronić i wydaje im się, że każde działanie jest im na złość.

Tych dylematów, przed którymi stoję co poniedziałek, kiedy przyjmuję interesantów, mieszkańców Wilanowa, jest bardzo dużo. Przychodzą pojedynczy ludzie, grupy ludzi, przedstawiają swoje racje i mówią – prosimy, prosimy, prosimy. Odpowiadam, że rozumiem i jestem w stanie coś zrobić, pomóc, a nagle okazuje się, że sąsiad zza płotu mówi coś innego, bo on chce bronić swojego interesu. Zastanawiam się, jak znaleźć złoty środek, aby wszystkich zadowolić?

„Moja parafia” to kilka ulic, gdzie każda ulica chce czegoś innego. Pogodzić to, w myśl jednej idei, ażeby wszystkim było dobrze, nie jest takie proste. Wciąż nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Równocześnie zdaję sobie sprawę, że społeczeństwo obywatelskie, ojczyzniane, czy zgromadzone wokół jakiejś idei jest podstawą egzystencji państwa, bo z tych małych społeczeństw tworzą się duże idee, duże partie i realizowane są duże cele, do których dążymy. Tylko jak to pogodzić?



Fot. 1. Paneliści: od lewej Krzysztof Zanussi, Rafał Miastowski, Dorota Cichocka i Jacek Cichocki

Jacek Cichocki

Podobnie jak ksiądz Adam mam problem z hasłem „społeczeństwo obywatelskie”, gdyż uważam, że jest to termin wytrych – wielokrotnie wymieniany, a nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Przygotowując się do tego spotkania zastanawialiśmy się, podobnie jak Ksiądz, nad definicją tego pojęcia.

O społeczeństwie obywatelskim możemy mówić wówczas, gdy ci, którzy je tworzą, mają prawo i możliwość wpływania na losy tej społeczności, chcą z tego korzystać i są świadomi, że ponoszą współodpowiedzialność za to korzystanie.

Pamiętam, jak w połowie lat dziewięćdziesiątych pierwszy raz w Warszawie odbywało się Forum Inicjatyw Obywatelskich. Na otwarciu występował jeden z wybitnych decydentów, zaangażowany wcześniej w opozycję. Podczas dyskusji zadano mu pytanie: „Kiedy Pan po raz pierwszy poczuł, że współuczestniczy Pan w społeczeństwie obywatelskim?” Pytający spodziewał się w odpowiedzi dat 1980 lub 1989, tymczasem usłyszał:

„Zaskoczę Pana, był to rok 1983. Wracaliśmy wtedy ze Mszy świętej papieskiej na Stadionie Dziesięciolecia. Niestety spóźniłem się na tę Mszę i nie wszedłem do sektora. Stałem poza koroną. Słuchałem przez moje radyjko Mszy świętej, choć niewiele słyszałem. Byłem zmartwiony, bo nie uczestniczyłem w niej i nie widziałem Papieża. Potem wracaliśmy piechotą przez most Poniatowskiego, zamknięty dla komunikacji. Ludzie szli ze stadionu wszyscy razem. Im dłużej szliśmy, tym silniej odczuwałem, że opada ze mnie zdenerwowanie, a wypełnia radość. Przy rondzie „de Gaulle” a mijaliśmy policjantów, którzy kierowali ruchem i oni się do nas uśmiechali. Pierwszy raz w moim życiu widziałem uśmiechającego się do mnie milicjanta, bo najczęściej on mnie bardzo nieprzyjemnie rewidował. I wtedy nagle poczułem, że nie musi być tak, że są „oni”, którzy nami rządzą i „my” którzy się bronimy, aby nas za bardzo nie zgnębili. Poczułem, że z tymi „onymi” może się zdarzyć coś, co wszystko zmieni. Była to bardziej impresja niż jakikolwiek plan polityczny. Po raz pierwszy zobaczyłem w tych policjantach, że to są mieszkańcy tego samego kraju, tak samo Polacy i być może oni podobnie przeżywają spotkanie z Ojcem Świętym jak ja.

Decydujące jest więc poczucie, że to, co się dzieje na poziomie wielkiej polityki, na poziomie dzielnicy czy na poziomie szkoły, do której chodzą nasze dzieci, współzależy ode mnie. Jeżeli coś mi się

nie podoba i staram się to poprawić, to muszę wiedzieć, że za to będę ponosił odpowiedzialność. W tym momencie staję się członkiem społeczeństwa obywatelskiego. Natomiast jeśli będę ciągle przekonany, że jacyś „oni” za mnie decydują, czy to będą politycy, czy to będą media, czy Pani dyrektor w naszej szkole i że nic się nie da zrobić, to do tego społeczeństwa nie należę. Mówię o tym, bo to jest bardzo bliskie naszemu sercu. Parę rzeczy nie podobało nam się w podstawówce naszych córek. Okazało się, że są mechanizmy, z których rodzice mogą skorzystać i wymóc na pani dyrektor zmianę sytuacji, zaaprobować zmiany, a później zgadzać się na ich konsekwencje.

Dam przykład z wielkiej polityki. Przez lata zajmowałem się analizą i obserwacją tego, co się dzieje na wschód od polskiej granicy. Przyzwyczailiśmy się w naszej pracy do stwierdzenia, że tak naprawdę mamy do czynienia z różnego rodzaju niedemokratycznymi systemami politycznymi, w których społeczeństwo jest bierne, nie jest obywatelskie. Ci ludzie nie czują, że coś mogą zmienić, albo rzeczywiście nie mogą, bo państwo prowadzi tak swoją politykę, żeby mieszkańcy nie byli w stanie na nią wpływać.

Wielkim zdziwieniem i zaskoczeniem dla nas wszystkich była słynna pomarańczowa rewolucja na Ukrainie. Nie ze względu na aktorów politycznych, którzy się nie zmienili. Prezydent Juszczenko był premierem u prezydenta Kuczmy, pani premier Tymoszenko w tamtych czasach była ministrem. Natomiast to, co się zmieniło, to mieszkańcy tego kraju. Nie bardzo ich wcześniej docenialiśmy jako obywateli. Wyszli na ulicę i metodą pokojową powiedzieli: nie, nam się to nie podoba, tak to nie może dalej funkcjonować. W wyniku fałszerstw ograniczono im realne możliwości wybierania, więc musieli wyjść na ulicę. Zrobili to w sposób pokojowy, zorganizowany i na taką skalę, że to zaskoczyło Europę.

Mnie dzisiaj żal tych ludzi, którzy wtedy wychodzili na ulicę, a teraz muszą patrzeć na zamieszanie, które cały czas ci sami liderzy im fundują. Ta energia obywatelska się rozwija, ale nie tak, jak by mogła się rozwijać.

Jest to jeden z przykładów na podaną wcześniej definicję. Mamy do czynienia ze społeczeństwem obywatelskim. Ludzie, którzy w nim żyją, mają prawo współdecydować o tej społeczności, chcą to robić i to robią oraz mają świadomość, że ponoszą konsekwencje tego swojego wpływu, czyli mają poczucie współodpowiedzialności.

Rozumiem, że mimo iż społeczeństwo obywatelskie to jest takie hasło obracane wiele razy, to trzeba dbać, aby je cały czas tworzyć i uczyć się bycia obywatelem, a poprzez wychowywanie starać się, aby nasze dzieci wyrastały na obywateli.

Dorota Cichocka

Chciałabym powiedzieć właśnie o takiej drobnej sytuacji z naszego domowego ogródka, która dobrze pokazuje, czym jest wychowanie do współodpowiedzialności. Wychowujemy czwórkę dzieci. Pewnego dnia przyszła do mnie moja córka i mówi tak: „Wiesz, mamusiu, dzisiaj w szkole robiliśmy sałatkę jarzynową, a ja miałam przynieść marchewkę i coś jeszcze”. Rzeczywiście, miała to zapisać w dzienniczku. „Ale ja nie przyniosłam, bo zapomniałam. Ale nic się nie stało, bo ktoś inny miał te marchewki, bardzo fajnie wszystko zrobiliśmy i nawet nikt nie zauważył, że nie przyniosłam warzyw”. Wysłuchałam córki i dałam jej niezłą burę. Ona zdziwiona odpowiedziała mi, że nie rozumie, dlaczego się denerwuję, skoro nic się naprawdę nie stało. Odpowiedziałam jej, że wręcz przeciwnie – stało się. „Co innego, gdybyś zapomniała zeszytu, piórnika lub książki. To wtedy siedzisz bez długopisu i możesz sobie co najwyżej od kogoś pożyczyć. Natomiast jeżeli umawiamy się, że wspólnie razem coś robimy i każdy z nas ma coś przynieść na to wspólne dzieło, to nasza odpowiedzialność jest większa. To nie jest tak, że tylko ty nie będziesz miała długopisu, tylko po prostu w tej sałatce zabraknie marchewki, wszyscy będą mieli niesmaczną sałatkę”.

Uświadomiłam jej wtedy, że liczenie na innych i zaufanie do ludzi to cudowna sprawa, ale nie może cały czas liczyć na pomoc innych, to raczej ona innym powinna pomagać.

Oczywiście, gdy dzieci są małe, jest to wina zaniedbań głównie rodziców, lenistwa, bałaganiarstwa, często głupoty. Z biegiem lat zmienia się to jednak w postawę roszczeniową, kiedy to będąc już zupełnie samodzielnym, cały czas nie potrafię sobie poradzić sam, cały czas liczę na pomoc innych, ich zaradność i przedsiębiorczość. Myślę, że aby społeczeństwo było naprawdę obywatelskie, spora część obywateli musi mieć poczucie współodpowiedzialności, chęć angażowania się, czy po prostu chęć służenia innym.

Myślę, że o tę sałatkę jarzynową, którą jest nasze Państwo, wszyscy musimy się troszczyć, bo jeżeli będzie składała się z samej

cebuli, to niestety nie będzie smaczna ani dobra. Tak więc każdy ma jakiś wkład i jest to ta różnorodność, którą każdy wnosi.

Jeszcze jest druga sprawa, którą chciałam poruszyć. Otóż tych inicjatyw i pomysłów na to, co można robić, jest oczywiście więcej niż czasu i możliwości. Trzeba zawsze wybierać spośród tych wszystkich rzeczy, które wydają się nam niedoskonałe, które można by poprawić lub w których powinno się wziąć udział. I jest to naprawdę trudne, przynajmniej na gruncie rodzinnym, aby umiejętnie wybierać to, co jest ważniejsze i w co się zaangażować trzeba.

Myślę, że w tych wyborach przede wszystkim trzeba mieć na względzie swoje podstawowe obowiązki. Dla mnie są to obowiązki żony i mamy. Powinnam zadbać o dom i o dzieci, a później dopiero mogę podejmować dodatkowe zaangażowania. Mamy przeróżne, fantastyczne inicjatywy koło siebie, np. towarzystwo: „Miasto – ogród, Sadyba”, skupiające wielu naszych sąsiadów, które powstało po to, aby pielegnować najbliższe otoczenie; następnie związek dużych rodzin „Trzy plus”, z którego inicjatywy została przepchnięta ustawa w Sejmie dotycząca zwrotu podatku w rodzinach wychowujących dzieci. Byliśmy w stanie tylko w minimalnym stopniu w te inicjatywy się zaangażować.

Jesteśmy członkami KIK-u warszawskiego, ale też nie działamy tam tyle, ile byśmy chcieli. Jesteśmy natomiast zaangażowani w ruch „Małżeńskie Drogі”, gdzie prowadzimy kursy dla narzeczonych przygotowujących się do sakramentu małżeństwa. Wydaje się to cenne i dla przyszłych rodzin bardzo potrzebne, dlatego podjęliśmy się tej pracy. Każdego dnia taki problem powstaje, w co się zaangażować, a w co nie, co sobie odpuścić.

Jacek Cichocki

Moja żona zainspirowała mnie do refleksji i przemyśleń, którymi chciałbym się jeszcze podzielić. Nie jest tak, że można zadekretować, że jest społeczeństwo obywatelskie i już. Muszą być prawnie zagwarantowane możliwości wpływania obywatela na różne sprawy. On może pójść na wybory, zorganizować sobie stowarzyszenie, wpływać na szkołę przez Komitet Rodzicielski itd. I wtedy to będzie dobrze funkcjonowało.

Na początku każdej inicjatywy jest zwykle wiele emocji. Trzeba nad nimi zapanować, aby określić problem, zastanowić się, co tak

naprawdę chce się zmienić, zrobić, komu pomóc. Wówczas potrzebne są różnego rodzaju sposoby, procedury, pewne nawyki organizacyjne. Trzeba sięgnąć do całej wiedzy i umiejętności dyskusji, prowadzenia zebrań, debaty, rozmowy, rozwiązywania problemów. Mam takie wrażenie, że nie jest to szczególną specjalnością nas Polaków. „My z synowcem na czele i jakoś to będzie”.

Dorota mówiła o towarzystwie „Miasto – ogród, Sadyba”. To jest małe, lokalne stowarzyszenie pozarządowe, skupiające mieszkańców i działające na terenie starej Sadyby. Mieszka tam kilku entuzjastów. Powstał pomysł, żeby pojechać do Wielkiej Brytanii i zobaczyć, jak funkcjonują miasta – ogrody, powstałe tam już w 19. wieku. Udało im się następnie zdobyć pieniądze z jakiegoś grantu i zaprosić przedstawicieli dzielnicy, urzędników Warszawy, aby to sami obejrzel. Pojechała delegacja około dwudziestu osób do takiego ogrodu – miasta i tam przez trzy-cztery dni chodzili, oglądali, spotykali się z miejscowymi władzami i rozmawiali na różne tematy. Z relacji wiemy, że przez pierwsze dni nasi urzędnicy chodzili i mówili gospodarzom: jesteście od nas bogatsi, macie piękne trawniki, wspaniałe chodniki itd. Nie widać było doświadczeń inspirujących do zmian, aż do momentu gdy miejscowi urzędnicy zaczęli tłumaczyć, jak funkcjonuje ich społeczność w sytuacjach konfliktowych. Dali taki przykład: powstała nowa szkoła, a ulice nie są przystosowane, bo chodniki są wąskie i tylko z jednej strony. Trzeba więc zbudować chodniki szersze, po obu stronach jezdni, żeby dzieci mogły bezpiecznie chodzić. Aby jednak zbudować chodnik, to trzeba komuś zabrać kawałek działki.

Pan burmistrz na pewno doskonale wie, jak trudno jest przekonać kogokolwiek do tego, żeby oddał kawałek swojego terenu, a tutaj trzeba było zabrać kilkunastu posesjom. Zaczęli opowiadać, jak to wygląda. Jak się zaprasza tych ludzi, jak się przedstawia problem, jak się opowiada o planie budowy chodnika, jak się proponuje jakieś ekwiwalenty itd. Nasi urzędnicy byli zszokowani, że można prowadzić tego typu procedurę uzgadniania przez pół roku, pokazując plany, wysłuchując argumentów tych ludzi, którzy muszą stracić kawałek ogródka.

Zobaczyli, że można przez pół roku na poziomie urzędu i tej małej społeczności dyskutować, zapraszać urbanistów, ekologów, psychologów itd. A więc pół roku trwa proces rozmowy z miesz-

kańcami, ze wszystkimi organizacjami, które tam funkcjonują, do momentu, aż się osiąga konsensus. Jak to już jest uzgodnione, to budowa trwa trzy miesiące.

U nas w Warszawie jest dokładnie odwrotnie. Przez miesiąc wypracowuje się decyzję, wiesz się ją w takim miejscu, aby nikt jej nie zobaczył, żeby nie było protestów, potem zaczyna się realizacja. Wtedy zaczynają się protesty, więc realizacja staje, a rozgrzebana ulica pozostaje, dopiero potem są odwołania i to trwa długo, na przykład dwa lata, i dopiero wtedy ktoś musi ustąpić.

Mówię o tym, bo moim zdaniem mamy jeszcze wiele do zrobienia w naszym społeczeństwie obywatelskim, żeby na każdym poziomie urzędniczym, szkolnym i innym uzyskać głębokie przekonanie, że warto skorzystać z wszystkich mechanizmów, aby osiągnąć konsensus, a potem dopiero wykonywać jakieś działania, a nie odwrotnie, bo odwrotnie – to mamy rozgrzebane inwestycje.

Krzysztof Zanussi

Słuchałem tych bardzo ciekawych wypowiedzi i myślałem, co mam do dorzucenia. Pamiętam, jak kiedyś, za komuny, próbowałem budować obywatelskie myślenie.

W latach stanu wojennego włoscy komuniści, chyba przez pomyłkę, zaprosili mnie na spotkanie z robotnikami w kompleksie stalowym pod Mediolanem. Byłem atrakcyjny jako Polak, ale natychmiast komunistyczni działacze związków zawodowych zaatakowali mnie za Solidarność, pochwalili generała Jaruzelskiego za stan wojenny i chcieli ode mnie usłyszeć potwierdzenie swoich poglądów.

Miałem poczucie, że klócić się o historię z tą źle poinformowaną masą ludzi nie sposób, więc omijając temat zacząłem pytać o ich działania. Oni z dumą opowiadali, jak organizują robotnicze wycieczki w góry. Wtedy im powiedziałem, że zdradzają Lenina. Jeszcze ze studiów znałem dość dobrze jego dzieła. Mogłem im wskazać właściwe cytaty, aby zrozumieli, jak źle postępują. Jakim prawem oni podejmują sami takie inicjatywy, a nie pytają o nie Komitetu Centralnego. Komitet Centralny powinien im wskazać, co mają robić, a nie sami kombinować, co im się podoba. Kto wie, czy dla światowego proletariatu jest dobre, żeby jeździli autobusami w góry, a może trzeba jeździć pociągami nad morze? Nie może być tak, żeby ludzie na dole mieli własne inicjatywy i sami

sobie wymyślali, gdzie chcą jechać, bo to jest burżuazyjna anarchia. To nie jest prawdziwy leninizm. Fakt, że mnie już więcej nigdy nie zaprosili.

Ponieważ wtedy mogłem wracać do Polski, podjąłem działania w mojej dzielnicy Żoliborz, która jest dzielnicą bardzo zakorzenioną, nie zniszczoną przez wojnę, gdzie zostało dużo mieszkańców pochodzenia inteligenckiego. Podjąłem z sąsiadami pomysł, aby posadzić drzewka na naszej ulicy. Zwróciłem się z pytaniem do pani Skibniewskiej, wówczas posłanki na sejm, jak to załatwić. Poradziła mi, abyśmy napisali podanie do Rady Narodowej. W odpowiedzi otrzymaliśmy pisemko, które wozilem ze sobą i pokazywałem, jak wygląda prawdziwie leninowska demokracja. Rada Narodowa udzieliła nam napomnienia, że to nie nasza sprawa, aby sadzić drzewka, bo do tego jest właściwy urząd i jak będzie uważał za stosowne, to te drzewka posadzi, a nam nic do tego i mamy się zajmować własnymi sprawami. Tak więc społeczeństwo obywatelskie przez negację było wtedy moim inspirującym doświadczeniem. Mogę się pochwalić, że bodajże w roku 1982 albo 1983 posadziliśmy z sąsiadami siedem albo osiem drzew na ulicy Kaniowskiej. Są posadzone na złość, wbrew władzy i bardzo dobrze rosną. Są to brzozy, których nigdy w mieście się nie sadi. Nie wiem dlaczego, bo bardzo dobrze sobie żyją już blisko trzydzieści lat.

Lubię żyć wśród ludzi, z którymi można się podzielić odpowiedzialnością. Furią napawa mnie człowiek obojętny, który ma żądania wobec władzy, którą sam wybrał, który ma postawę roszczeniową, a który przechodzi obok leżących śmieci i nie pomyśli, że można je podnieść i wrzucić do kubła. Mam częste kontakty ze Wschodem. Jak podnoszę śmieci w drodze do domu, budzi to nieodmienne ogromne zdumienie moich rosyjskich przyjaciół. Od nich znam głęboko celne, rosyjskie zapytanie: „Nużna li rabu swaboda?” (Czyż niewolnik potrzebuje wolności?). Niewolnik to ten, którego się karmi, któremu się życie urządza, a on nie ma nic do gadania. Niewolnik to jest model zwierzątka w ZOO. Bo tam są duże wybiegi i żyje się nawet nieźle, ale to jest życie, nad którym ktoś panuje.

Nie spotkałem człowieka, który by zazdrościł zwierzętom w ZOO ich losu. Może ktoś zazdrości, to każdego chętnie posyłam

do ZOO, jeśli by chciał ten rodzaj bytowania uznać za właściwy. Natomiast my chcemy być zwierzętami na wolności. Będąc na wolności, ponosi się odpowiedzialność, współdziała ze stadem, ze swoim otoczeniem, w imię wspólnego dobra i wtedy to życie ma większą wartość, jeżeli jest to życie istoty wolnej.

Człowiek wolny musi współdziałać z innymi wolnymi ludźmi i załatwiać sam swoje sprawy, a nie być dyrygowanym nieustannie z urzędu według zasady subsydiarności. Co możemy załatwić sami, tego nie każmy załatwiać komuś innemu. Jak mamy na coś ochotę i uważamy, że jest to słuszne i nie łamię prawa, to zrobimy to sami i nie czekajmy, że ktoś za nas to zrobi, bo się pewnie nie doczekamy. W tym sensie komfortowo mi się żyje w mojej dzielnicy, która jest bardziej obywatelska i pewnie bardzo źle by mi się żyło w bloku, w którym kiedyś mieszkałem, gdzie ludzie byli aspołeczni i nikt nic nie chciał zrobić dla wspólnoty. Kiedyś proponowałem, żebyśmy w sobotę spróbowali pomalować klatkę schodową, bo była potwornie odrapana, a wystarczyłoby trochę farby chlapnąć na ściany. Nikt się do tego nie zabrał. W rezultacie sam pomalowałem na złość innym.

Mój kolega, sąsiad z bardzo luksusowej podwarszawskiej dzielnicy, znalazł w lasku, który jest jej częścią, wielki wór śmieci i plastików, które ktoś beczelnie wyrzucił. Ponieważ kolega miał poczucie obowiązku, wziął te śmieci do samochodu, zawiózł do swego garażu i rozłożył na plastikowej płachcie i ze strzępków znalezionych listów doszedł, jaki był adres właściciela. Złożył po tym śmiecie do tego samego worka i zawiózł do właściciela, zadzwonił i powiedział: „Pan zgubił worek ze śmieciami, znaleźliśmy go w lesie i na szczęście udało się nam Panu go zwrócić”. Była to głęboko obywatelska postawa, wychowawcza. Człowiek otrzymał lekcję.

Takie drobiazgi czynią nasze życie po prostu lepszym. Jeżeli żyjemy z ludźmi rozwiniętymi społecznie, to jesteśmy wyżej rozwiniętym społeczeństwem niż społeczeństwo niewolników, w którym mamy do czynienia z motłochem. Motłoch nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności za nic. Istnieje jakaś obiektywna miara dojrzałości społeczeństw. Dziś mamy zagwarantowaną demokrację o względnej praworządności.

Pamiętajmy, że to jest stan chwiejnej równowagi. To nie są dobra stałe, które się osiąga raz na zawsze. Społeczeństwo dobre



Fot. 2. Od lewej Krzysztof Zanussi, Rafał Miastowski, Dorota i Jacek Cichoccy

można bardzo łatwo zastąpić społeczeństwem złym. Świat można po prostu popsuć. To jest bardzo proste. Można oglądać, jak łatwo się społeczeństwa psują, właśnie przez to, że ludzie robią się egoistyczni, zajmują się wyłącznie swoimi sprawami i nie chcą brać na siebie żadnej odpowiedzialności. W tym momencie tworzy się zawsze jakiś system korupcyjno-autorytarny. Ktoś przejmuje władzę, którą ludzie mu chętnie oddają, a on bierze ich „za mordę”, a potem może nawet jest wszystko posprzątane, ale ludzie żyją nędznie, bo życie pod dyktaturą jest nędzną egzystencją. Jest życiem, w którym trzeba się znowu mobilizować do niebezpiecznej czasem walki albo też schylić karku i być po prostu „rabem”, a tym być jest przykro.

Są miejsca lepsze i gorsze. Są lepsze i gorsze części Polski, lepsze i gorsze ulice w danym mieście, lepsze i gorsze dzielnice. Myślę, że trzeba pamiętać, że stan, w którym żyjemy, jest stanem nadzwyczajnym, a nie zwyczajnym, tak jak równowaga jest stanem nadzwyczajnym. Wszystko, co może leżeć, powinno leżeć, a jak stoi, to jest to równowaga chwiejna. Nasze społeczeństwo, w którym mamy wolność i możliwości działania, to jest nadzwyczajne społeczeństwo.

Zacząłem od wycieczki do ZOO, choć nie jestem specjalnym zoomanem. Gdy obserwuję psy i konie, to czerpię z tego większość moich doświadczeń. Są to czysto zoologiczne doświadczenia. Opo- wiem jedną głupią psotę, którą zrobili u siebie moi zagraniczni

studenci. Nawet jak nie wymienię kraju, to i tak wszyscy się domyślą. Studenci przygotowując film wymyślili sobie, że pewnego nowobogackiego, który bardzo się puszył i przepuszczał pieniądze w różnych restauracjach, jak to oni mówią – „dopiją”. Był już pijany, ale dali mu wypić jeszcze tyle, że stracił przytomność, czyli popadł w pijacki sen. Wtedy przenieśli go, bo mieli dostęp, do ZOO. Załatwili klucz do pustej klatki, gdzie go położyli na słomie i zamieścili pod klatką napis „Homo sapiens”. Wycieczki przechodziły i dzieci fotografowały, jak jakiś pan śpi na słomie.

Człowiek się obudził i z przerażeniem zaczął się rozglądać, bo po lewej stronie w klatce był tygrys, po prawej lew, a przed jego klatką stała kamera, którą nagrywano to jego przebudzenie. Po czym go natychmiast wypuszczono.

Niecni organizatorzy tego żartu zgłosili się do swej ofiary z dwiema propozycjami: albo oni mu troszkę zapłacą i materiał pokaże telewizja, albo on im zapłaci bardzo dużo i wtedy się tego nie wyświetli. Ponieważ był bardzo bogaty, poszedł na to drugie rozwiązanie.

Słuchając takich opowieści, trzeba zdawać sobie sprawę, jak bardzo przelotny jest nasz rodzaj ludzki. Może nas czeka za chwilę super rozwój albo odwrotnie – dzisiejszy stan rozwoju jest chwilowy i rychło cofniemy się do jaskini, a tam już nie ma społeczeństwa obywatelskiego, bo jaskinia i maczuga wyklucza obywatelskość.

Drugie doświadczenie z ZOO, które ma dla mnie charakter niepokojącej metafory, to wiadomość, że kilkanaście lat temu przez ogrody zoologiczne świata przeszła taka reforma: zwierzętom w niewoli zaczęto utrudniać odżywianie. Były to ssaki wysoko rozwinięte, niedźwiedzie oraz koty. Okazuje się, że jeżeli karmić niedźwiedzie regularnie, rzucając im gotowe jedzenie, to one popadają w nerwicę. Niedźwiedzie się kołyszają, a lwy i tygrysy biegają nerwowo wzdłuż ogrodzenia. Jeśli natomiast tygrysowi powiesić mięso wysoko na drzewie i zwierzę musi przez pół godziny skakać, zanim uda mu się zerwać mięso, to się zadyszy, zmęczy, naje i śpi potem długo i spokojnie. Podobno jest wtedy dużo bardziej zrównoważony. Pokazywano mi, jak białym niedźwiedziom przynosi się ryby w bloku z lodu. Niedźwiedź musi długo walić łapą, żeby dostać się do pokarmu. To naprawdę ratuje niedźwiedzia przed nerwicą.

Otóż trud zdobycia pożywienia jest czymś zapisanym genetycznie w przyrodzie ożywionej. Nam jest tak dobrze dzisiaj, jak nigdy w historii nie było. Uważam, że to trzeba co chwilę powtarzać. Dziś wy, młodzi, nie macie wyobrażenia, co to znaczy być głodnym. Aby umrzeć z głodu w Warszawie, trzeba się postarać, bo zawsze gdzieś znajdzie się jakieś towarzystwo brata Alberta, które nakarmi i ogrzeje.

Podaję, że żyjąc w cywilizacji obfitości przestajemy rozumieć, że ten stan, w którym żyje nasze społeczeństwo, to jest stan nadzwyczajny. To jest łaska Boska i praca, i cierpienie pokoleń, które doprowadziły do tego, że jest nam tak dobrze, jak nigdy w historii nie było. Nie było tak bogato jak dzisiaj.

Oczywiście jest ogromna rzesza biednych i nieszczęśliwych, ale to jest mniej niż połowa społeczeństwa, a kiedyś było tylko pięć procent najedzonych, a reszta głodowała, szczególnie na przednówku. Zmieniło się to w ciągu półtora wieku! Umiemy stawić czoło naszym uwarunkowaniom przyrodniczym i żyjemy w takim luksusie, do którego nasz gatunek nie jest przygotowany. Tylko elity tak żyły w przeszłości. Żyły w ogrzewanych pałacach i mogły najeść się do syta. Równocześnie elity te miały kodeks zachowań, które je ograniczały. Na przykład tam, gdzie był dostatek jedzenia, nie wolno się było obżerać.

A dzisiaj? Dlaczego jest tylu otyłych? Dlatego, że jedzenie jest dostępne dla wszystkich i nie służy zdrowiu, szczególnie gdy jest głęboko przemysłowo przetworzone, a więc zepsute i odbiega od prostego, naturalnego pożywienia. Karmienie jest dziś sprawą banalną i prostą, ale zachodzi pytanie, czy umiemy sobie postawić granice i zmusić do wyrzeczeń.

Wolność jest tym osiągnięciem i darem, który do nas przyszedł i jeżeli nie będziemy zorganizowani jako obywatele, to ta wolność nam odpłynie, ktoś nam ją zabierze, a my się nawet nie zorientujemy. Może nawet damy mu do ręki bat na nas i nagle znowu będziemy niewolnikami i spytamy, czy nam jest potrzebna swoboda. To jest to moje do Państwa przesłanie. Pamiętajmy, że stan, w którym możemy w ogóle rozmawiać o społeczeństwie obywatelskim, jest stanem wyjątkowym. Normalnie o ten stan trzeba walczyć, a nie zastanawiać się, jak go wykorzystać. Jeżeli dziś przegapimy naszą szansę i jej nie wykorzystamy, to popadniemy z powrotem w nie-

wolę, bo pojawi się ktoś z knutem i zorganizuje nam społeczeństwo masowe, reglamentowane i powie, co nam wolno, a czego nie wolno. Niewiele nam będzie wolno. Wtedy zatęsknimy za czasem, kiedy mieliśmy niebywałe możliwości, a wykorzystywaliśmy je w tak minimalnym stopniu.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Pierwszy raz kiedy poczułam się członkiem społeczeństwa obywatelskiego, był moment wyboru Ojca Świętego. Mój brat zadzwonił do mnie na pół godziny przed dziennikiem i powiedział – siadź, to powiem ci coś niesamowitego. Reuter ogłosił, że kardynał Wojtyła został wybrany Papieżem. Do dziennika obdzwoniłam wszystkich znajomych, bo jeszcze telefony nie były zajęte. Po dzienniku spontanicznie mnóstwo ludzi z naszego bloku i sąsiednich wyszło na ulicę. Okna się otwierały, radość była powszechna. Ludzie sobie zupełnie nieznani podawali ręce. W tym momencie nasza lokalna społeczność się zorganizowała. Od tego czasu znamy się i kłaniamy się sobie. Było to niezwykle uczucie, że nagle to społeczeństwo całkowicie zatamizowane zrobiło pierwszy krok w kierunku obywatelskości.

Drugie takie wspomnienie, niesłychanie ciepłe, dotyczy czasów Solidarności. Byłam przewodniczącą Solidarności na Wydziale Geografii na Uniwersytecie Warszawskim. Był strajk, w czasie którego studenci nocowali w budynkach uniwersyteckich. Byłam z nimi. Nocowaliśmy na materacach na podłodze we wszystkich salach, robiliśmy sobie wspólne posiłki. Od tego czasu mam mnóstwo przyjaciół właśnie z tego kręgu studentów czy też młodych pracowników naukowych.

Druga kwestia, którą chciałam poruszyć, to działanie w kierunku zorganizowania społeczeństwa obywatelskiego. Gdy jesteśmy na stanowisku, gdzie mamy szeroki kontakt z ludźmi, to jest to nasz obowiązek. Jeden człowiek bardzo mało może, ale gdy się zorganizuje parę osób, to robi więcej niż iloczyn działań pojedynczych. Dowodem na to są nasze Konwersatoria, ale i Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin. Obie inicjatywy są budowane wspólnie. Na przykład, Konwersatoria są dziełem ogromnej grupy ludzi, którzy absolutnie społecznie się w to włączają, zarówno studenci, pracow-



Fot. 3. Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

nicy, jak i osoby spoza Uczelni. Ludzie tego typu, jak tu obecny pan Andrzej Skoczek, którzy spisują z nagrań nasze wypowiedzi, jak pan Waldek Kompała, który fotografuje uczestników i sprawia, że książki („Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”) są ilustrowane, jak pan Jacek Waksmundzki, który finansuje druk książek i wielu, wielu innych ofiarnych ludzi.

Ogromnie ważne jest, aby umieć zachęcić ludzi, żeby odstąpili od swoich partykularnych interesów, a działali wspólnie na rzecz całości. Jest to czasem bardzo trudne, ale

myślę, że to jest możliwe, gdy pokaże się wagę i cel działania.

Nawiążę jeszcze do tego, co mówił ksiądz Adam na początku o gospodarzach, którzy stanęli przy nim murem, kiedy obejmował parafię. Pochodzę z rodziny ziemiańskiej, gdzie postawa obywatelska rodziców i moich dziadków była oczywistą rzeczą. Oni brali odpowiedzialność za ludzi mieszkających we wsiach. To były folwarki, które należały do moich dziadków i moich rodziców. Było czymś oczywistym w wychowaniu moim i moich braci, że tak trzeba postępować. Gdy człowiek widzi jakąś biedę obok siebie, to trzeba pomóc.

Niedawno zostałam zaproszona na wystawę do Nowej Huty, gdzie w muzeum była zorganizowana wystawa pt. „Łuczanowice”. Tak nazywał się majątek moich dziadków, a potem moich rodziców. Zebrało się bardzo dużo ludzi i mówili o wspańiałej postawie moich dziadków i mojego ojca właśnie w sprawach społecznych. Mówili mi, na przykład, że mój dziadek nigdy nie wykorzystywał ludzi i zawsze lepiej płacił pracownikom niż we wszystkich majątkach obok. Myślę, że podobnie rolnicy biorą odpowiedzialność nie tylko za swoje gospodarstwo, ale i za ludzi, którzy u nich pracują i uczą się społecznego nastawienia od dzieciństwa. Potem to już wchodzi w krew. Myślę, że społeczeństwo miejskie można też powoli budować. Szczególną rolę odgrywa tu kościół i parafia.

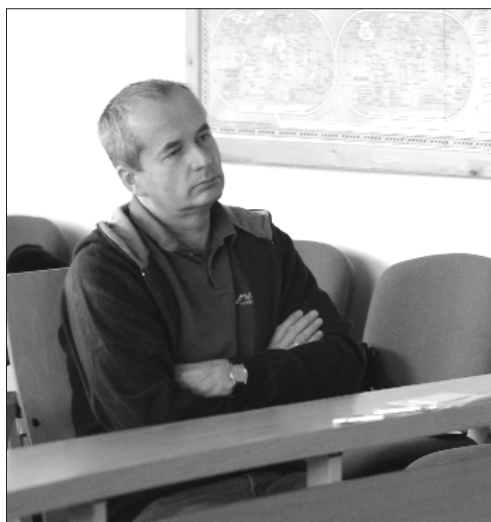
Marek Łuszczyna

Nawiążę do wypowiedzi pana Krzysztofa Zanussiego, a zwłaszcza jego kasandrycznych wizji. System poprzedni był systemem, który niszczył i rozbiwał społeczeństwo. Uważam, że dzisiaj młodzi ludzie mają świadomość tego, co mają w swoich rękach odnośnie do wolności. Dali temu świadectwo kilkakrotnie. Nie chcę wdawać się w kwestie polityczne, ale nawiążę do frekwencji, która była w wyborach w 2007 roku, które młodzi poczułi jako obowiązek. Udział w ostatnim głosowaniu mieli głównie ludzie urodzeni po osiemdziesiątym dziewiątym roku. Sądzę, że jest nieźle, a będzie coraz lepiej.

Bogdan Motelski

Nawiążę do wypowiedzi państwa Cichockich. Wszystko jest możliwe o czym Państwo mówiliście, tylko trzeba chcieć. Mass media skłaniają mnie często do tego, żeby mi się nie chciało. Pan Jacek powiedział, że trzeba decydować i wybierać, co chce się robić dla społeczeństwa, ale trzeba wziąć pod uwagę, że jest wielu ludzi, którym po prostu się nie chce nic robić dla innych. Istnieje obawa, że kasandryczne obrazy pana Krzysztofa nie są całkiem bezpodstawne. Odpowiedzią na to jest to, co powiedziała Pani Dorota, że już dziecku trzeba tłumaczyć. Mówić ludziom, że ma się im chcieć. Bez tego cały ten aparat, który szczęśliwie funkcjonuje, bez „chcę” nie będzie funkcjonował, a ludzie, którym będzie zależało, żeby utrzymać władzę, będą patrzyli z przyzwoleniem na obojętność społeczeństwa. Ważne jest wychowanie na każdym poziomie, od najmłodszego człowieka.

Druga rzecz to jest kwestia, aby wychowanie nie prowadziło do tego, że mi się tylko „trochę chce”. Obserwuję ludzi młodych, którzy są młodzi, ale nawet gdy mają po trzydzieści lat, nie nazwałbym



Fot. 4. Bogdan Motelski

ich dojrzałymi. Natomiast są znacznie młodszy, już czasem szesnastoletni, którzy są dojrzały społecznie. Nie wszyscy dorośli i bardzo dorośli są dojrzały.

Na różnych poziomach władzy uważa się, że jeżeli istnieje jakiś problem, trzeba wydać odpowiedni przepis. Czy będzie on potem egzekwowany, czy nie, nie jest ważne. Będzie przepis i wszystko jest załatwione. Jest to złe myślenie. Nawet najlepsze przepisy, jeżeli są omijane, nie mają żadnego znaczenia. Ich przestrzeganie będzie zależało od naszego obywatelskiego wychowania.

Jadwiga Przewłocka

Za społeczeństwo obywatelskie, czy społeczność obywatelską, uważam taką grupę ludzi, która skupia się wokół działania na rzecz dobra wspólnego. To sprawa pierwsza.

Sprawa druga to jest kwestia aktywności w działaniu. W stosunku do innych krajów, np. do Francji, nasza aktywność jest dużo mniejsza. Obserwuję studentów, a więc ludzi młodych, którzy otrzymują np. fatalny harmonogram zajęć czy spotykają się z niezyczliwością albo niekompetencją pracowników uczelni w sprawach, które ich bezpośrednio dotyczą. Namawiam ich do działania. Odpowiadają: „może się lepiej nie wychylać, jakoś to będzie”. Nie ma chęci działania u tej młodzieży. Może brak odwagi, czy wygoda, nie wiem.

Odniosę się jeszcze do przykładu pani Doroty z sałatką. Mam wrażenie, że Pani córka była pełna dobrych chęci i bardzo chciała uczestniczyć w tej wspólnej działalności. Niestety los chciał, że zapomniała. Ale ktoś inny nie zapomniał przynieść. i poratował. W rozmowie z córką położyłabym nacisk na to, jak wspaniale jest móc liczyć na drugiego człowieka.

Agnieszka Piasecka

Jestem studentką Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin. Chcę się odnieść nie do tego, czym jest społeczeństwo i w jakich sektorach jest obywatelskie, ale do jego przyszłości. Jakie społeczeństwo obywatelskie zbudujemy? Myślę, że dużo łatwiej jest posadzić drzewa, odrolnić działki w obrębie miasta i uzyskać na to zgodę społeczną. Pytanie, jak pogodzić wszystkie postawy w tej ogólnonarodowej sałatce. Jak np. pogodzić interesy rodzin chrześcijańskich z marszem organizowanym przez pana Biedronia?

Mieszkałam przez kilka lat w Holandii i widziałam, jak tam się to kształtuje. Trzysta tysięcy ludzi wyszło na ulice Rotterdamu. Zjechali się z całego kraju i protestowali przeciwko podwyżce cen biletów na komunikację miejską o dwa euro i zlikwidowaniu części linii. W innym znowu mieście protestowali przeciwko podwyżkom cen za wywóz śmieci. Czy w takim tylko sensie będziemy społeczeństwem obywatelskim i czy taka będzie nasza przyszłość, bo jesteśmy we Wspólnocie Europejskiej? Nasuwa się pytanie, czy dla chrześcijanina, człowieka, który wyrasta z kultury chrześcijańskiej, w takim społeczeństwie obywatelskim znajdzie się dla niego miejsce? Mam co do tego wątpliwości.

Rafał Miastowski

Poruszyła Pani bardzo ważną rzecz. Mówiąc o społeczeństwie obywatelskim, nie powinniśmy zapominać o świadomości obywatelskiej, czyli o tym, co my z sobą wnosimy, nasze wartości i chęci, żeby nas popierało otoczenie i żeby budować coś, co będzie służyło wszystkim.

Krzysztof Zanussi

Mówiąc o świadomości obywatelskiej, miał Pan rację. W chrześcijańskim średniowieczu pewien wymóg był bardzo rzetelnie przestrzegany. Obrazuje go łacińskie przysłowie „audiatur et altera pars”, że trzeba w każdej sprawie publicznej wysłuchać drugiej strony. Pierwszą rzeczą, jaką mamy obowiązek moralny zrobić, to zastanowić się, jaka jest racja mojego oponenta.

Dlaczego o dwa euro trzeba było podnieść koszty komunikacji? Jeśli nie podniesiemy, to jakie będą konsekwencje? Społeczeństwo współczesne, tzw. postnowoczesne, po pierwsze podważa autorytety, po drugie uważa, że ich nie ma, a po trzecie jest społeczeństwem skupionym na chwili obecnej, jest społeczeństwem niedialogowym. Tymczasem na to, aby mieć postawę sprawiedliwą, trzeba mieć świadomość, że druga strona też ma swoje racje. I teraz po co to jest mi potrzebne? Po co panu Biedroniowi demonstrowanie na ulicach? Chciałbym to zrozumieć. Domyślałam się pewnych przesłanek, które powodują, że on tyle siły i energii wkłada w coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się być niemądre (na drugi rzut oka zresztą też).

Ale chciałbym z nim o tym rozmawiać, a nie wyrażać tylko irytację, że oni będą mi paradowali z jakimiś głupotami po ulicach.

Wszystkich bym namawiał, żebyśmy się bardzo pilnowali i nie pozwalali rozkołysać się mediom, które lubią podsycać taki jednostronny obraz zdarzeń. W mediach bez przerwy jawią się jacyś niewiarygodni głupcy. Jacyś niewiarygodni durnie, którzy nagle zarządzają coś, co jest kompletnie kretyńskie. Nigdy po bliższym przyjrzeniu się to, co wydawało się kretyńskie, nie jest do końca kretyńskie. Jest to tylko wyraz innego poglądu, czasem mylnego, ale to nigdy nie jest takie głupie, żeby pogardzać przeciwnikiem i myśleć o nim w kategoriach durnia, bałwana, który coś tam bez sensu wymyśla.

Przed laty bardzo znanym i wpływowym autorytetem pisarskim był Jerzy Andrzejewski. W jednym ze swych felietonów opisał idiotyzm ówczesnych władz Warszawy; otóż mimo iż zaczął padać deszcz, polewaczki jeździły dalej i polewały ulice. Czytając o tym też wybuchnąłem śmiechem, bo większego kretyństwa nie można sobie wyobrazić.

Potem ktoś napisał wyjaśnienie, że polewaczka polewając asfalt wodą pod ciśnieniem zmywa powierzchnię, czego deszcz nie robi i dlatego to nie jest takim idiotyzmem. Gdy jest silny deszcz, można przestać polewać, ale przy małym deszczu polewanie ma sens. Autorytet literacki zgnębił, wdeptał w ziemię biednego urzędnika z magistratu, który posłał polewaczki do pracy, a okazało się, że ten urzędnik miał rację.

Po pierwsze, ugryźmy się w język, nim zakwalifikujemy naszego adwersarza do grupy kretynów. Załóżmy z góry, że jeśli coś robi, to też ma swoje racje i docieczmy, jakie one są, a potem dopiero zaczniemy z nimi polemizować. Media konsekwentnie nas tego oduczają. Chcą nam zawsze przedstawić rewelacje, odkryć drugie dno i zdemaskować czyjąś beznadziejną głupotę, co prowadzi do zwykłej pogardy człowieka. A pogarda jest bardzo nędnym i upadającym uczuciem.

Marek Łuszczyna

Chciałbym dość prowokacyjnie uzupełnić pytanie pani Agnieszki. Czy gdyby zakazać panu Biedroniowi całej jego działalności, czy dalej funkcjonowałibyśmy w demokratycznym społeczeństwie?

Krzysztof Zanussi

Ja bym nie zakazywał, aczkolwiek on sam może nam zakazać za chwilę naszej normalności, bo wiem doskonale, jakie aspiracje mają wszystkie grupy mniejszościowe. Tak bardzo chcą nagłośnić swoje postępowanie jako nowe, że Pan będzie musiał kryć się po kątach ze swoim małżeństwem i udawać, że ma Pan jakiegoś gejowskiego partnera, żeby przyzwoicie wyglądać na ulicy. I wtedy pan Biedroń naprawdę zwycięży.

Jacek Cichocki

Jeśli stworzymy teraz prawo, które będzie nadmiernie zakazywać demonstracji mniejszościowych, to ono zostanie kiedyś użyte przeciwko nam. Rozumiem, że został osiągnięty jakiś kompromis. Wiadomo, czego nie można publicznie demonstrować, a reszta jest jakimś przyzwoleniem. Natomiast mam takie wrażenie, że to od nas chrześcijan zależy, czy znajdziemy dla siebie miejsce w społeczeństwie obywatelskim i skorzystamy z jego form. To my mamy znaleźć sobie to miejsce.

Dorota opowiadała o naszym zaangażowaniu w „Małżeńskie Drogi” i w kursy przedmałżeńskie. Można pomyśleć: to taka drobna działalność. Jednak my za każdym razem, kiedy wracamy z tego kursu, mamy poczucie, że przez dwa i pół dnia mówiliśmy z ludźmi, których wcześniej nie znaliśmy, o rzeczach i o wyborach, które będą nieporównywalnie ważniejsze od tego, co przez ten czas mogliby usłyszeć w mediach. Te wybory, których ci ludzie później dokonają i jak zbudują swoje życie, zdecydują tak naprawdę o ich małżeństwie, o ich rodzinie i o tym społeczeństwie.

Czasem się zastanawiam, że nasza ekonomia chrześcijańska jest inna niż ekonomia bieżąca, medialna? Jeżeli będziemy robili dobrze to, co uważamy za ważne, i będziemy uczciwi i zaangażowani, i będzie nam się chciało, to jako chrześcijanie będziemy przekształcać ten świat w dobrym kierunku. To potwierdza się na każdym etapie mojego życia jako katolika. I byłbym tu optymistą.

Pani Agnieszka mówiła o Holandii. Otóż mam przyjaciół Holendrów, którzy ożenili się z Polkami. Mieszkają w Polsce, są bardzo daleko od kościoła lub są ludźmi niewierzącymi. Rozmowa z nimi o Holandii jest bardzo pouczająca i ukazuje, jak oni patrzą na świat. Mam poczucie, że rozmawiam z ludźmi, którzy nie mają nic

pewnego w świecie. Myślę, że może być to przyczyną tego, że Holendrzy bardzo łatwo chwytają się różnego rodzaju idei. Gdy rozmawiałem ostatnio z jednym z nich, okazało się, że strasznie przejmują się zmianami klimatycznymi i obawia się, że za rok te zmiany spowodują niewiadomo co. Nikt z nich nie bierze pod uwagę tego, że człowiek ma tylko 3% wpływu na nie, a reszta dokonuje się innymi mechanizmami. Ale oni się w to wszystko bardzo angażują. Być może, jest to też troszkę przewrotna odpowiedź na pytanie pani Agnieszki. Mam wrażenie, że jak nie będzie trwałych wartości, a my jako chrześcijanie nie będziemy umieli naszych wartości właściwie przedstawić, to będziemy za to ponosili odpowiedzialność.

Ks. Adam Zelga

Na zakończenie przedstawię anegdoty, które są ilustracją do naszego tematu.

Czterech bezdomnych panów. Jeden znalazł ziemniak, drugi przyprawy, trzeci kawałek mięsa, a czwarty coś tam jeszcze i spotkali się wieczorem przy ognisku. Ze strumyka wzięli wodę i postanowili ugotować zupę. Każdy miał wrzucić do kociołka swoją część, ale pomyśleli, że jak pozostali wrzucą, to on swoje zaoszczędzi i zje smaczną zupę, a na deser to, co zaoszczędził. Okazało się, że zamiast zupy była sama woda. To negatywny przykład społeczeństwa.

Drugi przykład pozytywny. Rozmawiałem z młodymi ludźmi, członkami Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, które w tym roku obchodzi 130. rocznicę powstania. Między innymi padło tam pytanie do Artura Sakowskiego i Weroniki Deresz, którzy są młodzieżowymi mistrzami Polski i świata w wioślarstwie, czemu wolą pływać w osadach, a nie w pojedynkę? Oboje powiedzieli to samo. Jak się płynie w osadzie, to chce się dać więcej, aby nie zawieść tego drugiego. „Kiedy płynęłam w jedynce – mówiła Weronika – to sobie odpuszczałam. Kiedy płynęłyśmy we dwie, to ze względu na koleżankę dawałam z siebie wszystko”. To piękna metafora społeczeństwa obywatelskiego.

Kiedys miałem okazję być w szatni, gdy trenerem Legii Warszawa był pan Wdowczyk. Wisiało tam na tablicy motto, które Państwu zostawiam: „Każdy razem może więcej”.

Spisał z nagrania Andrzej Skoczek

Czy starość Panu Bogu się udała?

Cytaty

Jan Paweł II.

Ludzie starsi w życiu społeczeństwa (2002 r.) (fragmenty)

Jedną z dróg do rozwiązania problemów dotyczących starzenia się ludności jest z pewnością włączanie człowieka starszego w aktywne życie społeczne, wykorzystywanie zasobów doświadczenia, wiedzy i mądrości, jakimi może się on podzielić. Starsi w istocie nie powinni być traktowani jako ciężar dla społeczeństwa, ale jako bogactwo, które może przyczyniać się do jego dobrobytu. Mogą nie tylko dawać świadectwo, że istnieją pewne aspekty życia, jak na przykład wartości humanistyczne i kulturowe, moralne i społeczne, których nie da się mierzyć kryteriami ekonomicznymi czy funkcjonalnymi; mogą także skutecznie wspomagać środowiska pracy i warstwy kierownicze. W istocie rzeczy chodzi nie tylko o to, żeby coś zrobić dla ludzi starszych, ale by zaakceptować ich jako odpowiedzialnych współpracowników, którzy w sposób rzeczywiste dla nich możliwy będą uczestniczyć w realizacji wspólnych projektów zarówno w fazie planowania, jak i dialogu i wykonania.

Chociaż trzeba patrzeć na starość pozytywnie i dążyć do pełnego wykorzystania jej potencjału, nie można pomijać ani ukrywać trudów ludzkiego życia i jego nieuniknionego końca. Aczkolwiek jest pewne, jak głosi Biblia, że ludzie „wydadzą owoc nawet i w starości” (Ps 92 [91], 15), pozostaje prawdą, że trzeci wiek to okres w życiu człowieka, w którym jest on szczególnie bezbronny i podlega ludzkiej ułomności. Bardzo często chroniczne choroby stają się u ludzi starszych przyczyną inwalidztwa i nieuchronnie przypominają o końcu życia. W takich szczególnych sytuacjach cierpienia i uzależnienia od innych ludzie starsi potrzebują nie tylko tego, aby leczyć ich za pomocą środków udostępnionych przez naukę i technikę, ale także by opiekować się nimi umiejętnie i z miłością, tak aby nie czuli się beużytecznym ciężarem albo – co gorsza – nie zaczęli pragnąć i domagać się śmierci.

Ks. Adam Skreczko. Starość jako dar i zadanie (fragmenty)

Jednym z typowych tekstów Pisma Świętego, ujmujących stosunek dzieci do rodziców, jest wyjątek z Księgi Mądrości Syracha.

Oto wymowny cytat: „Kto czci ojca, otrzymuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę, jakby skarby gromadził. Kto czci ojca, radość mieć będzie z dzieci, a w czasie modlitwy swej będzie wysłuchany. Kto szanuje ojca, długo żyć będzie, a kto posłuszny jest Panu, da wytchnienie swej matce, jak panom służy tym, co go zrodzili. Czynem i słowem czcij ojca swego, aby spoczęło na tobie jego błogosławieństwo. Albowiem błogosławieństwo ojca podpira domy dzieci, a przekleństwo matki wywraca fundamenty. Nie przechwalaj się niesławą ojca, albowiem hańba ojca nie jest dla ciebie chwałą. Chwała dla każdego człowieka płynie ze czci ojca, a matka w niesławie jest ujmą dla dzieci. Synu, wspomagaj swego ojca w starości, nie zasmucaj go w jego życiu. A jeśli by nawet rozum stracił, miej wyrozumiałość, nie pogardzaj nim, choć jesteś w pełni sił. Miłosierdzie względem ojca nie pójdzie w zapomnienie, w miejsce grzechów zamieszka u ciebie. W dzień utrapień wspomni się o tobie; jak szron w piękną pogodę, tak rozplyną się twoje grzechy. Kto porzuca ojca swego, jest jak bluźnierca, a przeklęty przez Pana, kto pobudza do gniewu swą matkę” (3, 3-16). Czwarte przykazanie Dekalogu brzmi: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. W oparciu o takie zalecenia wzrastał prestiż rodziców w chrystianizowanej Europie, w której do ostatnich czasów człowiek starszy wiekiem zajmował wysokie stanowiska i cieszył się szacunkiem. Dopiero czasy nam współczesne mocno zachwiały jego pozycję. Na naszych oczach dziadkowie zostali zepchnięci ze szczytu piramidy rodzinnej i społecznej, co zresztą nie obyło się bez obopólnie poniesionych szkód.

Jan Paweł II. Ludzie starsi są potrzebni (fragmenty).
 Anioł Pański, 25 lipca 1999 – Castel Gandolfo

Tak zwany „trzeci wiek” jest przede wszystkim wartością samodzielną, jako że stanowi przedłużenie życia, a życie to dar Boży. Wiek ten niesie też z sobą szczególne „talenty”, ponieważ człowiek starszy posiada bogaty zasób doświadczeń i wiedzy, której jest strażnikiem. Dlatego we wszystkich kulturach starzec to synonim mądrości i równowagi. Samą swoją obecnością człowiek starszy przypomina wszystkim, a zwłaszcza młodemu, że życie na ziemi jest „epizodem”, który ma swój początek i koniec: aby osiągnąć pełnię, potrzebuje odniesienia nie do wartości ulotnych i powierzchownych, ale trwałych i głębokich.

W społeczeństwach o wysokim poziomie rozwoju przemysłowego i technicznego położenie ludzi starszych jest dwuznaczne: z jednej strony są oni coraz słabiej wszczępieni w tkankę rodzinną i społeczną, z drugiej zaś odgrywają coraz ważniejszą rolę zwłaszcza jako opiekunowie i wychowawcy wnuków. Dla młodych małżeństw obecność „dziadków” jest często niezbędną pomocą.

Z jednej strony zatem człowiek starszy jest spychany na margines, z drugiej zaś jest potrzebny. Wszystko to wskazuje na brak równowagi typowy dla modelu społecznego podporządkowanego prawom ekonomii i zysku, który ma tendencję do dyskryminacji „nieproduktywnych” członków społeczeństwa, gdyż bardziej zwraca uwagę na przydatność człowieka niż na jego wartość samoistną.

Jan Paweł II. List Ojca Świętego Do moich Braci i Sióstr
– ludzi w podeszłym wieku. 1 października 1999. (fragmenty)

Chrześcijańska wspólnota może wiele skorzystać dzięki obecności osób w podeszłym wieku. Mam na myśli zwłaszcza sferę ewangelizacji: jej skuteczność nie zależy w głównej mierze od sprawnego działania. W jakże wielu rodzinach wnuki poznają podstawy wiary dzięki dziadkom! Jednak ludzie starsi mogą wносить dobroczynny wkład także w wielu innych dziedzinach. Duch działa, jak i gdzie chce, nierzadko posługując się ludzkimi środkami, które w oczach świata uchodzą za mało znaczące. Wiele osób znajduje zrozumienie i wsparcie u ludzi starych, samotnych lub chorych, ale umiejących dodać otuchy przez życzliwą radę, milczącą modlitwę, świadectwo cierpienia znoszonego z wytrwałą ufnością. Właśnie wówczas, gdy słabną ich siły i zdolność działania, nasi sędziwi bracia i siostry stają się szczególnie cennymi narzędziami tajemnych zamysłów Opatrzności.

Najbardziej naturalnym środowiskiem przeżywania starości pozostaje to, w którym człowiek w podeszłym wieku czuje się „u siebie” – wśród krewnych, znajomych i przyjaciół – oraz gdzie może być jeszcze w jakiś sposób użytecznym. W miarę jak wzrastać będzie średnia długość życia, a w konsekwencji także liczba ludzi starych, coraz bardziej konieczne będzie krzewienie kultury, która akceptuje i ceni starość, a nie spycha jej na margines społeczeństwa. Rozwiązaniem idealnym pozostaje obecność człowieka starego

w rodzinie, której należy zapewnić skuteczną pomoc socjalną, stosownie do potrzeb wzrastających wraz z upływem lat lub pogarszaniem się stanu zdrowia. Zdarzają się jednak sytuacje, w których okoliczności zalecają lub nakazują umieszczenie człowieka starego w „domu starców”, aby mógł przebywać w towarzystwie innych osób i korzystać ze specjalistycznej opieki. Wszystko to jest łatwiejsze, jeśli dzięki relacjom z krewnymi, przyjaciółmi i wspólnotami parafialnymi pensjonariusze domu starców mogą czuć się kochani i nadal przydatni społeczeństwu. W tym miejscu należy wspomnieć z podziwem i wdzięcznością o zgromadzeniach zakonnych i stowarzyszeniach wolontariatu, które ze szczególnym poświęceniem opiekują się ludźmi starymi, zwłaszcza ubogimi, samotnymi lub znajdującymi się w trudnych sytuacjach.

Wiara rozjaśnia tajemnicę śmierci i opromienia swym światłem starość, która nie jest już postrzegana i przeżywana jako bierne oczekiwanie na moment unicestwienia, ale jako zapowiedź rychłego już osiągnięcia pełnej dojrzałości. Lata te należy przeżywać w postawie ufego zawierzenia Bogu, szczodremu i miłosiernemu Ojcu; ten czas trzeba twórczo spożytkować, dążąc do pogłębienia życia duchowego przez usilniejszą modlitwę i gorliwą służbę braciom w miłości.

Mimo ograniczeń mego wieku bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć. Dziękuję za to Bogu! Pięknie jest służyć aż do końca sprawie Królestwa Bożego. Zarazem jednak głębokim pokojem napełnia mnie myśl o chwili, w której Bóg wezwie mnie do siebie – z życia do życia! Dlatego wypowiadam często – i bez najmniejszego odcienia smutku – modlitwę, którą kapłan odmawia po liturgii eucharystycznej: w godzinie śmierci wezwij mnie i każ mi przyjść do Siebie. Jest to modlitwa chrześcijańskiej nadziei, która w niczym nie umniejsza radości obecnej chwili, a przyszłość zawiera opiece Bożej dobroci.

Pozwól, o Panie życia, abyśmy to sobie wyraźnie uświadomili i umieli cieszyć się każdym etapem naszego życia jako darem niosącym bogate obietnice na przyszłość. Spraw, byśmy z miłością przyjmowali Twoją wolę, zawierając się każdego dnia Twoim miłosiernym dłoniom. Gdy zaś nadejdzie chwila ostatecznego „przejścia”, pozwól, abyśmy umieli ją powitać z pokojem w sercu, nie żałując niczego, co przyjdzie nam porzucić. Kiedy bowiem po dłu-

gim poszukiwaniu spotkamy Ciebie, odnajdziemy też wszystkie prawdziwe wartości, jakich zazналиśmy na ziemi, a także tych, którzy poprzedzili nas w znaku wiary i nadziei.

Maryjo, Matko ludzkości pielgrzymującej, módl się za nami „teraz i w godzinie śmierci naszej”. Spraw, byśmy byli zawsze blisko Jezusa, Twojego umiłowanego Syna, a naszego Brata, Pana życia i chwały. Amen!

KONWERSATORIUM XXVI (15.11.2008 r.)

Czy starość Panu Bogu się udała?

Motto:

Modlitwa św. Tomasza z Akwinu (1225-1274), która znajduje się na jego grobie w Tuluzie.

Panie, Ty wiesz lepiej aniżeli ja sam, że się starzeję i pewnego dnia będę stary.

Zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji. Odbierz mi chęć prostowania każdemu jego ścieżek.

Uczyń mnie poważnym, lecz nie ponurym, czynnym, lecz nie narzucającym się. Szkoda mi nie spożytkować wielkich zasobów mądrości, jakie posiadam, ale Ty, Panie, wiesz, że chciałbym zachować do końca paru przyjaciół.

Wyzwól mój umysł od niekończącego brnięcia w szczegóły i daj mi skrzydeł, bym w lot przechodził do rzeczy. Zamknij mi usta w przedmocie mych niedomagań i cierpień, w miarę jak ich przybywa, a chęć wyliczania ich staje się z upływem lat coraz słodsza. Nie proszę o łaskę rozkoszowania się opowieściami o cudzych cierpieniach, ale daj mi cierpliwość wysłuchania ich.

Nie śmiem Cię prosić o lepszą pamięć, ale proszę Cię o większą pokorę i mniej niezachwianą pewność, gdy moje wspomnienia wydają się sprzeczne z cudzymi. Użycz mi chwalebnego poczucia, że czasami mogę się mylić.

Zachowaj mnie miłym dla ludzi, choć z niektórymi z nich doprawdy trudno wytrzymać. Nie chcę być świętym, ale zgryźliwi starcy to jedno ze szczytów osiągnięć szatana.

Daj mi zdolność dostrzegania dobrych rzeczy w nieoczekiwanych miejscach i niespodziewanych zalet w ludziach. Daj mi, Panie, łaskę mówienia im o tym (...).

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii bł. Edmunda Bojanowskiego), prof. dr Wiesław Chrzanowski, dr Krystyna Długosz-Kurczabowa, i Izabela Dzieduszycka.

Ks. Adam Zelga

Ze zjawiskiem starości spotykamy się na co dzień. Miesiąc temu uczestniczyliśmy w Konwersatorium, którego temat dotyczył naszego udziału w społeczeństwie obywatelskim. W tym temacie zawarte jest również pytanie, czy właściwą troską otaczamy ludzi bezbronnych, dzieci, niepełnosprawnych, jak i ludzi starych. Zastanawiałem się nad tym, co jest tajemnicą starości, starość bowiem ma rozmaite oblicza. Pan Bóg obdarza każdego starością w sposób indywidualny i dla niego odpowiedni. Myślę, że tajemnicą starości i jej jakości, bez względu na to, jakie ona ma oblicze, jest praca każdego człowieka przez całe życie nad ukształtowaniem swojego wnętrza, swojej woli, swojego ducha. Nie znamy zamysłu Pana Boga dotyczącego naszej starości; o tę starość powinniśmy zadbać już od startu naszego życia, a więc o taką siłę ducha, która pomogłaby nam żyć godnie w starszym wieku.



Fot. 5. Paneliści: Ks. Adam Zelga, od lewej siedzą: Krystyna Długosz-Kurczabowa, Wiesław Chrzanowski i Izabela Dzieduszycka

Wiesław Chrzanowski

Nie będę się dzielił z Państwem swoimi doznaniem, swoimi przeżyciami, bo mam słabą świadomość tego, że jestem już stary. Zaproszeniem do panelu dzisiejszego Konwersatorium poczułem się „przywołany do porządku”.

Dla wierzącego tytuł tego panelu wydaje się dość szokujący, kontrowersyjny. Nie jesteśmy przecież uprawnieni sądzić, „co się Panu Bogu udało, a co się nie udało”. Czy wolno nam w ogóle przypuszczać, że Panu Bogu może się coś nie udać? To jest pytanie do księdza. Natomiast gdybyśmy mogli przyjąć, że cierpienia, poczucie samotności, uczucie upokorzenia wynikające np. z jakiejś degradacji intelektualnej, są to widome znaki tego, co się nie udało, to dlaczego te stany mielibyśmy przypisywać tylko starości? Należę do pokolenia, które przeżyło wojnę, później tzw. „czasy stalinowskie”, a więc czasy „kacetów”, łagrów, holokaustu etc. Te przeżycia prowadziły wielu do zwątpienia i do pytań: czy Bóg jest? czy gdyby Bóg był, to by do tego dopuścił? W telewizji oglądamy nieraz dzieci z porażeniem mózgowym skazane na dożgonną vegetację. Przyjmując takie kryterium „co się nie udało”, zawarte w tytule tego panelu, trzeba by zapytać, czy w ogóle stworzony świat i człowiek to udane Dzieło Boże.

W Piśmie Świętym też jest wiele bólu i wiele cierpienia; symbolem tego jest historia Hioba. Czyny Chrystusa opisane w Ewangelii to w podstawowej części uśmierzanie ziemskiego bólu, ziemskiego nieszczęścia – uzdrowienie trędowatych, wskrzeszenie Łazarza itp., a ma to być przecież dla nas wzór do naśladowania. W ludowej literaturze, w pieśniach znajdujemy określenia: „na ziemskim padole”, „na łez padole”. Szczęśliwość – to dopiero w „Królestwie Bożym”, które nie jest „z tego świata”. Dlatego też odpowiedzi na temat zjawisk, o których tu mowa, są usytuowane raczej na płaszczyźnie transcendencji. Jednak te wszystkie ciężkie doznania dosięgają nie tylko starych ludzi i to całkiem wybiórczo; trudno nam odkryć według jakiego kryterium. Są tacy, których życie jest „różami usłane”, ale równocześnie Pismo Święte mówi, że dla bogaczy przekroczenie progu „wiecznej szczęśliwości” jest szczególnie utrudnione; trudno nam orzec, jakie są tego przyczyny.



Fot. 6. Wiesław Chrzanowski

W moim rozumieniu z takich przyczyn, w ramach dzisiejszej dyskusji, szukać możemy odpowiedzi tylko na dwa pytania, na dwóch płaszczyznach.

A więc po pierwsze, jak powinien wyglądać stosunek ludzi, którzy nie weszli jeszcze w fazę starości, do ludzi starych, szczególnie tych, których sprawność, sytuacja życiowa, ich atrakcyjność, ze względu na wiek podlega ograniczeniu? Punktem wyjścia powinno być przykazanie miłości bliźniego. Właściwy stosunek młodszych do starych łagodzi starość, równocześnie ma moralną wartość.

Po drugie – jak człowiek stary powinien przeżywać ten finalny okres życia, jak się z nim zmagać? Inaczej mówiąc, nie chodzi o sądzenie Boga, co mógł sugerować tytuł panelu, ale o wypełnianie zadań przez samych ludzi, zadań zadanych z Bożej woli.

Zajmę się tą drugą płaszczyzną: jak człowiek stary powinien sobie radzić ze swoją starością? Wydaje mi się, że jest bardzo trafne sformułowanie pochodzące od znanego filozofa-egzystencjalisty, zresztą protestanta, Karla Jaspersa: „Człowiek jest nie tylko faktem, ale i zadaniem do spełnienia”. Fakt – to nasze pojawienie się na ziemi, zadanie – to jest to, czego w życiu powinniśmy dokonać. Każde zadanie jest na miarę „talentów” z biblijnej przypowieści, a także na miarę okoliczności, które wpływają determinująco na nasze postępowanie. Nie znaczy to, że kwestionuje się wolność woli, od niej zależy wybór jednego z możliwych zachowań czy postępowań. Okoliczności wyznacza również czas i miejsce, w jakich przebiega nasze ziemskie życie, np. warunki rodzinne, społeczne i polityczne.

Sprawa podstawowa – zmieniają się w trakcie życia talenty, zmieniają się okoliczności, lecz trzeba uznać, że zadanie, jakie mamy spełnić, jest na miarę całego naszego życia. W trzecim cytacie tekstu dostarczonego nam przez Uczelnię jest wypowiedź Jana Pawła II z Castel Gandolfo w marcu 1999 r., w którym Ojciec Święty mówił, że tzw. „trzeci wiek” jest wartością samoistną, jako że stanowi przedłużenie życia, a życie to dar Boży. Otrzymany dar zobowiązuje, dlatego moim zdaniem nie można akceptować postawy „ja już swoje wypełniłem, teraz należy mi się zasłużony odpoczynek” lub postawy roszczeniowej wobec najbliższych: „czekam na odpłatę za to, co dla was zrobiłem”.

Na życiowej drodze człowieka, inaczej niż na drodze zawodowej, brak jest miejsca na emeryturę; konieczne są uczynki. W liście

świętego Jakuba czytamy: „wiara bez uczynków martwa jest”. Odczytanie zadań, szczególnie tych u schyłku życia, przedstawia różny stopień trudności. O tych związanych z rodziną, między innymi pomoc w wychowywaniu wnuków, mówił Jan Paweł II we wspomnianym tekście. W naszym kręgu kulturowym zadanie to jest wprawdzie łatwiejsze dla kobiet, ale w dzisiejszym zabieganym świecie, w którym rodzice mało czasu poświęcają dzieciom, obydwójce dziadkowie mogą skutecznie wypełniać tę lukę. Dziś w życiu społecznym poszerza się także sfera działania dla tych, którzy już przekroczyli czas aktywności zawodowej – szukają ich liczne organizacje zwane „pozarządowymi”. Zaangażowanie ludzi w sile wieku w życie zawodowe bywa tak intensywne, że często na udział w innych działaniach brak już czasu i sił.

Skrajna sytuacja to jednak pełna utrata sprawności. Nauka Kościoła mówi, że cierpienie też można ofiarować za bliźnich, że modlitwa może ich wspomagać.

Jeszcze o jednym należałoby powiedzieć. Starzy ludzie, jak wiadomo, cenią sobie kontakty z młodymi, ale występują sytuacje, gdy gotowość młodych do kontaktów ze starymi może być odczuwana przez tych ostatnich jako swoista ofiara, jako jałmużna i może im uświadamiać społeczną ich degradację. Natomiast naturalnym zjawiskiem w życiu jest, że kontakty towarzyskie mają charakter pokoleniowy. Stąd swoistym nakazem moralnym powinna być gotowość podtrzymywania takich kontaktów z ludźmi swego pokolenia, czy nawet starszymi, mimo że często bywa to mało atrakcyjne. Jednak bolesne jest uczucie samotności, a ono szczególnie dotyka ludzi starych. Odchodzą bliscy, kurczy się krąg towarzyski, a do tego na przykład śmierć jednego z małżonków powoduje często, mimo początkowych zapewnień otoczenia, wyłączenie z kręgu towarzyskiego jego współmałżonka. Znam to z wielu obserwacji, a dotyczy to szczególnie kobiet, gdy zmarły mąż był osobą ważną w zakresie statusu społecznego i stąd był jego szeroki udział w różnych kręgach towarzyskich. Wdowa po nim znajduje się nagle na marginesie i odczuwa, że już jej nie oczekują. Dlatego wydaje się, że również w zaawansowanym wieku dobrze jest służyć gotowością nawiązywania znajomości; nieraz to może być nawet wymiana kilku zdań z osobą napotkaną na ulicy, w tramwaju – takich doświadczeń mam już teraz bardzo dużo.

Zwróć uwagę na jeszcze jeden szczegół, można go nazwać telefonicznym. Zawsze uważałem telefon za środek ułatwiający umówienie się i przekazanie krótkich komunikatów i irytowały mnie niekończące się rozmowy, będące często przyczyną zniweczenia całego planu jakiejś wieczorowej działalności umysłowej. Dopiero później zdałem sobie sprawę z tego, że w pewnym okresie zanika sprawność fizyczna i telefon zajmuje miejsce towarzyskich spotkań.

Z czynnym zaangażowaniem zawodowym starszych, dobrze starszych ludzi, mogą wiązać się ich bolesne doznania. Chodzi o zjawisko konfliktów międzypokoleniowych; młody człowiek często spostrzega starego jako przeszkodę w zajęciu określonej pozycji w życiu, stara się go usunąć ze stanowiska i wejść na jego miejsce, natomiast starym ludziom zejść ze sceny bywa bardzo trudno – bywa to bolesne. Po raz pierwszy pojawia się dolegliwe poczucie przemijania, poczucie krzywdy często wyrządzonej przez tych, którzy nam dużo zawdzięczają – mistrzowie przeżywają brak wdzięczności ze strony uczniów, mimo że powinni się pogodzić z tym, że istnieją w życiu określone cykle.

Przedstawione rozważania wskazują, że i w podeszłym wieku postawa czynna, oczywiście na miarę sił, jest możliwa; problemem bywa natomiast stosunek do swej starości. Ważne są też instytucje społeczne, przede wszystkim służba zdrowia. Problem narasta, bo okres starości wciąż się przedłuża.

W przytoczonym już tekście Ojciec Święty mówi: „Samą swoją obecnością człowiek starszy przypomina wszystkim, a zwłaszcza młodym, że życie na ziemi jest epizodem”. Co prawda, taki epizod może się skończyć również w dużo młodszy wiek, ale w późniejszym ta świadomość „kresu” jest bardziej obecna. Problem, czy odczuwamy ją bardziej jako ciężar, czy jako nadzieję, zależy od duchowej dojrzałości, przy czym wydaje się, że za stan tej dojrzałości nikogo, szczególnie Boga nie możemy obciążać.

Izabela Dzieduszycka

Jan Paweł II na jednym ze spotkań z młodzieżą powiedział, że o starości nie decyduje metryka, ale decydują jego duchowe wartości i jego własne przeżycia. Mimo że przekroczyłam osiemdziesiątkę, nie czuję się stara. Aktywność w młodszych latach zapewnia możliwość aktywności w późniejszym życiu. Należę do tej szczęśli-

wej grupy osób starszych, które mają przed sobą jeszcze wiele zadań, wiele aktywności, zarówno we własnej rodzinie, jak i w innych dziedzinach. Myślę, że nie odczuwam starości, bo wiem, że mogę jeszcze dużo zrobić, że jestem potrzebna. Natomiast uważam, że bardzo ważną rzeczą jest, aby młodsze pokolenie i organizacje pozarządowe, również parafie, potrafiły pomóc osobom starszym, które same nie są w stanie zaangażować się w taką czy inną działalność i aby mogły ją podjąć i realizować ją jako cel swojego życia. Jeśli chodzi o nas, w wieku więcej niż dojrzałym, to nasze doświadczenie, nasza wiedza są nieraz większe od wiedzy osób młodych. Oczywiście sprawność umysłowa młodych jest większa, ale pewne zasoby wiedzy i doświadczenia przekazane im w odpowiedni sposób mogą dużo wnieść i mogą być wartościowe w każdym środowisku. Poza tym musimy zdawać sobie sprawę, że jednak lata powodują utratę sprawności – już nie mogę zjeżdżać na nartach z Kasprowego; muszę się z tym pogodzić, ale jest dużo innych przyjemności, które również można mieć mimo zaawansowanego wieku.



Fot. 7. Izabela Dzieduszycka

Przyjmowanie ułomności związanych ze starością jest nie-raz bardzo trudne, ale jest to droga, na której przygotowujemy się do przejścia na tamten świat. Trzeba ją rozumieć i podejmować wysiłki, żeby ją przeżyć jak najlepiej. Wymaga czasu, aby dobrze przeżyć tę wędrówkę i zastanowić się nad ostatecznym celem naszego życia.

Jaki jest człowiek „młody duchem”? Moim zdaniem taki, który jest zdolny do miłości – do miłości swoich dzieci, zięciów, synowych, wnuków, do miłości przyjaciół i znajomych, z którym się spotyka czy pracuje. Jest to osoba, która potrafi wyrazić swoje zdanie, ale nie narzuca się z nim, nie jest agresywna. Tam gdzie widzi potrzebę, proponuje pomoc. Gdybym miała radzić komuś starszemu, to właśnie taka postawa życzliwa dla drugiego powoduje, że

człowiek czuje się potrzebny, radosny mimo wieku, mimo trudności, które niewątpliwie ma i mimo tego, że musiał zrezygnować z tego czy z tamtego. Myślę, że jeżeli właściwie podejdziemy do starości, to Panu Bogu starość się udała.

Krystyna Długosz-Kurczabowa

Początkowo, gdy otrzymałam propozycję wzięcia udziału w Konwersatorium, pojawiła się wątpliwość: czy podołam temu zadaniu, czy nie. Pozwólcie, Państwo, że najpierw się przedstawię: jestem z wykształcenia polonistką i całe swoje dorosłe życie poświęciłam językowi; pasjonowało mnie słowo – jego funkcjonowanie, jego znaczenie. Gdy usłyszałam w telefonicznym zaproszeniu słowo „starość”, to natychmiast pomyślałam sobie: „To świetnie, omówię etymologię tego słowa: połączę starość ze starostą, a to ze staruszką i starcem, starzykiem i starką. Ile tu będzie możliwości odtwarzania pojęć pierwotnych i ich ewolucji, ukazania relacji z wyrazami z innych języków, np. łacińskie senator i senior, fran-



cuskie sire, angielskie sir, włoskie signor, signora, signorina, a także monsignore – mnóstwo form i znaczeń. Pozwoli mi to przedstawić wartość, jaką ma starość w różnych kręgach kulturowych i jak te nazwy związane ze starością funkcjonują w przedstawionych tytułach i zwrotach. Po krótkiej rozmowie wstępnej dowiedziałam się jednak, że tu nie chodzi o rozważania teoretyczne, lecz o moje świadectwo na temat własnej starości. Wtedy pomyślałam sobie: „Ależ ja nie jestem stara!”.

Zaproszenie jednak przyjąłam i za-

Fot. 8. Krystyna Długosz-Kurczabowa

częłam zastanawiać się, co powinnam zrobić, co mówić? Może przyjąć, ukłonić się i powiedzieć: „Tak wygląda starość!”? To byłoby nieelegancko wobec organizatorów i zgromadzonych tutaj osób. Próbowałam więc tę wiedzę, a właściwie swoją niewiedzę na temat własnej starości zobiektywizować. Podejmowałam rozmowy z różnymi osobami

na temat starości w ogóle. Zaczęłam od najbliższej rodziny i w czasie kolacji zapytałam wnuka, 13-letniego Krzysia: „Krzysiu, co to jest starość?”. Krzys jest trzynastolatkiem, takim trochę filozofem-matematykiem. Odpowiedział: „Babciu, starość to jest ostatni okres w życiu człowieka, zaczyna się po sześćdziesiątce i w zależności od bilansu życiowego przebiega różnie. Jeżeli bilans jest pozytywny, to wtedy wyzwalają się u osoby starej nastroje altruistyczne, chęć pomagania innym, życzliwość. Jeżeli bilans jest negatywny, wtedy rośnie agresja, egoizm starczy itp.”. Muszę państwu powiedzieć, że byłam tym absolutnie zaskoczona. Pomyślałam sobie, co się dzieje z 13-letnim dzieckiem, które jest inteligentne, odcytane, ale do tej pory normalne. „Skąd ty to wiesz?” spytałam, a on na to: „Babciu, myśmy wczoraj o tym mówili w szkole na lekcji wychowania o społeczeństwie. Jak chcesz, to dam ci podręcznik, przeczytasz sobie więcej”. Podniosło mnie na duchu, że nie byłam dla niego symbolem starości i że chciał mnie jeszcze wesprzeć własnym podręcznikiem jako źródłem informacji o starości. Później robiłam sondaże wśród rówieśników, a więc u osób około 65. roku życia. Gdy zapytałam jednego z panów: „Czy jesteś stary?”. „Ja? Skądże, mam dopiero 40 lat!” (tzn. na tyle się czuje, bo ja przecież wiem, ile on ma naprawdę lat). No to pytam dalej: „A kto jest stary?” – „Na pewno nie ja.” Zapytałam sąsiadkę: „Słuchaj, co byś powiedziała o starości? Czy czujesz się stara?” – „Jak chcesz zobaczyć starych – odpowiedziała – to idź do osiedlowego marketu, zwłaszcza w południe, wtedy oni wszyscy (tzn. starzy ludzie) wychodzą ze swoich mieszkań i robią zakupy. Tam dopiero można zobaczyć, jak wyglądają starzy” (a przecież ona jest mniej więcej w tym samym wieku, co tamci ludzie i – jak wynika z wypowiedzi – też tam o tej porze chodzi). „To znaczy: jak?” – „Chodzą wolno, pochyleni, mają obwisłe policzki i tępe spojrzenie.” Kiedy indziej ta sama osoba mówi: „Jestem już stara i nie mogę się przemęczać pracą” albo „Jestem stara, muszę zadbać o siebie”.

Pomyślałam sobie, że ze starością jest trochę tak, jak z poezją. Norwid powiedział, że *poetą się nie jest, poetą się bywa*. Wydaje mi się, że *starym się nie jest, starym się bywa*, niezależnie od metryki. Jak człowiekowi jest źle, to jest stary, a jak mu jest dobrze, jest radosny, nic mu nie dolega, wtedy przestaje być stary i starymi stają się inni. To tylko taka dygresja o tym, czego dowiedziałam się od innych na temat starości.

Chciałam jednak na serio potraktować to zaproszenie i dać świadectwo o swojej starości. Dlatego też – korzystając z podpowiedzi wnuka, że *o starości decyduje bilans życiowy*, a zatem żeby dać to świadectwo – powinnam odpowiedzieć, jaki jest bilans mojego życia i czy ta moja starość bilansuje się *na tak*, czy *na nie*. W tym *doczesnym rozrachunku* muszę powiedzieć, że miałam szczęście i ogromną łaskę od Boga, bo ta moja starość jest jak dotąd dobrą starością, bo zarówno relacje rodzinne, jak i zawodowe mam dobre i sprawiają mi wiele radości. Jeżeli świat zewnętrzny nie przypomina nam o naszej metryce, o naszym wyglądzie, jeżeli pozwala nam zachowywać się w sposób naturalny, to wtedy nasza starość nie jest dolegliwa i nie jest przykra.

Starość to *ostatni* etap życia i czas *ostatecznego* bilansu. Ma on zatem *wymiar eschatologiczny*. Przed nami prawdziwy *egzamin życiowy*, prywatny, indywidualny i bez znajomości, który każdy z nas musi zdać. Czy jesteśmy przygotowani do tego ostatniego i ostatecznego egzaminu? Czy ja jestem dobrze przygotowana?

Trzeba mieć świadomość nieuchronności śmierci, bo ze śmiercią to trochę tak jak ze starością: od czasów Epikura znamy stwierdzenie, że śmierć nas nie dotyczy, bo jak my jesteśmy, to śmierci nie ma, a jak śmierć jest, to nas nie ma, czyli w ogóle nie ma problemu śmierci. Jednak poza śmiercią jest jeszcze umieranie, a jak twierdzą niektórzy, to umieranie rozpoczyna się w momencie narodzin; umieranie jest procesem i trzeba mieć tego świadomość. Myślę, że pewnie sama śmierć jest czymś trudnym i nie mogę powiedzieć, że jestem do niej dobrze przygotowana, że się nie boję; natomiast to, co powoduje, że nie wpadam w depresję, to świadomość, że mnóstwo osób kochających mnie i bardzo mi bliskich czeka tam na mnie i że oni mnie będą wspierać. Tak więc nawet ta eschatologiczna i najtrudniejsza w naszej starości sprawa bliskości rozstania z tym światem może być złagodzona nadzieją spotkania i ufnością w Boże miłosierdzie.

Dyskusja

Andrzej Skoczek

Tytuł naszego dzisiejszego spotkania „czy starość się Panu Bogu udała?” jest wyraźnie prowokacyjny. Odpowiedź na to pytanie

zależy od tego, kto jej udziela. Jeśli udziela jej człowiek o czerstwym zdrowiu, tak zwany „czerstwy staruszek”, to odpowiedź będzie pozytywna, tym bardziej, jeśli będzie podbudowana pięknym, intensywnym życiem w otoczeniu kochających ludzi. Natomiast gdy udziela jej człowiek wijący się z bólu i proszący o skrócenie cierpienia, to ta odpowiedź może być negatywna.

Jeżeli mówimy o starości, to oceniamy ją przeważnie w perspektywie własnego zdrowia. Nasze zdrowie determinuje, czy będziemy dobrze się czuć w starości, czy przeżywać będziemy dyskomfort. Ludzie starzy boją się również samotności, braku społecznej akceptacji i poczucia własnej bezużyteczności.

Czy ludzie starzy boją się śmierci? Moim zdaniem, boją się cierpienia, bólu, boją się umierania bez ludzkiej wrażliwości, bez miłości, w samotności.

Choroba jest często wyznacznikiem starości. Dla mnie zupełnym nieporozumieniem jest reforma służby zdrowia oparta wyłącznie na kalkulacji ekonomicznej. Szpital to nie przedsiębiorstwo, to nie fabryka cegieł. Szpital to miejsce, gdzie człowiek ma odzyskać zdrowie fizyczne i psychiczne. Moim zdaniem, mniej naganne jest pewne marnotrawstwo pieniędzy wydawanych na leczenie i profilaktykę ponad miarę niż ich brak na leczenie.



Fot. 9. Słuchacze. Pierwszy z lewej Andrzej Dowgiałło, obok Jadwiga Piotrkiewicz, dalej Teresa Matula i Andrzej Skoczek

Niedawno mój przyjaciel poprosił mnie, abym go odwiedził w szpitalu onkologicznym. Otrzymał wyrok z ust lekarza, który mu powiedział: „Proszę pana, pan ma raka w takim stadium, że my już panu nie pomożemy; po prostu szkoda pieniędzy na to, żeby pana leczyć; niech pan idzie do domu”. To powiedział lekarz: „Szkoda dla pana pieniędzy”. Na szczęście znalazł pomoc w Lublinie, w małej fundacji kościelnej, która przygarnęła go i dała isierkę nadziei. Nie chodzi tu o wyleczenie, ale o tę isierkę nadziei, która podtrzymuje jego wolę życia, a ta nadzieja jest warta każdych pieniędzy. Mam z nim kontakt telefoniczny praktycznie raz w tygodniu i czuję w jego głosie, że gaśnie, ale jest jeszcze pełen nadziei, bo ktoś mu pomaga, bo on w tej placówce jest otoczony miłością i troskliwością. Jest to wspaniałe i bardzo piękne.

Myślę, że nasze społeczeństwo powinno zwrócić uwagę na poruszoną kwestię, bo problem starości będzie je dotykał coraz bardziej. Nie można wytykać ludziom starym, że jeszcze żyją, że są obciążeniem dla innych, młodych i zdrowych, że to kosztuje. W społeczeństwie chrześcijańskim takiego nastawienia nie można akceptować.

Elżbieta Wójcik

Zajmowałam się ostatnio problemem mózgu w starszym wieku; podam kilka ciekawych danych: waga mózgu nie ma wpływu na inteligencję. Przeciętna waga mózgu dorosłego człowieka wynosi od 1200 do 2200 g – średnio powyżej jednego kilograma. Były przeprowadzone badania mózgów dużej grupy ludzi bardzo wybitnych. Stwierdzono, że mimo że ich poziom intelektualny był bardzo wysoki zaznaczyły się duże różnice w wadze ich mózgów. Podobno największy mózg – ponad 2800 g, miał pewien młody człowiek, który zmarł w wieku 21 lat, a był niedorozwiniętym epileptykiem. Jest takie powiedzenie, że można mieć dużą inteligencję z małym mózgiem, a być idiotą z wielkim mózgiem.

Co wpływa na zachowanie młodości mózgu? Normalnie mózg starzeje się z czasem, ale takie fizjologiczne starzenie się nie jest specjalnie groźne; może wpływać na pewną utratę pamięci. Większą jednak wagę mają różne schorzenia, takie jak nerwica, urazy, krwaki mózgu. Na utrzymanie dobrego, „młodego” mózgu wpływają trzy czynniki: ćwiczenie sprawności intelektualnej, prawidłowe odżywianie i ruch. Do ćwiczeń intelektualnych należy zaliczyć

rozwijanie zainteresowań, stałe uczenie się nowych rzeczy itp. Bardzo ważna jest dieta, żeby przeciwdziałać miażdżycy. Chodzi głównie o unikanie tzw. kwasów tłuszczowych nienasyconych. Ruch jest trzecim z wymienionych ważnych czynników. Wpływa on na działalność mózgu przez większe jego ukrwienie, powodujące lepsze dotlenianie. A więc dla utrzymania młodości mózgu polecany jest ruch, ale niezbyt intensywny; przeciwwskazane są gwałtowne i ciężkie wysiłki. Wskazane zaś chodzenie, bieganie, lekka gimnastyka, jazda na rowerze.

Franciszek Ufnal

Chcę podnieść sprawę używanych terminów. Jan Paweł II wyraźnie pisze „ludzie starsi” nie „starzy”. W liście z 1999 r pisze: „ludzie starsi są potrzebni” i dalej „trzeci wiek jest przede wszystkim wartością samoistną, jako że stanowi przedłużenie życia, a ży-



Fot. 10. Pierwsza z prawej Elżbieta Pierścioneł, obok Elżbieta Skoczek

cie jest darem Bożym. Wiek ten niesie ze sobą szczególne „talenty”, ponieważ człowiek starszy posiada bogaty zasób doświadczeń i wiedzy, której jest strażnikiem. Dlatego we wszystkich kulturach starzec to synonim mądrości i równowagi”. Doświadczyłem tego osobiście w Bagdadzie. Pewien Asyryjczyk zaprosił mnie do swojej rodziny, żeby pokazać, jak tam szanowani są ludzie w wieku dojrza-

łym. Dostojność takiego człowieka na każdym kroku przejawiała się w jego wielopokoleniowej rodzinie.

Również w liście z października 1999 r. Ojciec Św. pisze: „ludzie w podeszłym wieku” – nie ma ludzi starych, jesteśmy dostojni wiekiem. Nie zgadzam się z moimi przedmówcami, którzy nazywają siebie albo innych starymi. Nie ma ludzi starych – są ludzie dostojni i trzeba tych ludzi szanować. Dlaczego w parlamentach świata występuje bardzo dużo ludzi dojrzałych? Są oni tam po to, aby młodym pomóc rządzić.

Elżbieta Pierścionek

Moja wypowiedź na temat starości będzie wierszem:

”Gorąca czekolada”

*Rozmazał się we mgle lila-brzozowy wrzesień
Rozlał koniakowy październik
Padła połowa listopada
Znajomy świerszcz na dobre zasnął
Szarość panoszy się blada
Pod płaszczyk prosto w serce wkrada się chłód
Dymi gorąca czekolada
Przyszła pora deszczowa, pada
Każdego rana otwieram oczy z nadzieją
Moje wnuki się śmieją.*

„Rozmowa starszego pana z żoną”

*Przemknęła młodość bez śladu,
Poorąta usta, przekreśliła oczy, opuściła ramiona
Piękności ty moja, gdzie uroda twoja.
Gdybym była dzisiaj piękna i młoda
Gdyby wróciła do mnie niedawna uroda
Ciebie bym wybrała, ciebie kochała*

„Starość, czy się udała?”

*Podziękuj Panu Bogu za starość,
jeśli jej dożyłeś.*

*Przecież liczyłeś na nią,
 niejeden toast wypijeś,
 Nie mniej niż sto lat chciałeś,
 innym też sto życzyłeś.
 Zawarłeś rozejm ze śmiercią,
 życiem się cieszyłeś
 Potraktuj starość jak dar,
 niezwykle prezent urodzinowy.
 Nie reklamuj, jeśli ci nie pasuje,
 to nie młodość, łatwo się psuje.
 Podziękuj Bogu za starość,
 wszak cudu doświadczyłeś,
 Nieważne, że się udała,
 ważne, by długo trwała.*

Waldemar Zaremba (student)

Spojrzenie na starość uzależnione jest od tego, jak postrzegamy świat, czego oczekujemy od momentu, w którym będzie nam dane rozstać się ze światem. Mój dziadek na swoje odejście przygotowywał się przez dwa lata; poważna choroba przykuła go do łóżka. Był pogodzony z tym, że odejdzie i jestem pewien, że wierzył w to, że ktoś po drugiej stronie czeka na niego. Wiara pozwalała mu spokojnie oczekiwać śmierci. Jeżeli będziemy wierzyć w to, że po drugiej stronie nie ma pustki, ale jest Bóg, to nasza starość będzie chwilą odpoczynku przed czymś radosnym.

W filmach pokazywanych w telewizji na temat życia plemiennego w Afryce, Azji i Ameryce Południowej można dostrzec wielki szacunek młodych do osób starszych. W dalszym ciągu utrzymują się tam tzw. „rady starszych”. Osoby w podeszłym wieku nie są traktowane jako niedołążne, jako balast, ale jako osoby posiadające wielką wiedzę i doświadczenie. Obdarzone są wielkim szacunkiem, którego niestety nie dostrzegam dzisiaj w Polsce wśród osób młodszych. Boję się, że pop kultura, która nas otacza, nie propaguje takich zachowań, o jakich dzisiaj rozmawiamy.

Tadeusz Wójcik

Dzisiaj jest powszechnie przyjęte, że uciekamy od nieudanego interesu. Czy starość jest interesem nieudanym, od którego każdy

ucieka? Staramy się przecież funkcjonować w nim jak najdłużej. W ogólnej opinii starość jest udanym interesem.

Ktoś kiedyś powiedział, że mądrość jest najbardziej sprawiedliwie rozdawanym dobrem w świecie. Ludzie narzekają na brak zdrowia, pieniędzy, natomiast nikt nie narzeka na brak mądrości. Myślę, że podobnie jest ze starością. Oczywiście jak boli kręgosłup czy coś innego, to narzekamy, ale w sumie zainteresowanie życiem jest nadal żywe. Sytuacja ekonomiczna, w jakiej dzisiaj żyjemy, stwarza szczególne zapotrzebowanie na emerytów, na ludzi, którzy mają trochę wolnego czasu, nie są bardzo zajęci. Działam w różnych społecznych akcjach, prosząc ludzi starszych o pomoc i często spotykam się z odpowiedzią: „Nie dzisiaj, bo zajmuję się wnukami – synowa nie ma czasu” lub „Muszę pomóc synowi, bo jest bardzo zapracowany” itp. Jest wielkie zapotrzebowanie na „czynnych emerytów” i tego trzeba być świadomym.



Fot. 11. Państwo Tadeusz i Elżbieta Wójcik. W drugim rzędzie, pierwszy po lewej stronie Grzegorz Polak

Mówiło się tutaj o „pokoleniowej solidarności”, czy konfliktach międzypokoleniowych. Kiedyś czytałem książki o mądrości egipskiej. Trzy tysiące lat przed Chrystusem powstała „szkoła mądrości” w Egipcie, wynikająca głównie z obserwacji tej cudownej regularności, z którą Nil użyźniał ziemię raz w roku. Konkluzja była taka, że

musi istnieć jakaś ogólna mądrość, która tym kieruje. W jednej z tych książek przeczytałem cytowane narzekania: „Jaka niedobra jest dzisiejsza młodzież, nie szanuje rodziców” itd. Otóż, jeśli tak mówiono trzy tysiące lat przed Chrystusem i ciągle się tak mówi, to trzeba się zastanowić nad przyczyną tego konfliktu. Nie wiem, czy my starsi nie oceniamy młodych ludzi na podstawie zewnętrznych objawów. Mnie wychowanego w czasach, kiedy palenie papierosów przez kobiety na ulicach było czymś, powiedzmy, niestosownym, denerwują młode dziewczyny palące na ulicy. Odpędzam to od siebie, bo teraz jest inna sytuacja, inne zwyczaje. W rozmowie z młodymi powinniśmy „odganiać” te objawy zewnętrzne, a więc te papierosy, czy te 10 cm gołych bioder, prezentowanych niezależnie od pory roku. Jeśli się to zrobi, to dochodzi się do rdzenia, do istoty człowieka, który jest przeważnie dobry i nie różni się od naszego pokolenia.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałam poruszyć dwie sprawy. Pierwsza dotyczy mojego ojca, który dożył 93 lat i właściwie nigdy nie uważaliśmy go za starego człowieka w sensie mentalnym. Miał niesłyszana żywiość umysłu, bardzo dobry kontakt nie tylko z nami dziećmi, ale również z naszymi „połówkami”, czyli z moim mężem i moimi bratowymi. Kochały go również nasze dzieci, a jego wnuki. Było kiedyś rodzinne spotkanie, na którym jeden z moich bratanków (wówczas 20-letni) mówił o swoim dziadku jako o człowieku, z którym miał fantastyczny kontakt przez całe swoje życie. Mój ojciec aż do ostatniego momentu był zadowolony ze swojego życia, ze swojej starości, mimo że prawie całkowicie nie widział, że miał artretyzm, który mu czasem bardzo dokuczał i z trudnością się poruszał. Zawsze nam mówił: „Pamiętajcie, optymiści żyją dłużej”. Był optymistą, pogodnie patrzył na świat z doświadczeniem swojego wieku. Mając 93 lata dostał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Ponieważ mieszkał w Warszawie z nami, senat Uniwersytetu Wrocławskiego wręczał mu doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Tradycją jest, że nowo mianowany doktor odpowiadając na laudację przemawia. Swojej wypowiedzi nie mógł mój ojciec napisać, przygotował ją więc sobie tylko „w głowie”. Mówił tak, że całe audytorium owacyjnie przyjęło jego przemówienie. To było parę miesięcy przed jego śmiercią.

Dzisiaj obchodzimy Święto Szkoły, w dzień rocznicy urodzin naszego patrona bł. Edmunda Bojanowskiego. Rozpoczęliśmy go Mszą świętą, w czasie której homilię wygłosił ksiądz Jacek Pleskaczyński – jezuita. Nawiązując do tematu dzisiejszego Konwersatorium, wspominał swojego stryja będącego już wtedy po osiemnastolatce. Gdy ojciec Jacek spytał go, jak odbiera starość, w odpowiedzi usłyszał, że starość jest uzależniona od tego, jakie było całe życie.

Mówiliśmy i mówimy to naszym dzieciom, naszym wnukom, że ogromną wartością jest życie zgodne z Dekalogiem, czego się bardzo często nie docenia. Daje spokój, daje pewność, że to jest właściwy wybór i jak wejdziesz w starość, niezależnie od dolegliwości, które człowieka dotykają, to odbiór tego wieku jest bardzo pozytywny. Człowiek nie ma żadnych złych rzeczy na sumieniu. To się buduje przez całe życie, a więc przez całe życie trzeba wybierać te dobre rzeczy, a wtedy na starość człowiek jest szczęśliwy.

Elżbieta Wójcik

Chciałabym dopowiedzieć, dlaczego zaleca się ćwiczenie sprawności umysłowej i jaki to ma wpływ na nasz mózg. Otóż ilość komórek nerwowych w mózgu i rdzeniu kręgowym jest stała od naszego urodzenia i te komórki się nie zmieniają. Noworodek ma już pełną liczbę komórek nerwowych, taką jak w starszym wieku. Jeżeli więc ćwiczymy sprawność umysłową, to komórki nerwowe ożywają się, a równocześnie tworzą się nowe połączenia między nimi a nerwami, tzw. synapsy. Ćwiczenie umysłowe zwiększają ilość tych połączeń – tych synaps, a to z kolei ma wielkie znaczenie dla utrzymania świadomości i inteligencji.

Ewa Szlubowska

Chociaż wszyscy wierzymy, że życie tutaj to tylko wstęp, a prawdziwe życie będzie po śmierci, mimo tego kurczowo trzymamy się życia tutaj. Zanim przyjdzie 60-tka, mało kto myśli o śmierci, że może za chwilę umrzeć i że nikt nie może być pewnym ani dnia, ani godziny. Ja sama otarłam się dwa razy o śmierć. Wróciłam, w pewnym sensie, z „tamtej strony”. Dodało mi to takiego, brzydko mówiąc, „kopa” w sensie działania z miłością. Niestety czasem o tym zapominamy i gdy dochodzimy do kresu i robimy rachunek sumienia z naszego życia, żałujemy całej grupy takich

momentów, które mogły wyzwolić w nas miłość do drugiego człowieka, a nie wyzwoliły.

Ks. Adam Zelga

Zdanie Świętego Jakuba, że „wiara bez uczynków martwa jest”, można uzupełnić, że „wiara bez miłości martwa jest”.



Fot. 12. Jacek Waksmundzki, obok z lewej Leokadia Waksmundzka

Leokadia Waksmundzka

Chciałam jeszcze powiedzieć dwa słowa, że na starość trzeba sobie zasłużyć, trzeba na nią pracować całe życie. Trzeba sobie obrać jakąś misję, wyznaczyć zadania. Zrobiłam tak i teraz zbieram owoce.

Barbara Falkowska

Jestem artystką plastykiem w wieku emerytalnym. Mimo zaawansowanego wieku, nadal jestem czynna w swoim zawodzie i znajduję nowe dla mnie radości w tej pracy.

W czasie dyskusji uprzytomniłam sobie, jak ważne jest dla mnie nazywanie rzeczy właściwym słowem. Kiedy mówię o starości, mam na myśli określony etap życia człowieka, który w każdym okresie swego istnienia bierze coś ze świata i daje mu coś innego. Mam bardzo żywe odczucie, że mój kontakt ze światem jest dziś

bogatszy o pewne obszary, które dopiero teraz są dla mnie dostępne. Są chwile, kiedy czuję się obdarowana okresem starości, gdyż spotykam przeżycia radości, wzruszenia, których przedtem nie znałam.

Myślę, że mówiąc o starości, zbyt często porównuje się ten okres z młodością. Jest to okres ani lepszy, ani gorszy – jest on inny.

A jeśli chodzi o kondycję, to niemowlęta i małe dzieci też ją mają ograniczoną, a są (a raczej bywają) bardzo radosne.

Andrzej Dowgiałło

Chciałbym powiedzieć coś ze swoich wspomnień na temat stosunku do starszych osób, obserwowanym w szpitalu i w domu opieki prowadzonym przez siostry służebniczki. To była ogromna różnica. Siostry w domu opieki odnosiły się do swoich podopiecznych z delikatnością, cierpliwością i sympatią i to odczuwało się na każdym kroku. Brakowało tego w szpitalu.



Fot. 13. Wśród słuchaczy liczne grono Sióstr Służebniczek NMP, zgromadzenia założonego przez bł. Edmunda Bojanowskiego

Zbigniew Witecki

Pytałem się swojej mamy, jaka jest starość, bo mama ma osiemdziesiąt parę lat, jest wdową i osobą bardzo chorą. Odpowiedziała mi, że jest fantastyczna. Bardzo mnie to zastanowiło. Myślę, że polega to na akceptacji stanu, w którym się jest. Jeżeli człowiek, a szczególnie chrześcijanin akceptuje teraźniejszość, ma całkiem inną postawę w stosunku do niej, bez względu na to, jakie ma zdro-

wie, czy ma pracę, jakie ma dochody; są to dla niego rzeczy drugorzędne. Każdy okres w życiu człowieka jest „normalny”, jeżeli go się akceptuje. Jest wtedy szansa na to, żeby akceptując całe swoje dotychczasowe życie, całą przeszłość, móc naprawić to, co było złe; żyć teraźniejszością – dziękując za wszystko Bogu, a to z kolei ma swoje bezpośrednie przełożenie na perspektywę wieczności. Jeżeli my, chrześcijanie, oczekujemy wiecznej szczęśliwości, a ten ziemski czas jest tylko krótkim pielgrzymowaniem, to wtedy ani starość nie jest straszna, ani sama śmierć, parafrazując słowa Świętego Pawła z Listu do Filipian: „Pragnę już być z Chrystusem, bo to lepsze, ale dobre jest dla was, żebym jeszcze tutaj był”. Podsumowując: nie powinno się mówić, że starość jest zła, lecz starać się ją zaakceptować, bo wtedy też możemy pełnić swoje posłannictwo i wolę Boga.



Fot. 14. Słuchacze i paneliści. Wśród słuchaczy w drugim rzędzie od lewej siedzą: Elżbieta i Tadeusz Wójcik, oraz Leokadia Waksmundzka i Jacek Waksmundzki

Alicja Sowa (studentka)

Moja babcia jest osobą starszą i ja ją uwielbiam. Kiedy już jestem zmęczona i nie mam sił, ona jeszcze ma dosyć energii, żeby jeszcze coś zrobić. Uważam, że każdy z nas i młody i starszy, może być pełen życia i z niego się cieszyć.

Agnieszka Wiślicka (studentka)

Ja też myśląc o starości, zawsze mam w pamięci moją babcię, która odeszła do Pana w zeszłym roku. Przez całe życie była dla mnie wspaniałym wzorem, pomagała innym, dawała wiele z siebie. Widząc starsze osoby zawsze myślę o niej i staram się dużo rozmawiać z nimi i słuchać tego co mówią. Często starsze osoby są chodzącą mądrością i można od nich dowiedzieć się wiele ciekawych rzeczy również z przeszłości. Często najmłodsze pokolenie w wieku około 15 lat jeszcze tego nie rozumie, ale miejmy nadzieję, że przyjdzie to z czasem.

Urszula Kossowska-Cezak

Na wstępie mojej wypowiedzi chciałabym spróbować podać definicję starości. Każdy przedstawiał ją inaczej. Jedna z pań twierdziła, że jest czynna i ma jeszcze wiele planów, więc nie jest stara. Czy więc niepełnosprawny, śmiertelnie chory nastolatek jest już stary? Mimo wszystko jest przecież młody. Ktoś inny nie chce być stary, tylko starszy. Siedmiolatek jest starszy od pięciolatka, mimo to obydwaj są dziećmi. Jeszcze ktoś inny proponuje termin dostojny na ludzi starych. Czy dostojnym jest zgrzybiały staruszek z kapką u nosa? Ktoś przedstawiał starego człowieka jako człowieka mądrego. Moim zdaniem jest to iluzja – jeżeli ktoś nie był mądrym w dojrzałym wieku, to na pewno nie zmądrzał na starość. Jeszcze ktoś inny stwierdził, że starość zaczyna się wtedy, kiedy zaczyna się myśleć o śmierci. Czy więc trzynastolatka, która postanowiła w sposób naturalny dożyć swoich dni, nie dręczona kolejnymi operacjami i pobytami w szpitalu, jest stara? Ona jest tylko bardzo dojrzała.

Czymże więc jest starość? Jest to zaawansowany etap życia, w sposób naturalny przychodzący z wiekiem, w którym człowiek staje się mniej sprawny fizycznie, często również umysłowo, w którym pojawiają się różne dolegliwości i zmienia się wygląd. Dotyka to każdego, kto żyje dostatecznie długo, choć są duże różnice indywidualne tak w wieku, w którym się to zaczyna, w tempie w jakim to zachodzi, a także w rodzaju zachodzących zmian. Im dłużej człowiek żyje (o czym marzy prawie każdy), tym dłużej i coraz bardziej jest stary. Tkwi w tym istota paradoksu: każdy chce żyć długo, ale nikt nie chce być stary. Dlaczego tak jest?



Fot. 15. Urszula Kossowska-Cezak

Stary człowiek czuje się mniej wartościowy i zaczyna się bać, szczególnie tej schyłkowej starości, kiedy staje się bezradny, niekiedy ze zmałym umysłem, zdany na innych. Jeżeli ma kochającą rodzinę, to może mieć nadzieję, że będzie otoczony troską i opieką. Jeżeli jednak jest samotny i ma niską emeryturę, trafia do podrzędnego domu opieki, gdzie zostaje sprowadzony do roli uciążliwego przedmiotu. Perspektywa jest przerażająca. Czy to jednak oznacza, że „Panu Bogu starość się nie udała”? Według mnie jest wprost przeciwnie, tkwi w tym głęboka mądrość. Udręki późnej starości mogą być tak uciążliwe, że śmierć może być upragniona.

Uciążliwościami starości może być niechętny i lekceważący stosunek młodych. Wynika on z panującego kultu młodości i powszechnego zaniku wartości chrześcijańskich z miłością bliźniego na czele, zastąpiony egoistycznym kultem sukcesu osobistego, do którego należy dążyć za wszelką cenę. Wynika on również z przyczyn demograficznych. Jest mniejszy przyrost naturalny, a równocześnie, dzięki zdobyczom medycyny, przedłużenie życia ludzkiego. Spowodowało to zmianę proporcji. Kiedyś jeden sędziwy dziadek lub babcia przypadali na całą gromadę wnuków, dziś czasem komplet czworga dziadków przypada na jednego wnuka. Stary człowiek stał się mniej atrakcyjny z powodów czysto statystycznych.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Warto, aby młodzi, zakładający rodziny, o tym pamiętali, że jakość ich starości może być zależna od tego, jakie będą ich rodziny.

Ks. Adam Zelga

Na naszym dzisiejszym spotkaniu mówiliśmy o starości i mówiliśmy o śmierci. Chciałbym je zakończyć przykładem dotyczącym i życia i śmierci. Na onkologii umierał pewien człowiek, który poprosił o spowiedź swego przyjaciela – księdza. Gdy ten przyjechał do niego, zastał go bardzo cierpiącym, ale spokojnym i radosnym. Gdy zadał pytanie: „Co jest tajemnicą tego spokoju i wewnętrznej radości” – był wstrząśnięty prostotą i głębią odpowiedzi. Umierający powiedział, że całe życie był wierzący i całe życie mówił Panu Jezusowi: „Bądź wola Twoja, ale robiłem to, co ja chciałem”, a teraz, gdy nie mam już innego wyjścia, mówię: „Wreszcie mogę pełnić Twoją wolę, Panie, i ją przyjmuję”. To końcowe wyznanie wiary ćwiczył całe swoje życie.

Wcześniej pani Teresa mówiła o ćwiczeniu umysłu, koniecznym dla zachowania młodości mózgu. Najlepszym ćwiczeniem zarówno umysłu jak i duchowości jest modlitwa i medytacja w czasie adoracji Najświętszego Sakramentu. Dzisiaj niestety jest to często bardzo zaniedbywane. Kilka dni temu pochowałem mojego przyjaciela księdza – kolegę z ławki szkolnej, który jeszcze dwa miesiące temu był zdrowy, a dziś już nie żyje. Wykonywał kapitalną patriotyczną robotę w Polskiej Misji Katolickiej. Umierał bardzo pięknie, bez lęku, z wielkim zawierzeniem i zaufaniem.

W Państwa wypowiedziach było wiele z relacji z żywym Chrystusem. Życzę wszystkim, aby tę relację odnaleźli i ją ćwiczyli. Wtedy nie będziemy starcami, ale „dostojnymi”.

Spisał z nagrania Bogumił Chlebny

*Czy oferta handlowa zabija w nas ducha
świętowania (mieć czy być)?*

Cytaty

Biskupi polscy. Bronić wartości niedzieli
(4.10.2001, fragmenty)

Jesteśmy przekonani, że niezależnie od wymogów dokonującej się w naszym kraju transformacji, należy bronić wartości, jaką stanowi świąteczny charakter niedzieli. Dzień Pański nie tylko wyznaczał rytm liczącej dwa tysiące lat historii Kościoła, ale stał się istotnym elementem naszej cywilizacji. Świętowanie niedzieli, zagwarantowane przez prawodawstwo państwowe, nie jest przypadkową okolicznością historyczną, lecz trwałym, uniwersalnym elementem duchowego dziedzictwa Europy. Pragniemy zauważyć, że powstrzymanie się od pracy w tym dniu jest nie tylko nakazem religijnym, lecz także podstawowym prawem człowieka, prawem, którego Kościół zawsze i pod każdą szerokością geograficzną bronił, upominając się o jego respektowanie.

Ojciec Święty Jan Paweł II w liście apostolskim *Dies Domini* wyraźnie przypomniał, że „uczestnictwo we Mszy świętej [niedzielnej] jest dla wiernych obowiązkiem, od którego może ich zwolnić tylko poważna przeszkoda” (*Dies Domini*, 49). Dlatego też brak ustawowego zakazu handlu w niedzielę, i wynikający stąd przymus pracy ze strony wielu pracodawców, prowadzi do poważnego konfliktu sumienia ludzi wierzących, którzy nie mają możliwości zgodnego z wiarą przeżywania Dnia Pańskiego. Konsekwencją tego – w wielu wypadkach – jest łamanie zasady wolności religijnej, której obrona jest obowiązkiem nie tylko Kościoła, ale przede wszystkim ustawodawcy i państwa.

Świąteczny charakter niedzieli ma zresztą nie tylko wymiar religijny, lecz jest pewnym wspólnym dobrem, umożliwiającym obywatelom zwykły odpoczynek, a także rozwój ich życia rodzinnego oraz uczestnictwo w kulturze narodu. Kościół, podobnie jak ustawodawstwo wielu rozwiniętych demokratycznych państw, dopuszcza możliwość wykonywania niektórych prac w niedzielę, ale tylko w dziedzinach niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania państwa i życia społecznego, jak służba zdrowia, bezpieczeństwo, komunikacja, energetyka, czy nawet handel, lecz w bardzo ograniczonych rozmiarach.

Magdalena Sala, Alicja Dołowska. Jaki adwent takie święta
(4.12.2007, fragmenty)

Centra globalnych sieci handlowych nie szanują naszych religijnych tradycji ani zwyczajów, odzierając nas przez to z naszej duchowości. W wyścigu o zysk i klienta ukradły nam Adwent. To, co dzieje się dzisiaj w supermarketach, sprawia wrażenie, jakby Boże Narodzenie zaczynało się dzień po Wszystkich Świętych.

Ks. Janusz Pasierb przypominał kiedyś, że liturgia adwentowa wzywa nas do czuwania, abyśmy nie zmarnowali naszego życia. Bo Adwent daje nam czas na przygotowanie się do Bożego Narodzenia. I nie chodzi tu o makowce, karpie, prezenty i wigilijne uszka, lecz o przygotowanie duchowe. Adwent jest czasem przygotowania się na przyjście Boga Człowieka.

Adwent w supermarketach to show: ogromne choinki, a na nich kolorowe łańcuchy i bombki, czekoladowe Mikołaje, a z głośników płynące kolędy. Centra handlowe kuszą promocjami i wyprzedażami. Boże Narodzenie to czas zwiększonych obrotów handlowych. Kampanie reklamowe prowadzone są w ten sposób, by utrzymać stałych klientów i pozyskać nowych. Badania pokazują, że zwiększoną liczbę udzielanych kredytów i pożyczek banki odnotowują właśnie w grudniu. Dla wielu Polaków liczy się przede wszystkim tradycja, by na stole było dwanaście potraw. Aby rodzina nie odczuła, że na święta czegoś zabrakło.

Od nas zależy, jak będziemy obchodzić święta. Czy będą one tylko pogonią za zakupami, czy też czasem refleksji, modlitwy, spowiedzi i rekolekcji. Z drugiej strony – piękna tradycja wręczania prezentów mikołajkowych i wigilijnych powinna być podtrzymywana – mówi ks. dr Józef Górzański. Od komercji trzeba się dystansować. Jednak prezenty są ważne. To przecież jest piękne, jeśli się komuś sprawia radość – dodaje ks. Jan Sikorski, znany duszpasterz z Warszawy. Trzeba pamiętać, że oczekiwanie na Boże Narodzenie powinno mieć charakter nawrócenia. Warto zadać sobie pytanie, czy nasze życie w Adwencie staje się lepsze. Jest to więc bardzo radosny czas, w którym powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo Bóg nas kocha.

Czasami trzeba naprawić relacje rodzinne, może zadzwonić do cioci lub wujka, z którymi od lat się nie kontaktowaliśmy. I nie czekajmy, aż ta druga strona zrobi pierwszy krok, sami wyciągnijmy rękę. Dobrze, kiedy w tym szczególnym czasie pamiętamy o osobach

samotnych, chorych i ubogich. Jest przecież wielu ludzi, którzy nie mają z kim spędzić Wigilii, która jest ostatnim dniem Adwentu, albo nie stać ich na przygotowanie świątecznych potraw dla swojej rodziny. Czasami nie trzeba szukać daleko. Bywa, że taką osobą jest sąsiad zza ściany. W Polsce podczas kolacji wigilijnej zostawia się przy stole jedno puste miejsce dla niespodziewanego gościa. To piękna tradycja, ale szkoda, że często pozostaje tylko tradycją. A kiedy przed świętami robimy zakupy, warto dostrzec, że w wielu sklepach znajdują się specjalne wózki, gdzie możemy wkładać żywność na bożonarodzeniowe paczki dla potrzebujących albo zabawki dla dzieci z domów dziecka.

KONWERSATORIUM XXVII (20.12.2008 r.)

„Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?”

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), Aleksandra Siewko (red. nac. dwutygodnika „Cogito”), Krzysztof Tyszowiecki (pracownik działu produkcji filmowej TVP), Mikołaj Wróblewski (specjalista ds. sprzedaży ubezpieczeń), Marek Łuszczyna (dziennikarz, z-ca red. nac. magazynu „Essence”).

Ks. Adam Zelga

Witam na ostatnim Konwersatorium w starym roku i przed pierwszym Konwersatorium w nowym roku. Jak zwykle nasze tematy są trochę prowokacyjne. Ciągłe tkwi w nas dylemat, co jest ważniejsze: mieć, czy być. Temat dzisiejszy jest istotny, bardzo współczesny. Mam wrażenie, że przeżywamy odwrotność czasów z początku chrześcijaństwa. Kiedyś było tak, że chrześcijaństwo chrystianizowało kultury obszarów, na które wkraczało lub te, z którymi żyło na styku. Teraz mamy do czynienia z zabiegiem odwrotnym. Następuje dechrystianizacja chrześcijańskich obyczajów i chrześcijańskich tradycji. Mikołaje, opłatki w wielkich centrach handlowych. Co można zrobić z tego rodzaju procesem? My, chrześcijanie, możemy z tym procesem nie tyle walczyć, ile uczyć się współżyć i próbować te zwyczaje chrystianizować.

Powiem o jednym z takich pomysłów, który jeszcze 15 lat temu wzbudzał bardzo wielkie kontrowersje. Na pewnym zebraniu dekanalnym powiedziałem, że ponieważ jestem już starym wikarym, a nie mam szans na probostwo, to proponuję, żeby powierzyć mi misję otworzenia kaplicy w supermarkecie, gdzie będę proboszczem. Było wielkie zgorszenie. Minęło 15 lat i o pomysł tym, żeby przy centrach handlowych mogły być kaplice, mówi się już serio. Myślę, że jeżeli mamy wychodzić naprzeciw z Ewangelią, należałoby ludziom, którzy świętują w marketach, stworzyć szansę, żeby choć na chwilę zaszli do kaplicy i mogli odmówić „Zdrowaś Ma-



Fot. 16. Paneliści: ks. Adam Zelga, siedzący od lewej: Mikołaj Wróblewski, Aleksandra Siewko, Marek Łuszczyna, Krzysztof Tyszowiecki

rio”, choćby w intencji dobrych zakupów. To mój głos w dyskusji i kij w mrowisko. Teraz muszę Państwa bardzo przeprosić za konieczność wyjścia, ponieważ jestem w trakcie kolędy. Życzę państwu dobrych Świąt, takich Świąt pełnych pokoju. Żeby było to świętowanie w gronie rodzinnym i z Panem Bogiem, niekoniecznie w supermarkecie i niekoniecznie przy jakiejś głośnej muzyce. Po prostu niech to będą prawdziwie rodzinne Święta Bożego Narodzenia. I do zobaczenia w nowym roku. Teraz proszę się mnie dobrze przypatrzeć, bo w przyszłym roku będę o rok starszy, a w tym jestem jeszcze pełen młodzieńczości.

Aleksandra Siewko

Tydzień temu w homilii ksiądz z naszej parafii mówił o swoim doświadczeniu z Krakowa, gdzie pracował na parafii. Chciał sprawdzić, jak ludzie podchodzą do naszej tradycji, że w trakcie wigilii na stole jest jeden talerz dla przybysza. Ksiądz postanowił być tym przybyszem i zobaczyć, jak ludzie reagują na osobę nieznaną, która w czasie wieczerzy wigilijnej zapuka do ich drzwi. Jego doświadczenie było bardzo szokujące i smutne. Po prostu nikt nie chciał go przyjąć.

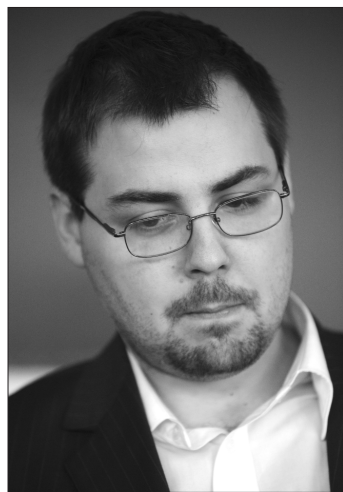
Jeśli chodzi o pytanie dzisiejszego Konwersatorium, to mimo że wybieram zawsze być nad mieć (*cogito ergo sum* – myślę więc jestem), to powiem szczerze, że dla mnie oferta handlowa, to znaczy – choinki, bombeczki są wspomagaczami tworzenia atmosfery świątecznej. Być może, że w tym tempie, w jakim żyjemy, w tym pośpiechu, pewnych rzeczy nie dostrzegamy. Jestem przeciwniczką bombeczek już na drugi dzień po Wszystkich Świętych, ale osobiście przyjemnie mi się robi zakupy prezentów pod choinkę dla moich bliskich w sklepie, gdzie słyszę polską kolędę, gdzie są ładnie zapakowane prezenty, gdzie stoi choinka. Lubię to i myślę, że większość ludzi też to lubi i chyba problem jest w tym, że może rzeczywiście co poniektórzy bardziej zwracają uwagę na oprawę niż na treść tych Świąt.



Fot. 17. Aleksandra Siewko

Marek Łuszczyna

Chciałbym rozwinąć to, co powiedziała Ola. Uważam, że oferta handlowa – włożę tu swój kij w mrowisko – w żadnej mierze nie zabija we mnie ducha świętowania. Skupiając się na tym sformułowaniu, zauważmy, że może ona wspomagać ducha świętowania poprzez swoją ofertę gastronomiczną (śmiech). W rzeczywistości oferta handlowa nie ma żadnego wpływu na przeżywanie Świąt Bożego Narodzenia w mojej rodzinie. Moim zdaniem, kondycja rodziny, w której są przeżywane Świąta, zależy od czegoś zupełnie innego. Handel może nawet pomagać w świętowaniu. Głównym zarzutem jest, że skupiamy się bardziej na zakupach niż na Panu Bogu. Dzieci zawsze skupiają się na prezentach. Kiedy w latach osiemdziesiątych otrzymałem od rodziny puszkę szynki, zdobytą jakimś cudownym sposobem, pamiętam swój smutek i zawód. Dla mnie to nie była żadna gratka. Jeżeli prezenty są dobre i mądre,



Fot. 18. Marek Łuszczyna

wychodzące naprzeciw oczekiwaniom dzieci, to Święta Bożego Narodzenia będą łączyły się im z czymś przyjemnym i radosnym.

Kolejna kwestia, że oferta handlowa wykorzystuje osobę Jezusa Chrystusa do celów promocyjnych. Moim zdaniem, wykorzystywany jest symbol kulturowy, którym są Święta Bożego Narodzenia..

Oferta jest skierowana nie tylko do katolików, ale także do ludzi innych wyznań. Zdaniem ojca Zięby, dominikanina, z którym wywiad niedługo się ukaże na łamach magazynu „Essence”, sprzedaż, handel i biznes oraz zarabianie pieniędzy to nie są grzechy. Chciwość jest grzechem.



Fot. 20. Mikołaj Wróblewski

Mikołaj Wróblewski

Zawodowo zajmuję się sprzedażą ubezpieczeń. Sądzę, że nie zagraża to komukolwiek lub jakiegokolwiek tradycji. Jeśli ktoś ma głęboko zakorzenione wartości w swoim umyśle i w swoim sercu, to uważam, że żadna oferta handlowa, żaden plakat, żadna audycja radiowa zachęcająca do kupowania czy do zmiany tych wartości, nie będzie miała na niego wpływu. Trudno wyobrazić sobie, żeby jakaś promocja w sklepach mogła wpłynąć na wyznawane przez nas wartości. Takie jest moje zdanie. Równocześnie sądzą, że w okresie Świąt Bożego Narodzenia można zrobić wiele miłego osobom bliskim poprzez kupienie im czegoś, co jest dla nich miłe, co je uszczęśliwi i da wiele radości.



Fot. 19. Krzysztof Tyszowiecki

Krzysztof Tyszowiecki

Zgadzam się z moimi przedmówcami. Nie uważam, by oferta handlowa niszczyła duchowe przeżywanie Świąt, i by wplatanie w bożonarodzeniowy marketing symboliki chrześcijańskiej było czymś nagannym. Podobą mi się określenie, którego użyła Pani Siewko, że Mikołaje, bombki etc. to „wspomaganie” atmosfery świątecznej.

Aleksandra Siewko

Chciałabym powiedzieć o dwóch sprawach. W gimnazjum, do którego chodzi moja córka, urządzają mikołajki. Jest losowanie, kto komu kupi i ofiaruje prezent. Trzy osoby w klasie nie dostały prezentów. Jeden prezent nie doszedł, bo był zamówiony w księgarni internetowej, druga dziewczynka zapomniała prezent wziąć ze sobą, a trzecia nie kupiła w ogóle prezentu, bo nie miała czasu. Córka wróciła ze szkoły zbulwersowana – tych troje dzieci nie dostało prezentu!

Wśród gimnazjalistów takie obdarzanie się prezentami jest momentem, kiedy zaczynają myśleć o innych. Kiedy moje dziecko pierwszy raz pomyślało, że może coś kupić nam, rodzicom, od Mikołaja, to stwierdziłam, że już zaczyna dorastać, bo zaczyna myśleć nie tylko o sobie. Tych troje dzieci nie dostało prezentów. Trzecia dziewczynka nie miała czasu kupić prezentu. Tu nie chodzi o kwoty, które były niskie. Chodzi o pamięć i zasadę. Dla mnie to też było szokujące.

Druga sprawa to wykorzystania Wigilii do "imprezowania" w zakładach pracy. Najpierw opłatek, a potem często zaczyna się "balanga". W tym roku w naszej redakcji w ogóle z tego zrezygnowaliśmy. Uznaliśmy, że opłatek jest czymś bardzo rodzinnym i świętym. Radością powinniśmy się dzielić wtedy, kiedy naprawdę ją czujemy. Tego się nie da zrobić szczerze na zawołanie. Co z tego, że się podzielę opłatkiem z kimś, z kim, na tej samej imprezie godzinę później się pokłócimy lub w ogóle nie będziemy chcieli ze sobą współpracować. Mieliśmy w tym roku skromne spotkanie świąteczne, bez łamania się opłatkiem.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska – Dowgiałło

Zgadzam się z Państwem, że obdarowywanie prezentami swoich najbliższych i ludzi, których się ceni, jest cudowną sprawą. Jest to wyzwolenie dobra, które nas wzajemnie przemienia. Mamy z moim mężem gablotkę, w której leżą prezenty ofiarowane nam przez nasze wnuki od czasu, gdy były jeszcze malutkie. Są to różne rzeczy zrobione z modeliny czy z masy solnej. Mamy też rysunki,

którymi obklejamy naszą lodówkę i jest rzeczą zabawną, że gdy nasze wnuki nas odwiedzają, to sprawdzają, czy rysunki przypadkiem nie znikły. Może to nie są wielkie dzieła sztuki, ale jest w nich ogromny ładunek sympatii i miłości. Jest to dla nas rzecz osobiście bardzo cenna.

Z drugiej strony jest oferta handlowa, która może być niedobra dla świętowania. Są to propozycje wyjazdów za granicę, gdzie organizator urządza Świąta. Zawsze atrakcyjne miejsca: Majorka, Wyspy Kanaryjskie, Dolomity we Włoszech, Tunezja, Egipt itp. Na przykład korzysta z niej młode małżeństwo, a w kraju zostają starzy samotni rodzice. To jest oferta, która niesie zagrożenie. Świętowanie powinno być w całej, wielopokoleniowej rodzinie. Rodzina powinna się skupić w tym jednym dniu przy Wigilijnym stole. Nikogo nie usprawiedliwia zmęczenie (przecież muszę odpocząć!), ani trudności w porozumieniu z kimś z członków rodziny. Ten wieczór powinien być pełen wybaczenia, akceptacji i starań, aby wszystkim było miło. Na narty można jechać w drugi lub trzeci dzień świąt.

Aleksandra Siewko

Ja też lubię, gdy Świąta są spędzane w rodzinie. Jednak wiele osób, a zwłaszcza tzw. singli ucieka na oferty "last minute", bo to im się wydaje wygodne. Oni żyją w innym modelu. Dla nich spotkania świąteczne, które gromadzą wiele osób, czasem słabo uczuciowo ze sobą związanych, są ogromnie uciążliwe. Mam koleżanki, które cierpią co roku. Mają, na przykład, rodziców po rozwodzie, same są samotne, rodzice ze sobą nie rozmawiają, ale w Świąta (formalnie) się jednoczą. Taka dziewczyna przyjeżdża do domu i słyszy jedynie, komu jak się ułożyło, kto z kim przyjechał na Świąta – takie puste i płytkie informacje. Ludzie świadomie uciekają od takich sytuacji, w których nie mogą oczekiwać niczego miłego, a często spotyka ich wręcz przykrość.

Jeszcze powiem o samodzielnie robionych prezentach przez dzieci. Pierwsze prezenty, które dostaliśmy od dziecka, przez niego własnoręcznie zrobione, były to zakładki do książek. Mój mąż dostał zakładkę w klimatach jazzowych, bo lubi jazz, a ja w klimacie mikołajkowym. Były to dla nas fantastyczne prezenty. Dziś niektóre galerie wychodzą na przeciw takim prezentom interaktywnym. Można tam przyjść i na miejscu zrobić dla bliskich np. misę cera-

miczną, namalować obraz itp. Daje to możliwość stworzenia czegoś autorskiego, z czym wykonawca będzie emocjonalnie związany. Będzie to prezent prawdziwie od niego.

Marek Łuszczyna

Często obserwuję, że ludzie z pokolenia 20- i 30-latków ograniczają kontakty z rodzicami, mimo, że mieszkają w tym samym mieście. Wpadają na dwie godziny w dzień wigilijny, potem uciekają i w pierwszy lub drugi dzień Świąt gdzieś wyjeżdżają. Moim zdaniem, warto zadać sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje? Nie tylko trzeba oceniać, że to jest złe, ale znaleźć przyczynę. Co jest w relacjach rodzinnych takiego, że dzieci nie chcą spędzać czasu z rodzicami?

Aleksandra Siewko

To chyba nie chodzi o relacje rodzice – dzieci. Każda rodzina ma oczywiście inną historię i inne wzajemne stosunki. Wcześniej żyliśmy bardziej w konwenansach. Zostaliśmy nauczeni, że nawet jeśli jest źle w rodzinie, to Wigilia ma ją jednoczyć. Dzisiaj może jesteśmy bardziej asertywni. Potrafimy otwarcie powiedzieć o swoich uczuciach. Szczerze wyrażone uczucia czasem bołą. Bołą rodziców, którzy chcieliby razem spędzać Świąta, ale bołą też dzieci, którzy uciekają od rodziców.

Krzysztof Tyszowiecki

Sądzę, że ten problem możemy ująć prościej – nie można dekretować, z kim powinno się spędzać najmiłsze chwile w roku. Jeżeli Wigilia i święta mają być czasem szczególnym, to spędzajmy go z osobą, z którą rzeczywiście jesteśmy blisko. Czyli – niestety – niekoniecznie z rodzicami. Tzw. "Ciepłej świątecznej atmosfery w rodzinnym gronie" nie da się stworzyć na zawołanie, jak śniegu na planie reklamy. Istnieje nawet takie nieprzyjemne hasło "Świąteczny koszmar". Coroczne wymuszone spotkania osób nierzadko zupełnie sobie obcych, które łączy jedynie nazwisko, mogą być przeżyciem naprawdę przygnębiającym.

Elżbieta Mycielska – Dowgiałło

Wraz z moim mężem od wielu lat uczestniczymy w prowadzeniu rekolekcji dla małżeństw i narzeczonych. Mówimy jednym

i drugim, że relacje, jakie będziemy mieli z naszymi dziećmi na starość, zależą od tych relacji, jakie mieliśmy z nimi, gdy były dziećmi. Równocześnie małżeństwo nie może być skupione wyłącznie na dzieciach, bo gdy dzieci wyjdą z domu, to pozostaje w nim dwoje obcych ludzi. Dzieciom nie jest miło przychodzić do takich rodziców, którzy żyją obok siebie i widać, że nie ma między nimi porozumienia. Przeciwnie, dzieci ciągną do rodziców, którym miło jest ze sobą i widać, że się kochają i mimo że w dzisiejszych czasach wszyscy są bardzo zapracowani i czasu jest coraz mniej, tacy rodzice nie skarżą się na brak kontaktu z dziećmi.

Na rekolekcjach dla narzeczonych spotkaliśmy kiedyś dwoje młodych, – on jednak, ona jedynaczka. Jedni i drudzy rodzice chcieli, żeby młodzi u nich zamieszkali po ślubie. Obydwoje narzeczeni obawiali się, że jak nie zamieszkają z rodzicami, to oni się rozejdą, bo nie ma między nimi ciepłych uczuć. Do takiego domu rodzicielskiego nie chce się wracać. Wszyscy musimy sobie zdawać sprawę, że relacje, które są w rodzinie, buduje się przez całe życie.

Jest jeszcze jedna sprawa ważna w relacjach rodzice – dzieci: czy potrafimy uznać mądrość dzieci, która często nas przerasta. Trzeba umieć cieszyć się z tego, że mamy następców mądrzejszych od nas samych.

To są wszystko elementy, które budują dobre lub złe relacje w rodzinie i widać je jak na dłoni w czasie Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia.

Urszula Kossowska – Cezak

Chciałabym wrócić do głównego tematu Konwersatorium, który dotyczy oferty handlowej, a zaczęliśmy mówić o relacjach rodzinnych. Otóż Państwo zgodnie stwierdzają, że jest dobrze, gdy jest szeroka oferta handlowa i że wszystko można sobie wcześniej kupić, przygotować. Z tym się całkowicie zgadzam. Natomiast chodzi mi o formę tej oferty. Towarzyszy jej hałaśliwa reklama. Już od początku adwentu ubrane są choinki i rozbrzmiewają głośno kolędy. Czerstwi dziadkowie w czerwonych kabacikach udają, że są Świętymi Mikołajami, a panienki przebrane za aniołki sprzedają w supermarketach opłatki, które powinny być kupowane wyłącznie w kościele. Mnie to osobiście bardzo razi. Uważam, że jest to swojego rodzaju profanacja. Okres Adwentu, kiedy byłam młoda, był przeżywany

w sposób bardzo świadomy. Był to okres oczekiwania. Oczywiście w tym czasie kupowało się również prezenty i bombki na choinkę. Gdy przychodziła Wigilia z ubraną choinką i śpiewaniem kolęd, było to rodzajem misterium. Moim zdaniem, przez tą hałaśliwą reklamę jesteśmy tego misterium pozbawieni. Tego mi brakuje.

Tomasz Grzesławski

Wigilia trwa u nas zaledwie dwie godziny, bo potem syn jedzie do rodziny synowej, a córka do rodziny zięcia i wszyscy się rozjeżdżają. Wszystko staje się sztuczne i nie ma atmosfery i głębokiego przeżycia Wigilii. Nawet czytając fragment Ewangelii, muszę się spieszyć. Chciałem coś dodać, ale mi mówią: "dziadek, usiądź, nie ma czasu", bo jeszcze trzeba przejechać długą drogę, aby odwiedzić teściów moich dzieci. Zaproponowałem, zrobmy tak: w jednym roku urządzamy wspólną Wigilię u rodziców zięcia (czy synowej), w drugim roku u nas, na przemian. Prosiłem, aby dzieci tego pilnowały i one ustalały kolejność. Oczywiście takie wyjście jest możliwe tylko w normalnych, pełnych rodzinach, a nie w rodzinach rozbitych, po rozwodzie.

Marek Łuszczyna

Jestem głęboko przekonany, że na to, jakie będą Święta Bożego Narodzenia, ma zasadniczy wpływ relacja rodzinna. Jeżeli my przekakujemy z Wigilii na Wigilię, to na to, że Wigilia nie jest w pełni udana, nie mają żadnego wpływu przebrani faceci za Mikołajów w domach handlowych. W nadmiernej komercji jest często szukanie usprawiedliwień dla nieudanych Świąt. Spędzałem Święta Bożego Narodzenia również w innych krajach Europy Zachodniej, gdzie oferta handlowa jest nieporównanie bardziej rozbudowana. Mimo tego, ci, którzy chcieli przeżywać Święta rodzinnie i kameralnie, tak je przeżywali, niezależnie od hałaśliwej komercji.

Tomasz Grzesławski

Cogito ergo sum – myślę, więc jestem. Trzeba obserwować zewnętrzny świat i wybierać z niego to, co jest zgodne z naszymi wartościami. Nie ma znaczenia, jak hałaśliwa jest oferta handlowa, jeżeli potrafimy być w naszych rodzinach wierni sobie i uznawanym wartościom.

Marek Łuszczyna

Nawiążę do wypowiedzi Pani Urszuli, że Adwent był kiedyś głębiej przeżywany. Moim zdaniem, było to związane w dużej mierze z sytuacją polityczną tamtego czasu. Wtedy praktykujący katolicy byli silnie ze sobą zjednoczeni przez system. Teraz jest zupełnie inaczej. Jesteśmy zdeintegrowani.

Elżbieta Pierścioneck

Przygotowałam dla Państwa króciutki wierszyk w prezencie Świątecznym: "Wiersz dla dorosłych wnuków". Ale zanim go przeczytam, chciałabym wspomnieć o moim ojcu, który już od 25 lat nie żyje, a który dawno temu zrobił mi najwspanialszy prezent pod choinkę. Miałam wówczas ukochaną lalkę. Ojciec, który był wtedy początkującym stolarzem, zrobił mi własnoręcznie wózek dla tej lalki. Wózek miał budkę, wykonaną z deszczulek, która się rozsuwała. Pamiętam to do dziś. I jeszcze wspomnienie o choince dla naszego syna w czasie stanu wojennego. Mój mąż pojechał po choinkę, teraz mogę powiedzieć, że z narażeniem życia. Wyruszył skoro świt, a wrócił w nocy. Pojechał za Warszawę, gdzieś kupił tę choinkę i przywiózł. Ta choinka była niezwykła, jedyna w swoim rodzaju. Okazało się, że wśród gałązek jest gniazdko. Co prawda puste, ale gniazdko. Czyli kiedyś jakieś pisklęta wyfrunęły z tego gniazodka.



Fot. 21. Elżbieta Pierścioneck

Mam dwoje wnucząt, Julcię i Jasia. Tak jak tu było mówione wcześniej, staram się kształtować relacje rodzinne, choćby przez wiersze, które piszę. "Wiersz dla dorosłych wnuków" dedykuję wszystkim młodym ludziom, którzy zastanawiają się i którzy myślą:

*Piękna Julcio, Mądry Janie
Uwierzcie w babci praktyczne przykazanie
Świąt świętowanie jest święte.
Stać Was na nie.
Amen.*

Wacław Ciepluchna

Mieć czy być? Wiadomo. Być musi być na pierwszym miejscu, ale bez mieć nie można czasem zrealizować postawionego celu.



Fot. 22. Wacław Ciepluchna. W drugim rzędzie Franciszek Ufnal i po prawej stronie Grzegorz Polak

Kilka dni temu słyszałem takie ładne zdanie, krótką modlitwę "Boże spraw, żeby mi się tak chciało, jak mi się nie chce". Czy chce mi się podjąć trud urządzenia rodzinnych Świąt? Może szukam tylko usprawiedliwień, żeby ich nie urządzać lub żeby w nich nie uczestniczyć?

Marek Łuszczyna

Chciałbym krótko odnieść się do tego, co powiedziała pani profesor o ofercie świątecznego wyjazdu na Wyspy Kanaryjskie. Oczywiście oferta taka może stanowić zagrożenie dla rodzinnych świąt, ale gdyby była dostateczna ilość pieniędzy, to cała wielopokoleniowa rodzina mogłaby udać się w jakiś atrakcyjny rejon świata na wspólne świętowanie. Każdą ofertę można zapełnić właściwą treścią.

Elżbieta Pierścioneł

Zgadzam się ze zdaniem, że oferta świąteczna jest elementem kultury skierowanym nie tylko do katolików. Mnie jednak osobliście drażni to, że zaczyna ona dominować w mediach i w handlu już w listopadzie. Byłabym zadowolona, gdyby zaczynały się szóstego grudnia, tak jak to jest w radio publicznym.

Aleksandra Siewko

Myślę, że media nie są takie złe, no, przynajmniej te, które my reprezentujemy. Nie dajemy informacji o klasowej Wigilii pod koniec października czy na początku listopada, lecz w numerze, który ukaże się w Święta Bożego Narodzenia. Jestem osobą, która stara się widzieć pozytywy i negatywy. Dla mnie rodzina jest najważniejsza. Najważniejsze jest to, co tworzymy na własnym podwórku. Nie mam ambicji naprawiania całego świata. Myślę, że dla każdego sukcesem jest to, co zrobi dla siebie i swoich najbliższych. Jeśli mnie drażni świąteczna oferta w listopadzie, to po prostu nie robię zakupów 3 listopada. Równocześnie uwielbiam atmosferę Świąt i nie odrzuca mnie, że gdy kupując książkę memu dziecku w Arkadii słyszę tam kolędy. Myślę, że to, na co narzekamy i co nas drażni, to tłum w sklepach tuż przed świętami, bo wszyscy "budzą się" nagle 22 grudnia i lecą do sklepów, żeby zrobić zakupy, a tam prawie nie można wejść. Ten tłum nas drażni, a nie te Święte Mikołaje i Aniołki. Złościmy się na ludzi, że nie jesteśmy jedynymi, którzy zapomnieli o Świętach.

Filip Gumiński (student)

Uważam, że reklamy i ta cała świąteczna otoczka sprawiają, że ulice nie są szare, że przyjemnie jest chodzić po mieście i bardziej czujemy ducha Świąt. Patrząc na wystawy, życzymy sobie, żeby szybciej

nadeszły Święta. Myślę również, że spotkania wigilijne w pracy są dobrą okazją, żeby poznać ludzi i powiedzieć im coś miłego.

Aleksandra Siewko

Ja nie powiedziałam, że Wigilie w pracy są złe, tylko że często nie bywają one takie, jaka powinna być Wigilia.

Filip Gumiński

Czy musi być tak, jak Pani powiedziała, że w czasie Wigilii dwie osoby złożą sobie życzenia, a następnego dnia nie będą się do siebie odzywały. Myślę, że nie musi być to regułą i Wigilia w pracy może być okazją, żeby takie osoby zbliżyć do siebie, jeżeli składane życzenia będą szczere i miłe dla tej drugiej osoby.

Aleksandra Siewko

Nie podoba mi się na tych zakładowych Wigiliach również i to, że nie ma na nich postu, że możemy jeść mięso. Nie zgadzam się z tym. Dla mnie Wigilia jest tą postną kolacją po dniu ograniczonego jedzenia.

Dla mnie świętowanie to pójście na Pasterkę po Wigilii i na Mszę Świętą w pierwszy i drugi dzień Świąt. Mniej mnie natomiast interesuje to, czy na stole wigilijnym będzie ładna świeczka ze stroikiem i czy jak będę kupowała prezent dla bliskiej osoby, będzie chodził aniołek z opłatkiem, czy nie. Myślę, że katolicy mają problem, jak spędzić Święta prawdziwie duchowo i religijnie. Jestem jak najbardziej za imprezami, lubię spotkania wigilijne i świąteczne, ale nie lubię obłudy. A obłudę widzę często na zakładowych Wigiliach i temu się sprzeciwiam.

Elżbieta Mycielska – Dowgiałło

Powiem o corocznych spotkaniach prowadzonej przeze mnie seminaryjnej grupy magisterskiej na Uniwersytecie, gdzie jest już tradycją od wielu, wielu lat, że każdy ze studentów i ja również mamy zrobić coś samemu na wigilijne, opłatkowe spotkanie. Studenci nie mają prosić mamy, narzeczonej czy siostry, tylko zrobić coś samemu. To jest ogromnie sympatyczne. Do dzisiaj pamiętam pierniki, których nie można było ugryźć, ale były zrobione własnoręcznie przez jednego ze studentów na tę uroczystość. A uroczy-

stość jest cudowna. Te spotkania bardzo nas zbliżają ze sobą, a przekazywane życzenia zupełnie nie są schematyczne i banalne.

Drugie spotkanie, o którym chciałam powiedzieć, to Wigilia zorganizowana w tym roku na naszej Uczelni przez słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Na początku większość tych osób wypowiadała się za cateringiem. My sugerowaliśmy, że będzie znacznie przyjemniej, jeżeli każdy zrobi coś samemu w domu i przyniesie na spotkanie. Ostatecznie przeszła ta druga wersja. Muszę powiedzieć, że było mnóstwo takich potraw, których nigdy w życiu nie jadłam. Mało tego, nawet nie wiedziałam, że coś takiego można zrobić. Wszystko było bardzo smaczne. Nastrój spotkania był ogromnie sympatyczny, czego dowodem było to, że uczestnicy nie chcieli się rozchodzić. Mówiliśmy, że musimy wydać książkę kucharską składającą się z przepisów na potrawy, które były na tym spotkaniu.

Na pewno mogą zdarzać się przypadki, że spotkanie jest tylko formalne i że potem po godzinie czy na drugi dzień niektórzy ludzie kłócą się ze sobą. Jeżeli jednak każdy w organizację spotkania włoży własny wysiłek i osobiście zrobi coś, żeby było miło wszystkim innym, to nie wierzę, żeby ludzie kłócili się ze sobą za pół godziny czy na drugi dzień.

Magdalena Bryniak

Dla mnie dla pełnej atmosfery Świąt ważny jest śnieg, którego niestety ostatnio brakuje. Nie popieram również nachalnych reklam, czy nadużyć świątecznych w marketach. Jestem za kolacją wigilijną tradycyjnie o piątej po południu. Ostatnio dostało się mojej babci, która chciała zmienić czas wigilii na 12.00 w południe, bo potem ona czuje się zmęczona, a w telewizji lecą jej ulubione programy. Okazałam się buntowniczką i nie pozwoliłam na tę zmianę babci. Wigilia musi być tradycyjną rodzinną kolacją, a nie obiadem.

Mikołaj Wróblewski

Chciałam powiedzieć o zagrożeniach atmosfery świątecznej zjawiskami zewnętrznymi. Na przykład, reklamowe akcje świąteczne pojawiające się już w listopadzie. Są one związane z popytem. W rzeczywistości spełniają one tylko nasze potrzeby i pragnienia. Jeżeli chcemy zmienić coś w tym zakresie musimy zmienić siebie.

Tomasz Grzesławski

Zacytuję bardzo aktualny dla dzisiejszego Konwersatorium wiersz napisany 200 lat temu: "Wierzysz, że Jezus narodził się w betlejemskim żłobie, ale biada ci, jeśli nie narodził się w tobie". Kto to napisał?

Andrzej Dowgiałło

Chyba Adam Mickiewicz.

Bogdan Motelski

Najpierw wrócę do tematu naszego spotkania. Byłoby mi bardzo przyjemnie przyjść w oktawie Bożego Narodzenia, czy nawet w dwa tygodnie po Bożym Narodzeniu i usłyszeć kolędy w supermarkecie. Jest to okres Bożego Narodzenia. Za granicą obserwowałem, że już w dzień po Bożym Narodzeniu były zabierane choinki ze sklepów. W niektórych sklepach w Polsce w zeszłym roku było bardzo podobnie.

Druga sprawa została poruszona przez Panią Rektor. Jeżeli człowiek sam coś robi dla kogoś drugiego, to ma przyjemność, aby mu to podarować. Ogromna radość jest właśnie w zrobieniu czegoś samemu. Jeżeli oferta handlowa jest bardzo bogata, to my tracimy możliwość tej przyjemności. Ktoś nam ją zabiera. Mamy mniejsze szansę, żeby pomyśleć, włożyć wysiłek, zrobić, wręczyć i odczuć z tego wręczania radość. Najwyżej możemy kupić coś gotowego.

Aleksandra Siewko

Myślę, że bardzo ważnym prezentem, który możemy ofiarować bliskiej osobie, jest czas jej poświęcony, aby porozmawiać i pobyc z nią. Przychodząc na Wigilię, nie zjadajmy jej w pośpiechu, a potem po wręczeniu prezentu nie lećmy dalej. Kupiony i ofiarowany prezent jest tylko dopełnieniem. Nie może zastąpić tego najważniejszego – poświęconego czasu.

Przedświąteczna scenografia w sklepach to jest tylko "wspomagacz" dla osiągnięcia radosnego nastroju. Niektórzy tego potrzebują. W dzisiejszym zagonieniu mogą zapomnieć, że zbliżają się Święta. Pomyślmy o prezentach trafionych w gust osoby, którą chcemy obdarować. Nie dawajmy tego, co nam zbywa i przeszkadza w domu. Jeśli mama kocha operę, to kupmy jej CD z jej ukochaną mu-

zyką, a nie dziesiątą parę kapci czy koszulę nocną. Do płyty dołączmy siebie i swój czas. Porozmawiajmy, nie lećmy, nie zaliczajmy Wigilii u jednych, drugich i trzecich.

Elżbieta Mycielska – Dowgiałło

Wielką radością jest dawanie prezentu. Myślę jednak, że jeszcze o jednym elemencie trzeba powiedzieć. Otrzymując prezent, musimy się z tego prezentu ucieszyć. Musimy naprawdę pokazać wdzięczność tej osobie, która nam go dała.

Wczoraj dostałam taki niespodziewany i bardzo dla mnie miły prezent. Od wielu lat współpracuję z jedną z drukarni warszawskich, w której wydajemy kolejne książki. Mam bardzo miłe relacje z właścicielką tej drukarni. Wczoraj dostałam od niej olbrzymie pudło słodczy. Szalenie się ucieszyłam. Zrobiła mi tym wielką przyjemność, chociaż nic tam osobistego nie było. Rozdzieliłam słodczy między wszystkich, którzy przygotowują książki do druku i zaraz zatelefonowałam do tej pani, aby powiedzieć jej, że zrobiła nam wszystkim wielką radość. Wyraźnie było jej miło.

Cieszymy się także z tej dziesiątej pary kapci. Wyszukajmy cechę potwierdzającą, że te dziesiąte kapcie są troszeczkę inne niż poprzednie. Podziękujmy, ucieszmy się. Najgorsze jest, gdy dostajemy prezent i nie potrafimy za niego podziękować.

Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku życzę Państwu wszystkiego, co najlepsze. Żebyśmy potrafili skorzystać z tego, co było tu powiedziane.

Spisał z nagrania Bogdan Motelski

*Czy potrafię w pełni zaufać Bogu
i ludziom?*

Cytaty

*Jan Paweł II. Psalm 146 – szczęśliwi ufający Panu.
Audycja generalna (2 lipca 2003), (fragmenty)*

Jednakże przed człowiekiem otwiera się również inna możliwość, którą Psalmista wystawia i nazywa błogosławieństwem: „Szczęśliwy ten, kogo wspiera Bóg Jakuba, kto pokłada nadzieję w Panu Bogu” (w. 5). Jest to droga zaufania Bogu odwiecznemu i wiernemu. Amen, będące hebrajskim słowem wyznania wiary, oznacza właśnie oparcie się na niewzruszonej stałości Pana, na Jego wieczności i nieskończonej mocy. Lecz przede wszystkim wyraża zgodę na przyjęcie Jego wyborów, które ukazało opisane przez nas wcześniej wyznanie wiary i chwały.

*Mirosława Borowska. Jezu ufam w Tobie (25 marca 2007),
(fragmenty)*

Pan Jezus powiedział do św. s. Faustyny: „Pisz, mów światu o moim Miłosierdziu!”, więc opiszę jeden z wielu przypadków działania Bożego Miłosierdzia w moim życiu.

W maju 1982 roku, poszłam jak zwykle od wielu lat do szpitala. Potrzebna była znowu transfuzja krwi (poprzednia była w lutym). Z powodu alergii na leki, pokarmy, ubrania, kosmetyki potrzebowałam takiej pomocy.

Tym razem sytuacja okazała się beznadziejna. Z powodu zbyt częstych transfuzji nie można było dobrze dobrać krwi. Lekarze podjęli radykalną decyzję – operacja.

Była połowa maja, w domu małe dzieci: syn 11 lat, córka 9 lat. Zbliżało się Święto Matki – prosiłam, aby odłożyć do jesieni. Decyzja była jednoznaczna. Operacja z 1% szansą lub około 2 tygodnie życia bez operacji.

Zawsze szłam do szpitala z książeczką do nabożeństwa, w której miałam dużo obrazków. Teraz byłam zdziwiona, że został w niej tylko jeden obrazek i to taki, który najmniej mi się podobał. Na zielonym tle postać Pana Jezusa Miłosiernego i napis „Jezu, ufam Tobie!” i na odwrocie Koronka. Byłam sama. Stałam naprzeciw

i głośno powiedziałam: "Jezu, bądź wola Twoja, będzie jak chcesz". Ogarnął mnie spokój. Wiele już się nie modliłam. Nie chciałam rozmawiać z nikim. Zostało mi tylko kilkanaście godzin, co potem? Nie wołałam rodziny, nie żegnałam się z nikim i nie rozpaczałam. Zaufałam.

W ostatnim dniu maja Matka Boża Miłosierdzia wyprowadziła mnie ze szpitala i na Dzień Dziecka (1 czerwca) upiekłam dzieciom torcik. Wróciło życie i matka do dzieci. Wiem, że powrót do życia zawdzięczam miłosiernemu Bogu i Matce Miłosierdzia.

Grzegorz Graff. Twórcza moc zaufania (fragmenty)

Na początku warto ustalić podstawowy fakt: zaufanie opłaca się. Trudno jest przecenić znaczenie zaufania dla harmonijnego rozwoju społeczeństwa. Niewątpliwie jest ono znaczącym czynnikiem jednoczącym: wzmacnia intensywność kontaktów, ułatwia porozumienie, sprzyja tworzeniu osobistych więzi. Ponadto zaufanie opłaca się całkiem dosłownie, jest ono bowiem potężną siłą jednoczącą cnoty ważne dla prawidłowego funkcjonowania sfery ekonomicznej. Uczciwość, lojalność, prawdomówność składają się na zaufanie, które przybiera kształt kapitału społecznego danej zbiorowości. Jednakże zaufanie posiada również swoją ciemną stronę związaną z doświadczeniem zdrady. Wydaje się, że czas obecny nacechowany jest właśnie wzrastającą obawą przed powierzeniem swych spraw drugiemu. Chcielibyśmy zaufać, ale rodzi się pytanie czy naprawdę możemy, czy zaufanie nie obróci się przeciwko nam – czy nie zostaniemy oszukani, nie zasmakujemy goryczy zdrady?

Udzielając drugiemu zaufania wyrażamy naszą wiarę, że okaże się tego godny. Przekonaniu takiemu towarzyszy pozytywne nastawienie – osobom, którym ufamy okazujemy ciepło, sympatię, akceptację. Wybór zaufania sprzyja otwartości i często rodzi wzajemne zrozumienie i przyjaźń. W taki oto sposób dokonują się kolejne obroty swojej spirali: ktoś wychodzi naprzeciw drugiemu i ofiaruje swą ufność wraz z całą gamą związanych z tym zachowań, obdarzony zaś odwzajemnia tę postawę i reaguje otwartością i życzliwością. Dotrzymanie zaufania w określonych kwestiach procentuje zbliżeniem w kolejnych kontaktach. Zaufanie, które początkowo ograniczało się do drobiazgów, zaczyna obejmować coraz szersze

kręgi. Zjednoczeni nim ludzie dobrej woli współdziałają coraz owocniej. Oblicze świata powoli się odmienia.

*Ks. Andrzej Witko. Siostra Faustyna i Miłosierdzie Boże.
Postawa ufności (fragment)*

W październiku 1936 roku Jezus zwrócił się do s. Faustyny w słowach: Kto ufa miłosierdziu mojemu, nie zginie. To wielkie wołanie o ufność zostało w pismach Świętej wyrażone w kontekście Nabożeństwa aż trzydzieści cztery razy.

Ksiądz Ignacy Różycki zdefiniował ufność jako dobrowolne, pokorne, niezachwiane, ożywione wiarą oczekiwanie przychylności Boga. Ufność, będąc odpowiedzią człowieka na Miłosierdzie Boże, otwiera serca ludzi na przyjęcie darów tegoż Miłosierdzia i powoduje Jego działanie w człowieku. Wedle objawienia z lutego 1938 roku, łaski ze źródła Miłosierdzia czerpie się jednym naczyniem, a jest nim ufność. Im człowiek więcej zaufa, tym więcej może otrzymać.

KONWERSATORIUM XXVIII (17.01.2009 R.)

Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?

Prowadzący: ks. Adam Zelga, (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), ks Tomasz Bieliński (duszpasterz akademicki, parafia p. w. św. Józefa w Siedlcach) i Maria Berlińska (matka wieloletniej rodziny i prowadząca rodzinę zastępczą).

Ks. Adam Zelga

Dzisiejszy temat jest niezwykle, ale i bardzo trudny, ponieważ mówiąc współczesnemu człowiekowi o ufności do drugiego człowieka, często można narazić się na śmieszność. Jeżeli jednak mamy jakikolwiek kontakt z Panem Bogiem, to ufność w tej relacji jest podstawową zaletą i cnotą. Bardzo często religię próbuje się dzisiaj wykorzystywać ideologicznie. Czym się różni ideologia od religii? Wydaje mi się, że różni się przede wszystkim tym, że religia jest to relacja, jest to kontakt, jest to więź. Więź, która opiera się przede wszystkim na zaufaniu komuś drugiemu, w tym wypadku Bogu.



Fot. 23. Paneliści: ks. Adam Zelga, Maria Berlińska i ks. Tomasz Bieliński

Kilka dni temu miałem spowiedź i później dramatyczną rozmowę z młodą osobą, której życie bardzo się skomplikowało. Wybiera się ona obecnie na terapię grupową, na psychoterapię. Zastanawiałem się, jak jej mogę pomóc. Moja rozmowa z nią polegała na tym, żeby ją przekonać, że nie jest sama. W czasie terapii grupowej będzie miała ochotę wielokrotnie uciec, zrezygnować, ponieważ tego rodzaju wchodzenie w głąb siebie jest traumatyczne, jest straszne, jest to niemal krzyż nie do udźwignięcia i samemu nie da się rady. Mówiłem jej o jej chłopaku, o jej narzeczonym, że on ją bardzo kocha i jego miłość ma ją uskrzydlać i mówiłem jej też o miłości Boga do niej, która polega przede wszystkim na zaufaniu.

Gdy zastanawiam się nad tym, co nam pomaga pokonać to, co jest po ludzku nie do pokonania, to powiedziałbym, że jest to ufność. Są takie rzeczy w człowieku, czy takie okoliczności w naszym życiu, że sami sobie nie radzimy, nie dajemy rady. Jedynie ufność może nam pomóc. Ufność może nam pomóc pokonać grzech, słabość. Ufność, zaufanie do Pana Boga może nam pomóc pokonać rozstanie z własnym życiem albo z życiem bliskich.

Podam dwa przykłady. Pierwszy żartobliwy. Kiedy byłem studentem polonistyki, to zawsze przed egzaminami modliłem się u Świętego Judy Tadeusza, w Kościele Świętego Krzyża w Warszawie, gdyż Święty ten jest patronem od spraw beznadziejnych. Nie zawsze zdawałem egzaminy, ale polonistykę skończyłem, więc Święty okazał się skuteczny.

Drugi przykład jest bardzo osobisty. Kiedy umierał mój ojciec, trwało to zaledwie trzy miesiące, zabrałem go jeszcze w pełni sił do Warszawy na operację. Miał raka płuc. Ukrywałem przed nim prawdę. Mówiłem mu, że ma tylko jakąś małą narośl w płucach. Tato, którego zabrałem z rodzinnego miasta do Warszawy, żeby go wyleczyć, słabł, po prostu odchodził. Możecie sobie Państwo wyobrazić, w jakiej byłem sytuacji. Sam nie byłem w stanie sobie poradzić. Miałem wrażenie, że tego nie uniosę. Równocześnie byłem sam. Dopiero zmieniłem parafię. Nikogo znajomego nie miałem i tata był u mnie. Pamiętam, było to w październiku, podczas różańca, odmawiając go zrobiłem akt zaufania i zawierzenia. Zacytuje dosłownie, bo dobrze to pamiętam. Powiedziałem: „Panie Boże, Panie Jezu, jakim jestem księdzem, takim jestem, ale jestem Twoim księdzem. Ty mi musisz dać siły, bo ja muszę to unieść”. Gdzieś

z głębi swojej rozpaczyny prosiłem i wołałem: „Panie Jezu, ojcze jest potrzebna kobieta, która wszystko wokół taty robi, bo ja nie bardzo to potrafię, a poza tym jak jest kobieta, to zupełnie inaczej się reaguje”. Proszę sobie wyobrazić, że w tej parafii pracowała ze mną siostra zakonna, która była katechetką. Jednak nie znałem jej wcześniej. Następnego dnia po mojej rozpaczliwej modlitwie ona, zupełnie przypadkowo, przyszła nas odwiedzić. Przez następne kilkanaście dni, kiedy tata jeszcze był w domu, siostra przychodziła. Jak tylko wchodziła, to ojciec promieniał. Taki się robił młodzieńczy, gentleman w każdym calu. Tym doświadczeniem dzielę się szczególnie z ludźmi młodymi, którymi współczesność manipuluje w sposób karykaturalny i wstrząsający, mówiąc Wam, że dacie sobie sami radę w życiu. To jest jeden z najbardziej podstawowych błędów antropologicznych, jakie można sobie wyobrazić. Człowiek nie jest samotną wyspą. Nie jest po to, żeby samemu sobie w życiu radzić. Człowiek jest po to, żeby korzystać z pomocy innych i po to, żeby być dla innych pomocą. To jest sens życia. Nikt z nas nie żyje dla siebie. To mówi nam Święty Paweł.

Maria Berlińska

Jestem zarówno mamą zastępczą jak i mamą biologiczną, ponieważ mam pięcioro własnych dzieci, wnuki i w tej chwili razem z mężem, w rodzinnym domu dziecka opiekujemy się ósemką dzieci.

Zawieranie i ufność. Nie wyobrażam sobie, żeby przejść przez życie, starając się realizować jakiejkolwiek wartości bez zawierzenia i ufności. Nie ukrywam, że tak jak wielu młodych ludzi, na początku swojej drogi życiowej miałam wiele wątpliwości, odejścia od Kościoła i różne zawirowania. Doświadczylam tego sama, że nie da się żyć bez zawierzenia i ufności, bo efekty tego są marne. Zresztą patrząc tutaj na młodych ludzi uczestniczących w spotkaniu, wiem, że drogę tę mają przed sobą, mimo że to, co od nas teraz słyszą, może dla niektórych jest takie sobie gadanie. Stara jestem, ale jeszcze pamiętam, jak sama tak myślałam. Dlatego patrzę z nadzieją i ufnością, ale i ze smutkiem. Bo to sami będziecie musieli tego doświadczyć. I albo wygracie, ufając i zawierzając, albo przegracie. Wasz wybór. Absolutnie wasz wolny wybór. Pan Bóg niewolników nie potrzebuje.

Jakie jest moje świadectwo zawierzenia i zaufania? Jest ich wiele, mogłabym je opowiadać do rana. Najtrudniejsze? Wychowuje-

my dzieci głęboko zagubione. W tym jest dwójka niepełnosprawnych, trójka całkowicie ograniczonych, dwóch psychopatów i tak dalej, i tak dalej. Bardzo trudne dzieci. Z takimi głębokimi zaburzeniami, że trzeba mieć ogromną ufność, że ta karkołomna praca, którą oboje wykonujemy z mężem, w ogóle cokolwiek da, że to

wszystko nie pójdzie na marne. Oczywiście ponosimy tego ogromne koszty. Na przykład, w tej chwili zostałam przez jedną z wychowanek, oczywiście całkowicie bezpodstawnie, podana do prokuratury za stosowanie przemocy i będziemy mieli sprawę. Jest to zupełnie normalne, że dziecko po potwornych przeżyciach, jakie miało w dzieciństwie, w okresie dojrzewania robi różne straszne rzeczy, nie zawsze mając nad tym kontrolę. Na przykład tylko dlatego, że nie dostało pieniędzy na alkohol. Jaką trzeba mieć ufność w Boga i zawierzyć te dzieci Bogu, żeby to wytrzymać. Bez tego to jest w ogóle niemożliwe.



Fot. 24. Maria Berlińska

Drugie moje bardzo głębokie przeżycie. Półtora roku temu nasza biologiczna córka, 21-letnia, uległa śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu. Kiedy dostaliśmy telefon, byliśmy daleko. Jechaliśmy nie wiedząc, co nas spotka. Modliliśmy się z mężem do Boga, żeby dał nam siłę i łaskę na te wszystkie chwile, które nas czekają, aby je przeżyć i udźwignąć. Modliliśmy się z pełnym zaufaniem, że Bóg nam tę siłę da. Potem cztery dni spędziliśmy z mężem przy naszym dziecku, czekając na zakwalifikowanie jej i przejście procedur, aby pobrano od niej organy. To jest niewyobrażalnie trudne, patrzeć na dziecko, które oddycha, które jest ciepłe, które bardzo ładnie wygląda, ma dwadzieścia jeden lat i uwierzyć w to, że ono nie żyje. I że woła Boga jest to, żebyśmy się zgodzili, żeby odłączyć aparaturę i aby jej organy uratowały życie innych ludzi. Jest wielu rodziców, którzy się na to nie decydują. Odłączają aparaturę i czekają na naturalną śmierć dziecka. Jest to naprawdę traumatyczne przeżycie i test głębokiej wiary w sens tego, co się dzieje, ufności Boga przede wszystkim. Są to decyzje naprawdę trudne. Bez

Boga i bez wiary tak naprawdę nie do przejścia. Nie mówiąc o tym, że w tym samym czasie, kiedy chowaliśmy naszą córkę, musieliśmy zapanować nad siódmką naszych dzieci, dla których byliśmy rodziną zastępczą, żeby się nam całkiem nie rozsypały, ponieważ nasza córka mieszkała z nami i dla nich to też było bardzo ciężkie przeżycie. Myślę, że takich przypadków jest mnóstwo. Jedno z moich dzieci, osiemnastoletnie, zachorowało na poważną chorobę nowotworową w okresie pisania matury. Wiara w to, że cokolwiek go spotka, czy umrze czy będzie żyło, to Pan Bóg da mi łaskę na tę chwilę i tyle siły, ile mi będzie potrzeba. Ogromna ufność Bogu, że ja to przejdę i pomogę mojemu dziecku, w czymkolwiek będę mu mogła pomóc.

Mówię to, ponieważ tak jak Państwu powiedziałam na początku, nie zaczynaliśmy tak swojej drogi życiowej z mężem. Nie zawieraliśmy swojego losu Bogu. Byliśmy wtedy w naprawdę trudnej sytuacji małżeńskiej i rodzinnej. Dopiero kiedy w pełni zaufaliśmy, Pan Bóg wyciągnął do nas ręce i dał nam łaskę wiary.

Wychowujemy dzieci z rodzin patologicznych, jednocześnie pomagając ich rodzinom, starając się podać im rękę i wydźwignąć z głębokiej dysfunkcji. Nie jest możliwe, aby to robić, nie ufając Bogu i nie zawierając Jemu tych rodzin. Często przez parę lat czekamy, aby ojciec przestał pić, a matka wysprzątała mieszkanie lub odwiedzając u nas swoje dzieci, miała umytą głowę i nie przyniosła nam wszy. Bez ufności człowiekowi i Bogu jest to niemożliwe i bez odpowiedzialności za własne czyny. Nie wyobrażam sobie, żeby wychowywać powierzone mi dzieci tak głęboko zaburzone, nie nauczone żadnych zasad, wartości i moralności, nawet żadnych granic, by ich nie nauczyć pełnej odpowiedzialności za swoje czyny. Ufam, że w tych dzieciach jest cząstka Boga, a ponieważ ufam również dzieciom, to je tak wychowuję, żeby nauczyły się przede wszystkim odpowiedzialności za to, co robią. Za każdą najdrobniejszą rzecz. Nie tylko za wielkie rzeczy. Mam być odpowiedzialna za najmniejszy gest tych dzieci, nauczanie ich odpowiedzialności, że odniosą do kuchni użytą szklankę, że nie zabiorą siostrze cukierka, nie wyciągną czegoś z cudzej szuflady, że umyją uszy i zęby wieczorem itp. Zawierzenie i ufność potrzebna jest do najdrobniejszych czynności, które w życiu wykonujemy. Gdy siedem lat temu przyjmowałam dzieci do naszego domu, ciężko chorowałam. Wszy-

szy, cała moja rodzina, nasi znajomi mówili, że to niemożliwe, żeby w takim stanie przyjmować dzieci. Odpowiadałam, że wierzę i ufam, że Pan Bóg da mi łaskę na tę chwilę, w której jej będę potrzebowała. Nie mówię: najpierw mi coś dasz, a ja później może coś dla Ciebie zrobię. Ja Bogu zawierzyłam, że jeśli się podejmę w Imię Jego czynienia dobra, to On da mi siłę na wykonywanie tego zadania. Nawet w czasie gotowania obiadu dla dzieci ufam Panu Bogu, że da mi na to siłę. Mam bardzo chory kręgosłup i chore ramiona. Może się zdarzyć, że nie będę mogła podnieść garnka i ugotować dzieciom zupy. Wierzę, że ją ugotuję. Nie potrzeba wielkich rzeczy, wielkich słów i wielkich wydarzeń, tak jak trauma ze śmiercią mojej córki, aby sprawdzić swoje zawierzenie. W wielkich i trudnych chwilach ludzie potrafią się tak zmobilizować, że często robią bardzo mądre rzeczy, chociaż wcale nie są ludźmi, po których można by się tego spodziewać. Mamy tego wiele przykładów. Prawdziwe zawierzenie i prawdziwa ufność ma się przełożyć na najdrobniejsze czynności, a gwarantuję, że będziecie Państwo mieli wtedy satysfakcję z własnego życia.

Ks. Tomasz Bieliński

Bardzo się cieszę, że mogę zabrać głos, będąc gościem tego audytorium i powiedzieć trochę o zaufaniu poprzez różne świadectwa. Powiem o książce, którą dostałem kilka lat temu w prezencie od pewnej kobiety. Była to książka po francusku, której tytuł brzmiał w wolnym przekładzie „moc uwielbienia”. Wręczając mi ją powiedziała: „Ta książka zmieni księdza życie”. Spojrzałem jej prosto w oczy i pomyślałem: „Znam jedną książkę, która zmieniła moje życie, drugi raz nie chcę go zmieniać”. Myślałem o Piśmie Świętym. Ponieważ jednak ta osoba była mi życzliwa i znałem ją jako kobietę bardzo dzielną, która w życiu przeszła niejedno, matkę piątki dzieci, wziąłem jej słowa za dobrą monetę i przyjąłem tę książkę. Postawiłem ją na półce jako ostatnią do przeczytania.

Minął prawie rok od tamtego dnia. Przyszły wakacje, wybierałem się w długą podróż, a ponieważ zawsze jadąc w drogę biorę ze sobą jakąś książkę, wiedząc, ile waży walizki, postanowiłem poszukać książki, która nie będzie zbyt obszerna i zbyt ciężka. I wtedy zdecydowałem się wziąć tę książkę spoza kolejności. Czytając ją, zrozumiałem, co ta kobieta chciała, żebym poznał. Jest to książka

napisana przez pastora protestanckiego. Zrozumiałem wtedy również, że ziarna prawdy są wszędzie, a co dopiero w wyznaniu, które jest wyznaniem chrześcijańskim. Autor opisywał różne historie, których był świadkiem. Przytoczę jedną z nich. Otóż pewnego razu przyszła do tego pastora kobieta, może pod pięćdziesiątkę, ze łzami w oczach, prosząc, by się pomodlił w intencji jej córki, która była tancerką w klubie nocnym. Kapłan ten wysłuchał słów żalu tej kobiety, że przecież wychowywała córkę w wartościach chrześcijańskich, prowadziła do szkoły biblijnej i dlaczego Bóg na to pozwolił. Dlaczego nie ratuje jej, dlaczego sytuacja ta roz-



Fot. 25. Ks. Tomasz Bieliński

dziera jej serce, serce matki, dlaczego jej córka idzie prosto na zatracenie, jeszcze innych ludzi sprowadza na złą drogę. Wtedy kapłan powiedział do tej kobiety: „dobrze, poprosimy Boga o to, by ją stamtąd wyratował, ale najpierw podziękujemy Bogu za to, że ona tam jest.” Jeszcze raz powtórzył: „najpierw podziękujemy Bogu za to, że Pani córka tam jest”. Kobieta była zdumiona: „Jak to? Jeżeli miałabym komukolwiek dziękować, to chyba diabłu!” Wtedy pastor wyjaśnił, że wiele razy w Piśmie Świętym odkrywamy sytuacje beznadziejne. Czy Bóg o nich nie wie? Oczywiście, że wie. Dlaczego Bóg doprowadza do takich sytuacji beznadziejnych? Żeby objawić swoją moc i objawić prawdę o stanie duszy człowieka. Wtedy dopiero Bóg, wchodząc w całą tę sytuację, może człowieka wyzwolić, bo wcześniej człowiek tego nie rozumiał. Kobieta jednak tego nie rozumiała, uważała, że jest to absurdałna prośba i nie chciała się zgodzić. Kapłan zaczął jej udowadniać na przykładach z Pisma Świętego, że w wielu miejscach Biblii znajdujemy świadectwa, że kiedy ludzie byli w sytuacji trudnej, zamiast prosić Boga o pomoc, zaczęli mu dziękować za to, co się stanie.

Nie wiem, czy Państwo pamiętacie ze Starego Testamentu historię Jozuego, który przejął dowodzenie po Mojżeszu, żeby doprowadzić lud do Ziemi Obiecanej. Jozue w którymś momencie stanął pod Jerychem, miastem warownym, po ludzku nie do zdobycia.

Zapytał wtedy Boga, co ma zrobić. A Bóg mu odpowiedział, żeby go wielbił. Żeby wszyscy, każdego dnia chodzili wokół miasta i grali na trąbach, wielbiąc Boga. Myślę, że Jozue mógł sądzić, że natchnienie to jest od złego ducha, a nie od Boga, ponieważ oni już od 40 lat błakali się na pustyni. Pijany wielbłąd by szybciej doszedł do celu niż ci ludzie, którzy szukali Ziemi Obiecanej. I jeszcze mieli przez 7 dni każdego dnia chodzić wokół miasta, wielbiąc Boga, zamiast robić podkop, przygotować się do bitwy i opracować jej strategię. Nie wiem, jak Jozue przekonał 600 tysięcy zbrojnych mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci. Ale zrobili to, co Bóg im polecił. Siódmego dnia, kiedy siedmiokrotnie okrążyli już miasto i zadęli w trąby, Jerycho upadło. Jozue nie prosił. Jozue wielbił Boga.

Również w Nowym Testamencie znajdujemy podobne sytuacje. Kiedy Paweł był w więzieniu i czekał go następnego dnia sąd i kara śmierci, razem z Sylasem wielbili Boga. I co się stało? Nie wiem, czy Państwo pamiętacie Dzieje Apostolskie. Mury więzienia zaczęły pękać i wyszli spokojnie na wolność.

Cztery lata byłem kapłanem w więzieniu, spotykałem ludzi, którzy osiwieli jednego dnia, czekając na werdykt sądu. Nie zapomniałem Piotrka, który miał 28 lat. Czekając na wyrok, jednej nocy osiwił i stracił większość zębów. Nie spotkałem jednak w ciągu tych czterech lat ani jednego więźnia, który siedząc w więzieniu i czekając na wyrok, wielbiłby Boga za to, co usłyszy w sądzie i za to, jaki będzie wyrok. Natomiast w Biblii spotkałem. Był to wspomniany już Paweł. Wielbił Boga, nie wiedząc, za co Go wielbi. Ufał jednak w pełni Bogu.

Wróćmy do historii opowiedzianej w książce. Kapłan przekonał w końcu matkę, by razem z nim się modliła. Wraz z kapłanem dziękowała Bogu za dziwny plan, który ma On w stosunku do jej córki, w którym dopuszcza, by tak się poniewierała, by grzeszyła w ten sposób i innych kusiła. I razem dziękowali za to, co będzie. Jakis czas później zadzwoniła do kapłana, by mu opowiedzieć niezwykle wydarzenie: "Tamtego wieczoru, kiedy byłem u Ciebie i wspólnie dziękowaliśmy za to, co Bóg uczyni w życiu mojej córki i za to, że Bóg przeprowadza dziwny plan, którego nie rozumiemy, córka później niż zwykle wróciła z pracy i opowiedziała mi niezwykle historię. Mniej więcej w tych samych godzinach, kiedy ja byłem u Ciebie, a ona miała występ, do lokalu wszedł jakiś mężczyzna, stanął

blisko sceny, popatrzył chwilę na tańczącą córkę i coś do niej wykrzyczał. Ponieważ zdanie, które powiedział, zupełnie nie pasowało do klimatu tego miejsca, ona po skończonym występie zaintrygowana tym, co usłyszała, zaczęła tego mężczyzny szukać. Znalazła go siedzącego przy barze. Podeszła do niego i powiedziała: "Czy możesz powtórzyć mi to, co krzyknąłeś, kiedy ja miałam występ?" Odpowiedział: "Mogę. Powiedziałem Ci, że Jezus Cię kocha i chce Ci dać nowe życie. W tej dzielnicy jestem po raz pierwszy. Jestem chrześcijaninem i idąc w pewnej chwili otrzymałem nakaz. Może dla Ciebie będzie to niezrozumiałe. Bóg mi powiedział, że mam wejść do tego lokalu (nie wiedząc, kogo tam zastanę) i kobiecie, którą zobaczę tańczącą, powiedzieć, że Jezus chce jej dać nowe życie i właśnie Ci to mówię". Ona patrzyła na niego zdumiona, ale po chwili powiedziała: "Nie wiem tak naprawdę, o jakim życiu mówisz, ale wiem jedno, że nie chce żyć tak, jak żyję". "I to był ostatni dzień występów mojej córki" – powiedziała kobieta.

Ta książka pełna jest takich przykładów. Kiedy ją przeczytałem, pomyślałem sobie: "Panie Boże, teraz mnie będziesz egzaminował, czy zrozumiałem, o co w niej chodzi". I uwierzcie mi Państwo, w czasie tej podróży, na której byłem z tą książką, kiedy przeczytałem ostatnią stronę, Bóg wziął się do egzaminowania mnie. Mam takie doświadczenie, że Bóg mnie bardzo często sprawdza, kiedy jakaś książka dotknie mnie głęboko, czy zrozumiałem, o co w niej chodzi. Wiecie jak mnie sprawdził? Znalazłem się w szpitalu i umierałem. Trzy dni po przeczytaniu tej książki umierałem, całe życie miałem przed oczami i czułem, że to koniec i skończyło się moje panowanie nad życiem. Więc to był koniec. Po prostu koniec. Wiedziałem to. Przypomniałem sobie wtedy tę książkę. Powiedziałem sobie, że nie spodziewałem się, że egzamin będzie tak wyglądał. I zacząłem Bogu dziękować za to, co przyniosą najbliższe godziny. Nie prosiłem Go o życie, nie prosiłem o śmierć. Powiedziałem – Boże, dasz, co chcesz. Ja Ci dziękuję za to, co będzie w ciągu najbliższych godzin, jak się potoczą moje losy. Wynik znacie. Żyję. Nie będę opowiadał szczegółów. Był to początek całego ciągu wydarzeń, które miały miejsce w moim życiu przez ostatnie lata.

Kilka tygodni później, kiedy wróciłem szczęśliwy, ciesząc się życiem, wiedziałem, że mam dalej służyć Panu. Dostałem wtedy telefon spod Warszawy od sióstr zakonnych, które mnie prosiły, że-

bym przyjechał pomodlić się nad śmiertelnie chorym lekarzem, który miał nowotwór mózgu i żebym odprawił Mszę Świętą w jego intencji. Gdy się dowiedziałem, że ten człowiek już się nie rusza, że jest to terminalny stan, postanowiłem odprawić Mszę Świętą w jego domu. Gdy wszedłem do mieszkania, zobaczyłem mężczyznę, o którym sądziłem, że ma co najmniej 50 lat. Okazało się, że to młody człowiek, mający 32 lata. Przy łóżku stali: młoda żona, czteroletnia córeczka, matka i brat. Leżący człowiek nie przejawiał żadnych znaków życia. Po prostu wegetująca roślina. Zdjęcie z tomografii komputerowej pokazywało, że 80% mózgu jest zajęte przez komórki nowotworowe. Zacząłem odprawiać Mszę Świętą i doszedłem do momentu homilii. Co powiedzieć? Na mowę pogrzebową za wcześnie, a powiedzieć im "nie martwcie się, dobrze będzie", to czułem, że zbyt mało. Niewierzący też może powiedzieć: "nie martw się, dobrze będzie". Miałem w głowie jakąś myśl, kiedy jechałem na tę Mszę, że coś powiem, ale kiedy doszedłem do momentu homilii, zrobiła się pustka i usłyszałem jedno zdanie, które Bóg mi włożył w serce: "zaczynij od tego zdania". To były ułamki sekund. Szybko spytałem: "ale jakie ma być drugie?" – "zaczynij od tego zdania" – "ale co dalej" – "zaczynij od tego zdania". To były ułamki sekund.

Może Państwo myślicie, że księży przed kazaniem mają napisać tekst i wiedzą, co mają powiedzieć. Zapewniam Was, że nie zawsze tak jest. Czasem wcześniej wprawdzie wiedzieli, co mają powiedzieć, ale Duch Święty nakazuje im (często w ostatniej chwili), żeby mówili coś innego.

Gdy zacząłem homilię, spojrzałem na tego człowieka leżącego bez ruchu i nie przejawiającego żadnych odruchów życia, a jednak żyjącego, na żonę, na wszystkich zgromadzonych i powiedziałem: "Słuchajcie, drodzy Państwo, czy po tych sześciu miesiącach choroby wy wierzycie, że Bóg kocha człowieka?" "Tak, proszę księdza, wierzymy". "Dobrze, to mam drugie pytanie: Jeżeli Bóg kocha człowieka, to chce jego dobra. Tak?" – "No tak" – "No to wytłumaczcie mi: dlaczego pozwala, żeby cierpiał młody człowiek, młody mąż, młody ojciec, młody lekarz. Jest tyle powodów, żeby żył. Dlaczego Bóg, który kocha człowieka i chce jego dobra, pozwala na takie cierpienia?" Zapadła cisza. Wtedy powiedziałem: "wiele lat studiowałem, jestem teraz wykładowcą w seminarium, a często na-

potykam pytania, przed którymi klękam, nie znając odpowiedzi. Wiem jednak jedno, że dopiero teraz, przez całą długą chorobę zrozumieliście kilka najważniejszych rzeczy. Mimo że widzę Was po raz pierwszy, powiem Wam teraz o trzech fundamentalnych rzeczach w życiu człowieka, które myślę, że zrozumieliście w czasie tej choroby. Jeżeli się pomylę, to proszę powiedzieć, że nie zgadłem.

Pierwsza rzecz. "Gdybym Pani rok temu – zwróciłem się do żony chorego - opowiedział historię pewnego męża, lekarza, który się rozchoruje, będzie na łożu śmierci, a ona, jego żona będzie szukała znajomych lekarzy, starała się, aby zostały zastosowane wszystkie najnowsze metody, techniki leczenia, chemioterapia, wszystko cokolwiek się da zrobić i nic to nie będzie pomagało; również zamawiane Msze Święte, różańce, nic nie pomogą, on się stacza, idzie do grobu; czy Pani uwierzyłaby mi wtedy, że jest w stanie coś takiego przeżyć w swoim małżeństwie? " "Nie, proszę księdza. " Już na początku choroby, jak wspomniała mi Pani, lekarze powiedzieli, że trzeba szykować garnitur i trumnę, a tymczasem minęło pół roku, a Pani ciągle jest przy nim, dzięki czemu okazało się, jaka jest miłość i wierność małżeńska, którą ślubowaliście sobie, aż do śmierci. Znam takie przypadki, że żona się rozchorowała, a mąż powiedział: "złamałaś mi życie" i poszedł. Więc to jest pierwsza rzecz, którą Pani odkryła – jaka jest silna miłość małżeńska oparta na miłości do Boga.

Druga rzecz. Gdzie są Państwa przyjaciele, którzy przychodzili na kawki, herbatki, bo to znajomy lekarz? Gdzie są ci Wasi przyjaciele? Poznawali ludzi, o których myśleliście, że są Waszymi przyjaciółmi, a pojawili się inni, którzy pożyczali Pani pieniądze, nie wiedząc, czy im kiedykolwiek Pani odda (bo z czego, gdy mąż umrze). Odkryła Pani prawdziwych przyjaciół w biedzie. Zgadza się? "Tak, proszę księdza. " Poznała Pani ludzi, których można darzyć zaufaniem i którzy Pani zaufali.

Trzecia rzecz. Najważniejsza. Gdyby Pani mąż rok, czy dwa lata temu szedł ulicą i zginął pod kołami samochodu, czy miałyby Pani pewność, że był gotowy na śmierć, że będzie zbawiony? A dzisiaj, po pół roku choroby, przyjmuje Komunię Świętą i jest przygotowany na pójście do nieba. Przecież taki jest, tak naprawdę, cel naszego życia. Żyjemy po to, żeby zdążyć się przygotować na pójście do nieba. Tu jest tylko czas na decyzję, czy chcę iść do nieba, czy



Fot. 26. Ks. Tomasz Bieliński i Maria Berlińska

nie. Pani mężowi wystarczyło 32 lata, żeby zdecydować, że chce iść do nieba i przygotować się na śmierć, jeżeli Bóg chce jego śmierci. "Ma ksiądz rację. Myśmy już za to dziękowali Bogu. Dziękowaliśmy za to, żeśmy to zrozumieli".

Kończąc homilię, powiedziałem (pierwszy raz w swoim życiu): "Czy jesteście gotowi podziękować za to, co Bóg dał Wam od pierwszego dnia? Czy jesteście gotowi Bogu podziękować za cud uzdrowienia albo za śmierć. Jeżeli wierzycie, że Bóg kocha człowieka i chce jego dobra, Bóg wybierze to, co lepsze; lekarze nie mają już nad tym żadnej władzy."

Pomyślałem sobie, że teraz żona umierającego powie mi: "Niech ksiądz skończy mówić i jedzie do domu. Jak ja mam dziękować za śmierć? Czy miał kiedyś ksiądz brata, matkę, którzy tak umierali? Ja mam podziękować Bogu za śmierć?"

Przyjąłbym takie słowa z szacunkiem, zrozumiałbym je i całkowicie usprawiedliwiłbym taką reakcję żony umierającego. A tymczasem usłyszałem: "Będzie tak, jak Bóg chce. Wierzę głęboko, że Bóg da to, co najlepsze dla mojego męża". W imieniu całej rodziny podziękowałem Bogu za to, co miały przynieść najbliższe dni. Skończyłem Mszę Świętą. Jak wyjeżdżałem, chory spał.

Minęło pół roku, gdy dostałem telefon, czy mogę jeszcze raz tę rodzinę odwiedzić. Jechałem, nie wiedząc, co tam zastanę. Nie wie-

działem nic, nawet nie chciałem wiedzieć. Jadąc, prosiłem Boga, aby decydował za mnie, jak się zachować. Otworzył mi drzwi mężczyzna w wieku około 30 lat i powiedział: "Jestem tym lekarzem, za którego ksiądz modlił się pół roku temu" Pokazali mi dwa zdjęcia z tomografii komputerowej, na pierwszym 80%, na tym drugim 10% komórek rakowych. Może Państwu trudno w to uwierzyć. Ja wierzę w cudowne uzdrowienia, bo nie był to pierwszy cud, jaki widziałem w życiu: wiara matki i wiara żony, które dziękowały Bogu za to, co było i za to, co będzie. Przeczytana książka mnie tego nauczyła.

Podobne przykłady znajduję w Biblii. Kiedy Jezus dowiedział się, że ma wskrzesić Łazarza, co powiedział do Boga? "Dziękuję Ci, że mnie wysłuchałeś", a Łazarz leżał martwy. Zaczął więc od końca. I co miał Ojciec zrobić, jak Syn już mu dziękuje za cud, który się jeszcze nie dokonał. Od tego czasu zacząłem Bogu za wszystko dziękować, również za to, co będzie, nie wiedząc, co będzie. To jest dla mnie największy test na zaufanie, który podpowiada Biblia.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Powiem parę słów o zaufaniu do ludzi. Przez kilkanaście lat, będąc zatrudniona na Uniwersytecie Warszawskim, miałam również pół etatu w jednej z uczelni poza Warszawą. Dyrektorem w tym instytucie, a były to czasy głębokiego PRL-u, był człowiek, który w ogólnopolskim środowisku uniwersyteckim był człowiekiem marginesu. Ciężko na nim odium popełnienia plagiatu przy swoim doktoracie. Był to człowiek, który niszczył ludzi. Wynikało to, jak sądzę, z lęku, że ktoś z młodych asystentów go przerośnie. Był to człowiek uformowany przez system. Ktoś z kolegów kiedyś mi powiedział, że znalazł na jego biurku dyplom "Za 23 lata wiernej służby w Służbie Bezpieczeństwa". Niszczył on wzajemne zaufanie między ludźmi. Jak to robił? Uczył młodych ludzi, którzy zaczynali dopiero pracować w Instytucie, aby nikomu nie ufali, bo nawet najbliższy kolega może ukraść mu jego pomysł badawczy.

Dojeżdżałam tam 18 lat. Stworzyłam zespół, w którym 5 osób zrobiło doktoraty. Te doktoraty były jednymi z najlepszych wtedy w Polsce. Miałam ogromną satysfakcję, patrząc na tych ludzi i na

drogę, którą przebyli. Najważniejszą łaską Bożą, której tam naprawdę doświadczyłam, było to, że zespół, który udało mi się stworzyć, składał się z ludzi, którzy wzajemnie sobie ufali. Wprawdzie mówili mi o tym, jak pod tym względem jest w całym instytucie, ale oni sobie ufali. Już wiele lat tam nie jeżdżę, ale mam kontakt z tymi ludźmi. Z ogromną satysfakcją i radością obserwuję ich rozwój. Najbardziej mnie cieszy, że dalej trwają w przyjaźni i zaufaniu do siebie. Ten zespół jest do dzisiejszego dnia znaczący w tym instytucie. Przez to zaufanie sobie. Oni robią różne prace wspólne. Budują różne rzeczy nie tylko naukowe. Wspólnie, bo sobie ufają.

Inny przykład jest z czasu początku mojej pracy na Uniwersytecie. Jeszcze wtedy mało osób znałam. Podeszła do mnie pani, którą wcześniej widziałam w administracji, mówiąc, że jest w chwilowej bardzo ciężkiej sytuacji i czy mogę jej pożyczyć jakieś pieniądze, a ona odda mi je za tydzień. Oczywiście moja pensja była wtedy skromna, ale jak jest taka sytuacja, jak ją opisała ta pani, to trzeba pomóc. Po tygodniu niestety nie otrzymałam zwrotu tych pieniędzy, a jak spytałam o tę panią w administracji, to okazało się, że już przestała pracować. Od tego czasu upłynęło dwa lata lub nawet więcej, gdy któregoś dnia podeszła do mnie ta pani. Ja już tę sprawę nie bardzo pamiętałam. Dopiero ona mi ją przypomniała. Powiedziała, że strasznie przeprosza, że to tak długo trwało, ale nie mogła wtedy oddać tych pieniędzy (opisała całe zdarzenie), ale teraz oddaje. I wtedy sobie pomyślałam, jak ważne jest zaufanie ponad wszystko.

Powiem jeszcze o jednym zdarzeniu. Prowadziłam seminarium magisterskie i wyjątkowo w danym roku wspólnie z koleżanką z innego zakładu. Wiedziałam od kolegów, że jest osobą bezdzietną i bardzo cierpi nad tym, że nie mają dzieci. W tym czasie z moim mężem byliśmy rodziną zaprzyjaźnioną z domem dziecka w naszej dzielnicy i w naszej parafii. Parę dni wcześniej, tuż przed Bożym Narodzeniem, byłam zaproszona przez ten dom dziecka na spotkanie i dowiedziałam się tam, że jest jedenastoletnia dziewczynka, do której nikt nie przychodzi i nikt jej nie odwiedza. "Ważne byłoby – mówiła jedna z pań wychowawczyń – aby znaleźć rodzinę, która wzięłaby ją na święta". Zaraz przyszła mi na myśl ta moja koleżanka. Tylko jak jej o tym powiedzieć, żeby jej nie urazić? Tuż przed seminarium poprosiłam: "Duchu Święty, pokieruj". I opowiedziałam jej, o czym dowiedziałam się w domu dziecka. Ona odpowie-

działa: "Mój mąż jest teraz za granicą, ale jak tylko przyjedzie, to zaraz porozmawiamy i zadzwonię do Domu dziecka". Pomyślcie sobie Państwo, że ten jeden drobny epizod, kiedy zaufałam Panu Bogu i tej osobie, sprawił, że życie tej dziewczynki, jak i jej nowych opiekunów całkiem się odmieniło. Dziewczynka skończyła gimnazjum, mimo że na początku bardzo źle się uczyła, zdała maturę, zrobiła studia. Była u mnie na seminarium magisterskim.

Zbigniew Witecki

Uważam, że możemy zaufać Bożej miłości. Boża miłość jest niezwykła, jest wyprzedzająca, to znaczy jeszcze myśmy się nie narodzili, nie poczęli w łonie swojej matki, a Bóg już nas ukochał. Już nam wyznaczył miejsce, czas, rodzinę. Boża miłość jest wieczna, czyli nigdy nie ustaje. Jest bezwarunkowa, czyli nic nie musimy zrobić, by zasłużyć na nią. No i jest pełna, czyli jest idealna. I właśnie z tej miłości Bóg dał nam wolną wolę. Wolną wolę nawet do tego, byśmy mogli Go odrzucić. Ale tylko wolny człowiek może się otworzyć na Bożą miłość i obdarzyć Go pełnym zaufaniem.

Zawsze wiedziałem, że Boża miłość w moim życiu istnieje, ale dopiero kiedy zdecydowałem się na przyjęcie Jezusa jako swojego Pana i Zbawiciela, doświadczyłem głębi Jego miłości. Wtedy też zachwyciłem się słowami Jezusa zapisanymi w Ewangelii Łukasza na temat zbędnych trosk: "...nie starajcie się zbytnio o to, co będziecie jeść, co będziecie pić, w co się będziecie ubierać. Szukajcie wpieryw Królestwa Bożego, a to wszystko będzie wam dodane..." I przyjąłem te słowa Jezusa jako motto swojego życia, jako motto życia swojej rodziny, swojego małżeństwa i relacji z innymi.

To pozwoliło mi przebudować swoje życie. Objawiało się to w bardzo konkretny sposób. Kiedy oddałem Jezusowi swoje życie, pokazał mi najpierw, że jestem bardzo uzależniony od telewizji. Ponieważ ufałem Bogu, oddałem Mu ten problem, z którym nie umiałem sobie poradzić, prosiłem Go o wyzwolenie. On uleczył mnie w jednym momencie. Tak akurat się złożyło. W związku z tym wzrosła moja wiara, a jak wzrosła moja wiara, wzrosło również moje zaufanie.

Są dwie podstawowe trudności. Jeżeli chcę być zależny od Boga, to współczesny świat mówi: "Po co będziesz zależny – masz pieniądze, zdrowie, sam będziesz sobie stawiał warunki, sam sobie bę-



Fot. 27. Zbigniew Witecki

dziesz budował życie”. I to jest ta pierwsza przeszkoda, która odwraca mechanizm wzrostu zaufania. I drugie, jeśli chodzi o zaufanie do ludzi, to je mogę mieć do osoby, której wierzę. Ale współczesny świat mówi: ”Ufać trzeba tylko sobie, ufać trzeba mediom, reklamie, ufać trzeba swojej osobistej karierze życiowej, samorealizacji, swoim pomysłem itd. ”. I to jest ten drugi poziom, który w bardzo intensywny sposób rozbija życie duchowe człowieka.

Kiedy zawierzyłem się Bogu całkowicie, poświęcając się na służbę kościołowi i jego sprawom, mówiłem: Panie Boże, skoro ja Ci służę, to Ty proszę zabezpiecz w związku z tym ”resztę”, abym ”nie troszczył się zbytnio. ” No i były sytuacje, kiedy brakowało np. żywności. Stawałem przed odpowiedzią na pytanie, czym nakarmię moją wielodzietną rodzinę. Modliłem się z pełną ufnością do Pana Boga i zawsze żywność się znalazła – ktoś ją nam przyniósł do domu, wezwał mnie proboszcz, żebym odebrał dary, albo przyszła paczka. Podobnie z ciuchami i z innymi rzeczami, które dostawaliśmy, kiedy tego potrzebowaliśmy. Nie mieliśmy nadmiaru pieniędzy, ale zawsze, gdy były one potrzebne, w cudowny sposób się znajdowały. Pojechałem z żoną i synem na tygodniowe pielgrzymki do Taizé i do Medjugorie, bo nagle znalazły się pieniądze od tajemniczego sponsora.

Były też trudne sytuacje, które stawały przed nami. Czwarte, nieplanowane dziecko. Kiedy po ludzku było bardzo ciężko, a jesz-

cze otoczenie dokładało swoje, gdy trwałem w modlitwie, Bóg osobiście mi powiedział: "To jest Moja wola". Dopiero wtedy dotarło do mnie, że każde dziecko, każde życie jest na świecie z woli Boga.

Jeszcze chciałem powiedzieć o trudnym okresie, kiedy nie doświadczałem miłości Boga. Byłem przez wiele lat w depresji i Bóg był wtedy jakby nieobecny w moim życiu, czymś ode mnie oddzielony. Po tym okresie zdałem sobie sprawę, że dzięki swojej rodzinie, dzięki żonie, dzięki dzieciom, przeszedłem ten trudny czas. Oni mnie wtedy "nieśli na rękach". To było coś niezwykłego, że nie zostawili mnie samego, choć mogli powiedzieć: "nie zarabiasz, nie nadajesz się do życia, nawet z domu nie chcesz wychodzić, no to nie jesteś nam potrzebny". Zaufali mi, otaczali miłością, wspierali, przeżywali ze mną te trudne, a momentami dramatyczne chwile.

Monika Leśniowska (studentka)

Do dzisiejszego dnia trudno mi mówić i pisać o tym, co przydarzyło mi się trzy lata temu. Było to bardzo osobiste przeżycie.

Przez większość mojego życia nie byłam osobą specjalnie wierzącą, do kościoła chodziłam sporadycznie. Miało na to wpływ doświadczenie, które przeżyłam w dzieciństwie. Gdy miałam 5 lat w wypadku samochodowym zginęła moja mama – najważniejsza dla mnie osoba. Miałam wtedy mieszkać u siostry mojej mamy, niestety parę lat później ona również zginęła w wypadku samochodowym.

Świat mi się załamał, nikt nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego tak się stało i dlaczego Bóg odebrał mi tak ważne dla mnie osoby. Również od dnia wypadku przestał interesować się mną mój ojciec. Było mi bardzo ciężko. Na szczęście znalazłam pomoc u mojej chrzestnej matki i wujka.

Trzy lata temu, przed świętami, koleżanka, z którą mieszkałam w Warszawie zaciągnęła mnie wręcz do kościoła, aby się wypowiadać. Z dużym oporem zgodziłam się. Kiedy weszliśmy do kościoła zobaczyłam księży, którzy stali w różnych miejscach kościoła i spowiadali na stojąco twarzą w twarz. Siadaliśmy z koleżanką w ławce, a mnie wydawało się, że nigdy się nie zdecyduję, aby podejść do któregoś z nich.

Po chwili coś mnie jednak tknęło, wstałam i poszłam pod sam ołtarz do starszego księdza w okularach. Nie wiem do dziś, dlatcze-

go go wybrałam. Ksiądz spojrzał na mnie i zapytał, kiedy byłam ostatni raz u spowiedzi. Kiedy powiedziałam mu, że dawno i opowiedziałam o swoim życiu, on popatrzył zza okularów i powiedział do mnie:

„Moniko! Na jednym ramieniu siedzi Twoja Mama, a na drugim Ciocia, nigdy nie byłaś sama! Bóg cię prowadził razem z nimi przez życie, a że jesteś mądrą osobą, to sobie poradziłaś ze wszystkim”.

Tych słów nie zapomnę nigdy! Pierwsza myśl była – skąd znał moje imię? Płakałam i nogi miałam jak z waty. Trudno opisać, co wtedy czułam. Spytał też o mojego ojca, mimo, że nic mu o nim nie mówiłam. Powiedział, że kiedy będzie umierał mam mu wszystko wybaczyć. Łzy ciekły mi po policzkach jak strugi deszczu.

Od tamtej pory wierzę w Boga i jego moc.

Elżbieta Pierścionek

W grudniu cztery lata temu uległam wypadkowi. Przechodziłam po pasach przez ulicę. Był wieczór i nigdzie się nie śpieszyłam. Była dobra widoczność i nie padało. Kiedy zapaliło się zielone światło, weszłam na pasy. Okazało się, że trzeba wcześniej nacisnąć odpowiedni guzik, gdyż bez tego zielone światło trwa bardzo krótko. Zabrakło mi pół metra do przejścia bezpiecznie na drugą stronę jezdni, kiedy zostałam potrącona przez pędzący samochód. W wyniku uderzenia doznałam urazu twarzy: miałam pękniętą kość jarzmową, rozcięty łuk brwiowy, złamany nos, pękniętą wargę i powiekę. Lekarze, którzy przyjmowali mnie w szpitalu i robili kompleksowe badania, dziwili się, że nie mam żadnych wewnętrznych obrażeń.

Z pozszywaną, opuchniętą i całkowicie obandażowaną twarzą trafiłam do pokoju, gdzie leżały już trzy kobiety, w lepszym nieco stanie ode mnie. Trzeciego dnia po wypadku wszedł do naszej sali ksiądz i nachylając się nade mną spytał: „mąż tak Panią urządził?” Tą wypowiedzią zaskoczył mnie zupełnie.

Następnego dnia był Sylwester. Jak przez mgłę widziałam moje towarzyski z pokoju, które otaczały moje łóżko, wśród nich młodą dziewczynę z długimi włosami, zakrywającymi pół twarzy. Jak się potem okazało, miała nowotwór żuchwy. Przez słomkę, z plastikowego kubeczka spełniłam symboliczny toast noworoczny szampanem, który ktoś przyniósł.

Po tygodniu leżenia mogłam wyjść na korytarz. Tam podeszła do mnie kobieta i zapytała: "Co się stało?" "Wyszłam z wypadku – odpowiedziałam – zostałam potrącona na pasach". To wzbudziło nagłą agresję u mojej rozmówczyni: "Moja bratowa, młoda osoba, matka trójki małych dzieci, w ten sam sposób, potrącona na pasach, zginęła na miejscu. A Pani żyje". Miała pretensje do Pana Boga i do mnie.

Wtedy dopiero dotarło do mnie, że nigdy nie podziękowałam Panu Bogu za dobrego męża. Uświadomił mi to ksiądz swoją niezręczną wypowiedzią. Agresja kobiety zaś kazała mi zastanowić się, dlaczego żyję. Wtedy uświadomiłam sobie, że uratowała mnie Matka Boska Nieustającej Pomocy, którą stale noszę przy sobie. Pomyślałam: zostałam uratowana, bo widać mam jeszcze jakieś zadania do spełnienia. Odpowiedź znalazłam bardzo szybko. Do dziś wspieram tę młodą, spotkaną w szpitalu dziewczynę, całkowicie samotną i ciężko chorą. Matka Boska zadziałała "na dwóch frontach" równocześnie.

Na zakończenie chciałabym przeczytać krótki wiersz, który powstał na żywo, na podstawie wypowiedzi Księdza Tomasza i Jemu go dedykuję:

"Podziękowanie Bogu za to, co będzie..."

Została tylko modlitwa

czy to mało

wszak uwierzyłam,

że Słowo ciałem się stało

wystarczy jeszcze zaufać,

że cuda modlitwy sprawiają.

I zacząć się modlić.

Amen

Barbara Falkowska

Chciałam powiedzieć, że jestem człowiekiem stworzonym nie przez przypadek i wyposażonym na różne sytuacje. Wierzę, że jako człowiek stworzony i wyposażony muszę w każdej sytuacji znaleźć współpracę z Tym, kto mnie stworzył. Jeżeli nie marnuję tego wyposażenia, które mi darowano, którym mnie obdarowano, to mam zaufanie do siebie jako do człowieka. Jeżeli nie ufam drugiemu człowiekowi, to nie korzystam ze swojego wyposażenia.



Fot. 28. Słuchacze. Wśród nich studenci Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin i słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie wszystkim Państwu dziękuję za udział. Dziękuję Pani Marii za niezwykle świadectwo wielkiej odwagi, którą daje łaska Boża, dziękuję Księdzu Tomaszowi za ten bardzo głęboki duchowy wykład o konieczności i potrzebie zaufania i dziękowania również za to, co nas spotka.

Szczęść Boże wszystkim obecnym.



Fot. 29. Mateusz Pobudejski, za nim siedzi Bogumił Chlebny

Spisał z nagrania Łukasz Pobudejski

Czy to co robię uważam za swoją misję?

Cytaty

Jan Paweł II. Chrzest początkiem misji
(9.01.2005, fragment)

Dziś obchodzimy święto Chrztu Pańskiego, który jest wydarzeniem uważanym przez Ewangelistów za początek działalności Mesjasza. Misja Chrystusa, w ten sposób zainaugurowana, wypełni się w tajemnicy Paschy, kiedy poprzez swoją śmierć i zmartwychwstanie zgładzi On grzech świata (por. J 1, 29). Również misja chrześcijanina zaczyna się od chrztu. Dlatego ukazanie jego znaczenia dzięki odpowiednim programom katechetycznym dla dorosłych jest jednym z najważniejszych aspektów nowej ewangelizacji. Ponowne i bardziej dojrzałe przyjęcie wiary jest warunkiem prawdziwego i pełnego uczestnictwa w Eucharystii, która jest szczytem życia kościelnego.

Ks. Dariusz Madejczyk. I ja was posyłam
(fragment homilii)

Jedną z największych przeszkód, które zatrzymują nas w miejscu i nie pozwalają się rozwinąć na miarę naszych możliwości, jest oczekiwanie, że to inni podejmą inicjatywę, a my się tylko przyłączymy

Co jakiś czas zdarza mi się słyszeć tu i ówdzie zdania w rodzaju: „w naszej parafii nic się nie dzieje”. Uprzedzając odpowiedź, dlaczego nic się nie dzieje, zazwyczaj od razu pytam: „A ty co zrobiłeś (-aś), żeby „coś” się działo?”.

Tego rodzaju pretensje są bardzo typowym obrazem ducha bierności, który – jak pokazują także badania statystyczne – jest ostatnio bardzo rozpowszechniony w naszym narodzie. Mamy wielu widzów i tyleż samo krytyków, ale niewielu tych, co chcieliby – nie zważając na zazdrość biernych krytykantów – wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić coś więcej niż inni. A przestrzeń do zagospodarowania jest naprawdę duża. Potrzeba jednak nie tylko dobrych chęci, ale także odrobiny odwagi, by zaryzykować i podjąć się czegoś, za co inni wziąć się nie chcą.

Ewangelia na Niedzielę Zesłania Ducha Świętego przynosi nam słowa posłania, które Jezus kieruje do swoich uczniów: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Potrzeba, żeby każdy z nas poczuł, że to Jezusowe posłanie w jakiś sposób dotyka jego samego.

Wiara w Jezusa to bowiem nie tylko troska, by samemu dobrze żyć. Wierzyć to znaczy czuć się odpowiedzialnym również za drogę do Boga, którą musi przemierzyć drugi człowiek – i ten bardzo nam bliski, i ten, którego być może jeszcze nie znamy.

Jan Paweł II. Misja do głoszenia przebaczenia
(fragmenty, 2002 r.)

Tak można ująć podstawowe zagadnienia, którym poświęcony będzie tegoroczny Światowy Dzień Misyjny, przypadający w niedzielę 20 października. Jego wymowny temat brzmi: "Misja to głoszenie przebaczenia". Dzień ten obchodzony jest corocznie, lecz z upływem czasu nie traci znaczenia i ważności, gdyż misja jest naszą odpowiedzią na ważne polecenie Jezusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody (...). Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem” (Mt 28, 19).

Benedykt XVI. Nic nie jest piękniejsze od dzielenia się z innymi
(fragmenty, 23.12.2007)

Nie ma nic piękniejszego, potrzebniejszego i ważniejszego od dzielenia się bezinteresownie z ludźmi darem darmo otrzymanym od Boga! Nic nie może nas zwolnić z tego trudnego i wspaniałego obowiązku czy od niego odciążyć.

Benedykt XVI. Misja Kościoła w dziedzinie wychowania
(fragmenty, 26.11.2005)

W Adhortacji apostolskiej *Ecclesia in Europa* Jan Paweł II gorąco zachęcił Kościół na naszym kontynencie, by coraz większą uwagę poświęcał wychowaniu do wiary ludzi młodych (n. 61). Wiemy, że nie chodzi tu tylko o dydaktykę, o doskonalenie metod przekazywania wiedzy, ale o edukację, która opiera się na bezpośrednim i osobowym

spotkaniu z człowiekiem, na świadectwie, autentycznym przekazie - bezpośrednio od osoby do osoby - wiary, nadziei i miłości oraz wypływających z nich wartości. Chodzi zatem o autentyczne spotkanie z drugą osobą, której trzeba najpierw wysłuchać i ją zrozumieć.

KONWERSATORIUM XXIX (21.02.2009 R.)

Czy to co robię uważam za swoją misję?

Prowadzący: ks. Adam Zelga, (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), Robert Kościuszko (pisarz), Grzegorz Polak (dziennikarz), ojciec, ks. dr Tomasz Szyszka (misjonarz, werbista, nauczyciel akademicki).

Ks. Adam Zelga

Na dzisiejsze Konwersatorium zostali zaproszeni: dziennikarz, pisarz i misjonarz. We współczesnych czasach bycie dziennikarzem, zwłaszcza katolickim, pisarzem lub misjonarzem, jeżeli nie jest to powołaniem i życiową misją, nie ma głębszego sensu, zwłaszcza materialnego. Nawiążę do wypowiedzi profesora Bartoszewskiego w związku z opublikowanym wywiadem „Czy warto być przyzwoitym?” Na pytanie, czy tego rodzaju życie, o którym



Fot. 30. Paneliści: ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak i ks. Tomasz Szyszka

mówił w wywiadzie, opłaca się, odpowiedział: "Ja nie powiedziałem, że się opłaca, tylko że warto". Myślę, że w tej konwencji powinniśmy prowadzić naszą dzisiejszą rozmowę. Wszyscy, ale szczególnie ludzie młodzi, stoją przed wyborem swojej drogi w życiu. Jedna z nich to ta zaproponowana w tytule Konwersatorium: mam w życiu zadanie do wypełnienia, które warto wypełnić, nie patrząc na materialne zyski i na jego opłacalność. I druga droga: jestem pępkiem świata, wszystko mi się należy, kształtuję swoje życie wyłącznie pod swoim kontem i tak, żeby mnie było najlepiej w życiu. Inni mało mnie obchodzą.

W każdym z nas ścierają się wybory jednej z tych dwóch dróg. Którą wybierzemy, lub już wybraliśmy, jako model na życie? Spróbujmy na to sobie odpowiedzieć.

Robert Kościuszko

Jestem powieściopisarzem, ale równocześnie, co jest dla mnie stokroć ważniejsze, szczęśliwym mężem i ojcem. Mam wspaniałą żonę, Joasię, z którą jesteśmy razem już czternasty rok w małżeństwie i mamy trzech synów: Tomka, Michała i Jasia. Tomek ma dwanaście lat, Michał dziewięć i Jasio, najmłodszy, trzy. Chciałem krótko wprowadzić Państwa w swoje życie. Uważam, że ważne jest, abym podzielił się sprawą, która miała mocny wpływ na moje życie i ma nadal. Kiedy zostałem ojcem, zdałem sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach dla wielu młodych ludzi, dla dzieci i młodzieży, Pan Bóg jest kimś nudnym i szkoda na niego czasu. Młodzi ludzie wolą poszperać w Internecie, zagrać w jakąś grę na komputerze albo obejrzeć film na DVD. Jak im powiedzieć, że tak nie jest? Jak im pokazać, że Pan Bóg jest twórcą wspaniałej przygody, jak to młode dziecko mówi "wypasionej" i "wyczesanej", w której sam się ukrywa jako wspaniały bohater, ale trzeba włożyć wysiłek, żeby Go tam odkryć. Jest to porywająca przygoda, jeśli tylko człowiek ma odwagę w nią wejść i ją przeżyć.

Siedząc kiedyś przy łóżkach moich synów przed ich zaśnięciem, chcąc przybliżyć im bohaterów przygód, w których właśnie ukryty jest Pan Bóg, opowiadałem im o postaciach biblijnych. Ponieważ mam synów, pomyślałem, że ktoś może zainteresować młodych chłopców bardziej niż Dawid, który dołożył Goliatowi, albo Gedeon czy Samson. Kiedy opowiadałem im przygody, których

oni jeszcze nie znali, mój najstarszy syn powiedział: "Ciekawie opowiadasz, powinienś spisać te historie, żeby również inne dzieci mogły je czytać, albo tatusiowie z nimi, jeśli jeszcze dzieci nie potrafią". Była to dla mnie ostateczna zachęta, żeby zaryzykować i zapisać to, co wiele razy już wcześniej opowiadałem dzieciom czy młodzieży, a w wersji bardziej dorosłej młodzieży akademickiej, na różnych duszpasterskich spotkaniach.

Zacząłem więc pisać. Przyniosłem dzisiaj ze sobą w prezencie dwie części powieści "Wojownik trzech światów". Jest to przygoda, w której ukryty jest Bóg. Miałem od dawna marzenie, od kiedy rozumiałem, że Bóg jest naprawdę Kimś porywającym i Kimś, kto tworzy wspaniałe przygody, aby spróbować to opisać. Spróbowałem to moje marzenie zrealizować. Chciałem stworzyć taką formę



Fot. 31. Dwa tomy książki Roberta Kościuszko: „Wojownik trzech światów”

narracji, żeby dzieci i młodzież pochłonęła rozwijana przygoda i aby nie mogli się od niej oderwać. Żeby dopiero wtedy, strona za stroną, zaczęli zdawać sobie sprawę: „Rany, to jest przecież o Bogu! Czy możliwe, by książka przygodowa, książka, w której tyle się dzieje, mogła opisywać Boga w ten sposób, Boga niezwykle przygodowego”. Miałem marzenie, żeby ta forma została jakby „zassana” przez wyobraźnię dzieci, przez ich serca i umysły. Zaryzykowałem,

wydaliśmy pierwszą książkę. Ukazała się w księgarniach i zacząłem jeździć po parafiach, konferencjach, różnych spotkaniach, w których prezentowałem książkę i historię jej powstania. Kiedy zaczęła się dobrze sprzedawać, co było dla mnie bardzo miłym zaskoczeniem, i liczba sprzedanych książek przekroczyła 10 000 egzemplarzy, podjęliśmy z moją żoną odważną decyzję, że całkowicie poświęcimy się pisaniu i wydawaniu książek.

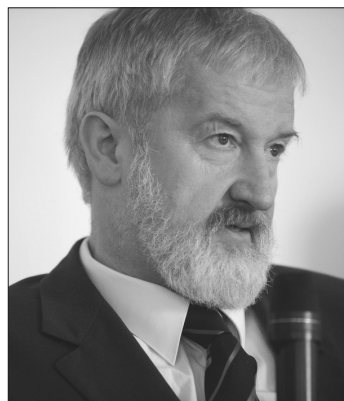
Porzuciliśmy dotychczasowe formy zaangażowania, zajęliśmy się pokazywaniem dzieciom i młodzieży Boga niezwykle ciekawego, jako Stwórcę przygody. Zacząłem spotykać się też z ojcami, zarówno tymi, którzy są zaangażowani w sprawy swych rodzin, jak i tymi, którzy zostali wkręcenii w wir życia i którzy wychodząc do pracy wcześniej rano, wracają do domu często, jak już dzieci śpią. Zachęcałem ich, szczególnie tych drugich, którzy mają wielkie zaległości do nadrobienia w relacjach z dziećmi, do starań, aby mieć czas i siły do angażowania się w swoją rodzinę. Naszą decyzją było, że nie będziemy starać się wydawać coraz więcej i więcej książek, aby kupić nowy dom, nowszy model samochodu, zyskać sławę, wszystko to kosztem czasu dla naszej rodziny. Postanowiliśmy, że poświęcimy naszej rodzinie, naszemu małżeństwu i dzieciom duży zasób naszych sił i czasu i nie chcemy być biernie wciągani w wir życia. Chcemy sami decydować, ile nasza rodzina, nasze małżeństwo i nasze dzieci potrzebuje naszego czasu i naszych sił, aby dobrze się rozwijać. Tak widzę swoje powołanie, swoją misję, jako tata, który jest pisarzem.

Grzegorz Polak

Trudno mówić o temacie naszego spotkania w obecności misjonarza i misjologa, w którego powołaniu zawarte jest słowo misja. Od 30 lat pracuję w zawodzie dziennikarskim, a od dwóch lat w nowym kanale telewizyjnym Religia tv. Chciałbym odwołać się do wspomnienia sprzed lat, kiedy dostałem swoją pierwszą nagrodę dziennikarską. Dziękując za jej przyznanie uderzyłem w patetyczny ton: że oto stałem się pełnoprawnym obywatelem potężnej republiki itd. Wydawało mi się wtedy, że świat stoi przede mną cały do zdobycia i że to, co robię, mogę traktować w kategoriach misji, powołania. Z biegiem lat nabrałem dystansu do wielkich słów. Misja to jest przecież bardzo wielkie słowo. Zamiast o misji wołałbym mówić o sumiennym wypełnianiu swoich obowiązków w duchu odpowiedzialności.

Uważam się za człowieka drugiego planu, nie jestem na świeczniku dziennikarskim, nie zajmuję się polityką, uprawiam inne poletko. Z drugiej jednak strony wykonuję to, co robię con amore, mając świadomość ważności tego działania. Nie kieruję się ani chęcią zysku, ani chęcią sławy, mogę więc z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że wykonuję jakąś misję. Każdy z nas jest powołany do wypełniania jakiejś misji. Dziennikarz jest pośrednikiem między światem i odbiorcą, ma o tym świecie informować, aby odbiorca mógł ten świat lepiej zrozumieć. Ja uprawiam Boże poletko, ale na tym Bożym poletku też są różne zagony. Pierwszym z nich jest ekumenizm. Jest to idea, która zachwyciła mnie jakieś trzydzieści lat temu, kiedy rozpoczynałem swoją pracę zawodową. Urzekło mnie bogactwo chrześcijaństwa w wielu swoich odmianach, tradycjach, obrządkach. Z drugiej jednak strony zdawałem sobie sprawę z tragedii podziału, do którego wszystkie Kościoły chrześcijańskie się przyczyniły. Postanowiłem coś dla tej sprawy zrobić. Wykroczyłem nawet poza ścisłe obowiązki dziennikarskie, stając się działaczem ekumenicznym. Organizowałem spotkania ekumeniczne młodzieży w Kodniu nad Bugiem, comiesięczne nabożeństwa w Kościele Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie, byłem przez parę lat członkiem Komitetu Episkopatu ds. Dialogu z Judaizmem. Oprócz tego wspierałem ideę jedności piórem i staram się to robić po dzień dzisiejszy.

Jestem również zafascynowany osobą Jana Pawła II. Jestem jego fanem. Dziesięć lat temu znalazłem się w koncernie „Edipresse Polska”, całkowicie świeckim, który wydaje „Vivę”, „Przyjaciółkę”, „Przekrój”. Tam przydzielono mi działkę wydawnictw religijnych. Zaczęliśmy od serii poświęconej papieżowi Janowi Pawłowi II. Większość tekstów pisałem, wszystkie redagowałem. Jak podliczyłem, wydałem w sumie różnego rodzaju serii, książek, artykułów w nakładzie ponad 80 milionów. To bardzo dużo. Nadal to robię. Obecnie kręcę filmy dokumentalne o Ojcu Świętym, chodzę z pogadankami o nim po parafiach. Upowszechnianie nauczania Jana Pawła II uważam nadal za swoją misję.



Fot. 32. Grzegorz Polak

Dwa lata temu doszło nowe wyzwanie. Powstał kanał religijny Religia tv, do którego mnie zaangażowano. Przez rok, z obecnym tutaj Ojcem Tomkiem, komentowaliśmy reportaże o polskich misjonarzach pracujących w różnych częściach świata. Realizuję też filmy z cyklu „Portrety”, który to cykl wcześniej nazywał się „Nieznani, zapomniani”. Staram się wydobywać z zapomnienia fantastyczne, wspaniałe osoby, które są nieznane, lub słabo znane, a które robią coś, co można by określić jako promocja dobra.

Dwanaście godzin temu wróciłem ze Szczyrku, gdzie robiłem reportaż o niezwyklej osobie, księdzu ewangelickim, który ma za ledwie 100 parafian, a który stawia czoła olbrzymim koncernom promującym akcje poddające w wątpliwość istnienie Boga. Chodzi m. in. o nagłośnioną przez media akcję umieszczania na autobusach londyńskich napisów, że Boga nie ma. Pastor Jan Byrt, który wielokrotnie doświadczył Boga w swoim życiu i uważa, że Jezus Chrystus odmienił jego życie, uznał, że nie może siedzieć z założonymi rękami. Miał nadzieję, że na akcje ateistyczne zareaguje hierarchia kościelna, publicyści, ale sprawa przeszła bez echa. Wtedy wymyślił własną kontrakcję. Dzięki niemu między Szczyrkami a Bielskiem-Białą kursują autobusy z napisem „Wierzysz w Boga, nie jesteś sam”. Od Wielkiego Postu będzie zainicjowana akcja rozdawania nalepek z wersetami biblijnymi, które można naklejać na samochody i zaświadczać o Bogu. Tego typu ludzi staram się pokazywać w swoich reportażach i uważam to za wielką łaskę. Mam ogromny komfort, że nie muszę się babrać w polityce. Robię filmy o naprawdę wspaniałych ludziach.

Chciałbym się podpisać obiema rękami pod tym, co powiedział wcześniej Pan Robert. Też jestem ojcem trójki dzieci. Kiedyś myślałem o kapłaństwie, sądziłem, że będzie ze mnie niezły ksiądz a teraz myślę, że jestem niezłym tatą. Mam przy tym świadomość, że w tym wszystkim, co robię, nie jestem ważny. Ważna jest sprawa, której służę.

O. Tomasz Szyszka

Chciałbym podzielić się kilkoma myślami na temat, czy to, co robię, uważam za swoją misję. Pracowałem przez sześć lat w Boliwii, w basenie Jeziora Titicaca na wysokości 4000 m n. p. m. Od kilku lat pracuję jako wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zajmuję się misjologią, czyli nauką o misjach.

Swoją wypowiedź zacznę od dwóch historyjek, które wydarzyły się w dalekiej, wysokiej Boliwii. Tam miałem po raz pierwszy bezpośredni kontakt z Indianami Aymara. Było to w odległej wiosce, gdzie nie było jeszcze nawet światła. Byłem już w tej wiosce 4 lub 5 dni, gdy w niedzielę wybrałem się na spacer. Kiedy po dwóch godzinach wracałem do domu parafialnego, na mojej drodze stanęło takich dwóch „smerfów”, cztero- i sześciolatek, w swoich charakterystycznych czapeczkach naciągniętych na czubek głowy. Mieli bardzo kuse sweterki, spodnie też kończyły im się na wysokości kolan, zamiast butów, na nogach mieli sandały zrobione z gumy samochodowej. Z nosa im się lało, ten starszy zaś nie miał dwóch przednich zębów. Stanął naprzeciwko mnie i spytał: „A kto ty jesteś?”. Ja zgłupiałem. Spróbujcie dziecku, małemu dziecku wytłumaczyć, kim się jest. Można oczywiście powiedzieć: ojciec Tomasz Szyszka, przedstawić się i machnąć jeszcze pod nosem jakimiś tytułami, ale po co. Jak powiedzieć małemu dziecku, kim jestem? To pytanie trochę mnie zaskoczyło. Próbowałem więc mu powiedzieć, że jestem misjonarzem. Sepleniając odpowiedział: „OK. A co będziesz lubił?”. Było to drugie trudne pytanie. Co ja będę robił? Co robi, czym się zajmuje misjonarz? Odpowiedziałem, że będę odprawiał Msze Święte, przychodził do szkoły, będę tutaj pracował jako misjonarz. „Będziemy się spotykać....” odpowiedzieli. Na tym miejscu mógłbym tą historię zakończyć, ale opowiem ją do końca. Ów starszy chłopak włożył swoją brudną rączkę do kieszeni i wyjął dwie małe, prawie jeszcze zielone, mandarynki. Spojrzał na te mandarynki, spojrzał na swojego brata, spojrzał na mnie i powiedział sepleniając „Mas, to dla ciebie”. Więc zacząłem się tłumaczyć, Juanito, zostaw sobie te mandarynki, podziel się ze swoim bratem itd. Popatrzył na mnie gniewnym wzrokiem i z naciskiem powtórzył: „Mas, to dla ciebie”. Wtedy drugi raz podjąłem próbę, ale usłyszałem: „To dla ciebie”. Wpadłem wtedy na pomysł, żeby wziąć tę mandarynkę, podziękować, podzielić na trzy części i zjeść wspólnie.



Fot. 33. O. Tomasz Szyszka

Ta historia jest dla mnie osobiście ogromnie ważna. To spotkanie było dla mnie wielkim zaskoczeniem, ponieważ w długoletnim przygotowaniu do pracy na misjach mówiono nam często: „Bądźcie bardzo ostrożni w pierwszych kontaktach z ludźmi. Ludzie są nieufni. Muszą się do was przyzwyczaić. Poza tym, kiedy będziecie zaczepiać dzieci, może też to się różnie skończyć. Możecie usłyszeć takie czy inne mocne epitety”. Starałem się traktować ludzi trochę na dystans, szczególnie dzieci. To zaufanie, którym od samego początku obdarzyły mnie dzieci, dało mi dużo do myślenia.

Druga historia wydarzyła się dwa czy trzy lata później. Na jednej z parafii miasta El Alto (na wysokości 4100 m n. p. m) skończyła się ostatnia niedzielna Msza Święta. Wychodziłem z kościoła, gdy przede mną stanęła, na pierwszy rzut oka, starsza kobieta i zapytała: „Czy ty jesteś księdzem”? I dalej: „Czy ty jesteś tutaj proboszczem”? Odpowiedziałem, że „tak”. „Popatrz” – wyciągnęła ze swojej kieciki taką długą, suchą pierś i powiedziała – „popatrz, nie mam mleka, a moje dziecko jest umierające z głodu”. Usłyszałem też: „Jeżeli ty odmówisz, jeżeli nie kupisz mi mleka, to moje dziecko umrze. Ty jesteś za nie odpowiedzialny”. Pierwsza myśl, która się zrodziła, była: „A co mnie to obchodzi. Znowu po raz kolejny w ciągu dnia ktoś przychodzi i żąda: daj, daj, bo ty misjonarzu masz, co więcej, to jest twój obowiązek, żeby się z nami, biednymi ludźmi się dzielić”. Okazało się, że faktycznie, córka mojej rozmówczyni była umierająca, a ona sama nie miała już mleka, żeby ją nakarmić. Nie miała też żadnej możliwości, żeby kupić specjalne mleko dla niemowląt, ponieważ było strasznie drogie. Muszę dodać, że otrzymała odpowiednią kwotę na mleko dla niemowląt. Mam nadzieję, że to dziecko żyje i ma się dobrze. Na czym polegał zatem problem? Otóż na misjach staramy się nie uprawiać tzw. paternalizmu (rozdawnictwa). Chodzi tutaj o naszą misjonarską tożsamość. Powiem to w ten sposób: gdy rozdaję dary, to oczywiście staję się „dobrym wujkiem”, nawet głośno chwalonym i cenionym – „jaki fajny pan”. Lecz przecież nie o to chodzi, żeby kosztem innych budować swój własny wizerunek dobrego misjonarza. W pracy misyjnej chodzi raczej o to, aby konkretnym ludziom autentycznie pomóc. Bardzo często chodzi o to, aby nie tyle (nie) dać tylko rybę, ale przysłowiową wędkę, a nawet wskazać, gdzie należy łowić, kiedy rzeka jest całkowicie zatruta, a jezioro wyschło.

Te dwa spotkania, dwa bezpośrednie spotkania z ludźmi, dały mi do zrozumienia, że ja jako misjonarz muszę ciągle poszukiwać odpowiedzi na następujące pytania: Kim jestem jako misjonarz? Co i dlaczego to robię? Czego ja oczekuję od ludzi? Czego oczekują ode mnie ludzie, wśród których pracuję? Wszystkie te pytania zawierają się w pytaniu – temacie dzisiejszej sesji: „czy to, co robię, uważam za swoją misję?”.

Mówi się powszechnie o powołaniu do stanu duchownego, do bycia misjonarzem czy zakonnikiem. Czym zatem jest powołanie? Jako ludzie wierzący wierzymy, że jest darem, ale nie możemy pominąć faktu, że powołanie do bycia ojcem, matką, księdzem jest tym samym bardzo konkretnym zadaniem, które mamy do zrealizowania. Z powołaniem życiowym jest tak, że należy je ciągle odkrywać, dojrzewać w nim, rozpoznawać je i opierając się na tym rozpoznaniu, kształtować swoje życie, wyznaczać sobie cele, te dalsze i te bliższe. Trzeba też poszukiwać środków, sposobów, żeby tę swoją misję zrealizować.

Odwołam się do osoby Pana Jezusa, który dorastał i dojrzewał w Nazarecie. Dopiero kiedy miał trzydzieści lat, poszedł nad Jordan, otrzymał chrzest święty i rozpoczął działalność publiczną. Musiał dojrzeć do tego, żeby być wielkim nauczycielem, żeby być Mesjaszem, żeby umrzeć na krzyżu i żeby rozpoznać wolę Ojca Niebieskiego. Spójrzmy też przez chwilę na apostołów. Pan Jezus zmartwychwstały powiedział im: „Idźcie na cały świat i nauczajcie i bądźcie moimi świadkami w mocy Ducha Świętego”. O czym myśleli, jak rozumieli apostołowie (pobożni Żydzi) słowa: „Idźcie na cały świat”? Być może budził się w nich bunt: „Ja mam iść do pogan? Mam skalać się ich nieczystymi potrawami, ich zwyczajami?”. Duch Święty musiał niejako przekonać apostołów do tego, żeby jednak poszli do pogan, a tym samym do wszystkich ludzi, wszystkich narodów i posługiwali się wszystkimi językami w przepowiadaniu Królestwa Bożego. Apostołowie do tej misji dojrzewali stopniowo. Najlepszą ilustracją tego procesu poszukiwania było spotkanie św. Piotra z rodziną setnika Korneliusza, do której św. Piotr dotarł, zainspirowany widzeniem. Kiedy już dotarł do tego domu, został tam przez kilka dni i ochrzcił całą rodzinę. Potem musiał się jeszcze usprawiedliwić przed innymi apostołami w Jerozolimie, dlaczego zdecydował się na ten krok. Św. Piotr tłumaczył

czył im, że uczynił to niejako z namowy – zainspirowany Duchem Świętym.

Kiedy spoglądam na swoje życie, na to, kim jestem, czym się obecnie zajmuję, to muszę powiedzieć, że przeszedłem długą drogę poszukiwań, dojrzewania i szukania odpowiedzi na pytanie, jak realizować swoje życie. Znam cel główny, ale ciągle muszę pytać się, jakie są cele „mniejsze” w moim życiu? Do dziś ważne są dla mnie pytania, które zadali mi mali chłopcy Aymara i spotkana na El Alto kobieta. Kim jesteś? Czego chcesz? Czego ty chcesz od innych? Również dzisiaj zadaję sobie pytanie: Czego ludzie oczekują od mnie?

Na płaszczyźnie teoretycznej jestem w stanie udzielić bardzo wielu odpowiedzi. Na pytanie „kto to jest misjonarz?” można odpowiedzieć, że misjonarz to osoba posłana do głoszenia Królestwa Bożego, do dawania świadectwa o Panu Jezusie oraz wykonywania za-



Fot. 34. O. Tomasz Szyszka, obok siedzi Grzegorz Polak i Grzegorz Kościuszko

dań, które powierzył mu Kościół. Niby to takie proste. A jakie zadanie ma nauczyciel akademicki? Wiemy: ma nauczać, przekazywać wiedzę, ma obowiązek pracować naukowo. Wszystko niby jasne. Wiemy jednak, że wszystko takie proste i takie jasne nie jest, ponieważ kiedy zaczynamy ową „teorię” przekładać na codzienne zaangażowanie, to wtedy okazuje się, że napotykamy wiele trudności, żeby być nie tylko profesjonalnie dobrym księdzem, dobrym dziennika-

rzem, nauczycielem akademickim itd., ale nade wszystko być autentycznym człowiekiem w tym wszystkim, co się robi. Być autentycznym świadkiem Królestwa Bożego, człowiekiem wiernym wartościom, które się wyznaje. Jak zatem żyć, jak kształtować swoje zawodowe życie, będąc przy tym autentycznym chrześcijaninem?

W powołaniu misyjnym zasadniczy problem to połączenie wypracowanej teorii z codzienną praktyką. Misjonarz zanim zacznie mówić, realizować swoją misję głoszenia Słowa Bożego, musi sobie zadać banalnie proste pytanie: Jak do tego konkretnego człowieka, do którego jestem posłany dotrzeć? Jak znaleźć klucz do jego kultury, do zrozumienia, kim on jest? Na przykład, dlaczego niektórzy Indianie mają zwyczaj spóźniania się? Jak to jest możliwe, że tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc się spóźniają? Może się bowiem okazać, że owo spóźnianie się, np. Indianie andyjscy mają wpisane w swój „kulturowy genotyp”, ponieważ czas traktują oni nie tyle w kategoriach ilościowych, ale jakościowych. Powiedzenie „czas to pieniądz” jest dla nich zupełnie niezrozumiałe. Tego wszystkiego misjonarz musi się nauczyć. Zanim zacznie się denerwować, musi dowiedzieć się, dlaczego oni tak „dziwnie” zachowują albo dlaczego te ich święta są takie „dziwaczne”? Pytanie dotyczy tego, jak wyjść naprzeciw temu drugiemu człowiekowi, żeby go zrozumieć i żeby go pokochać? Stąd też kolejne pytanie, na które jako misjonarz musiałem sobie odpowiedzieć brzmi: jak ewangelizować?

Na pytanie, kim jestem na dzień dzisiejszy i czy to, co robię, czym się zajmuję, pozwala mi realizować moją życiową misję, mógłbym odpowiedzieć twierdząco. Realizuję moją życiową misję niejako na trzech płaszczyznach. Po pierwsze: mam okazję pracować i współpracować ze wspaniałymi ludźmi. Wcześniej na misjach z Aymarami oraz we wspólnotach międzynarodowych, a obecnie na uczelni ze studentami misjologii. Po drugie: mam okazję w moim życiu nie tylko dzielić się wiarą jako kapłan, jako kaznodzieja, ale też będąc wśród ludzi, ubogacać się i pogłębiać swoją wiarę. I po trzecie: od kilku lat pracuję na uczelni, na UKSW, na misjologii i właśnie w pracy na uczelni cieszy mnie możliwość nie tylko przekazywania wiadomości z zakresu misjologii, historii Azji, Ameryki, choć to bardzo ciekawe rzeczy, ale cieszę się szczególnie tym, że mam okazję pracować z młodymi studentami. Uważam, że jest to moja obecna misja, której się stale uczę, ponieważ jest to powolny proces, który trzeba stale kontynuować.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym przeczytać fragment z książki „Alchemik” Paolo Coelho. „Co to jest własna legenda?” Odpowiedź autora: „To jest to, co zawsze pragnąłeś robić, kimkolwiek jesteś, cokolwiek robisz. Jeśli naprawdę z całych sił czegoś pragniesz, spełnienie tego pragnienia to twoja misja na Ziemi. Spełnienie własnej legendy jest jedyną powinnością człowieka”.

Czytając ten fragment pomyślałam, że dla nas chrześcijan znalezienie własnej legendy to odkrywanie posiadanych talentów oraz znajdowanie drogi, którą nam wyznaczył Bóg. Odkrycie własnej drogi czy posiadanych talentów jest często niełatwe. Dlaczego? Wybrana przez człowieka droga prowadzi go czasem tak, że utrudnia mu odkrycie własnych talentów. Zilustruję to na konkretnym przykładzie. Był rok 1980. „Solidarność”. Na naszym Wydziale na Uniwersytecie Warszawskim tworzyła się „Solidarność”. Zostałam wybrana przewodniczącą. Było to wielkie wyróżnienie, ale równocześnie wahałam się, bojąc się, czy podołam. Przez całe poprzednie moje życie zarówno studenckie, jak i później uniwersyteckie nie byłam zaangażowana w żadne ruchy młodzieżowe ani polityczne, w nic, jako protest, jako odrzucenie, jako udowodnienie swojego zdania, swojego światopoglądu. Nagle wybór na przewodniczącą „Solidarności”. Mój lęk był ogromny. Czy będę umiała podejmować właściwe decyzje w sytuacji zmieniającej się z dnia na dzień. Wchodziłam w tę sytuację, mając pełną świadomość, że nie mogę oprzeć się na własnym doświadczeniu, którego mi brakowało. Mogłam budować tylko na własnych talentach, ale nie wiedziałam, czy je mam. Chyba jednak mi się udało, bo potem byłam wielokrotnie wybierana w tajnych strukturach „Solidarności”. Mam wrażenie, że niepewny siebie człowiek lepiej jest odbierany na różnych stanowiskach niż taki, który zjadł wszystkie rozumy i jest pewny, że ma wszystkie potrzebne mu talenty. Niepewny człowiek uważniej słucha innych, zanim podejmie decyzję. Umie też dziękować i być wdzięczny, bo wie, ile zawdzięcza innym.

Późniejsze wszystkie moje sytuacje życiowe były podobne. Powołano mnie w UW na kierownika pracowni. Też z początku mia-

łam wiele obaw, czy sobie poradzę. Powstał zespół, stworzony przez wszystkich jego członków, bardzo sympatyczny i wspaniale pracujący, który do dzisiaj jest przykładem dla innych na naszym Wydziale. Potem powołano mnie na stanowisko rektora SWPR. I znów wiele obaw, czy nie przerasta to moich sił i talentów. Mam wrażenie, że te moje obawy uczą mnie pracy w zespole i doceniania inicjatywy i działań innych. Solidarność tworzyliśmy wspólnie, Pracownię na Wydziale też wspólnie i teraz naszą Uczelnię podobnie budujemy wspólnie z wykładowcami, administracją i studentami. To jest nasze wspólne dzieło i nasza wspólna misja.

Zbigniew Witecki

Chciałbym zacząć od fragmentu dzisiejszego czytania z Listu do Hebrajczyków: „.... wiara jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy...”. Doświadczałem tego niejednokrotnie, że jeżeli byłem otwarty na Boga, to Bóg robił z moim życiem różne dobre rzeczy. Pierwsze takie mocne doświadczenie miałem, kiedy byłem już żonaty, miałem dwójkę dzieci i byłem na studiach, a mimo tego głęboko dotknął mnie kryzys wieku młodzieńczego. Bardzo prosiłem Boga o to, żeby nadał memu życiu nowy sens. Było mi bardzo trudno, a On w bardzo spektakularny sposób zadziałał. Jednym z efektów było to, że włączyłem się do Ruchu Ku Lepszemu Światu, w którym służyłem dwadzieścia parę lat.

Skończyłem studia magisterskie, a za pół roku słyszę, że zbliża się kolejny semestr, studenci się uczą, mają stres, a ja się cieszę, że już nie muszę i nie chcę nigdy więcej. Po niecałym roku, ku mojemu zaskoczeniu, powstała we mnie uporczywa myśl, że muszę iść na Studium Życia Rodzinnego, dwuletnie studia prowadzone przez Kurię Metropolitalną. Przez miesiąc walczyłem z tą myślą, ale miałem coraz większe problemy: nie mogłem jeść, nie mogłem spać, tylko w kółko, na okrągło – muszę iść na Studium Życia Rodzinnego. Wczesną wiosną pojechałem do kurii, odnalazłem kapłana, który był odpowiedzialny za te studia. Opisałem mu sytuację, a on powiedział: „Dobrze, ale proszę przyjść we wrześniu”. Zareagowałem na to stanowczo: „Nie, proszę księdza, ja nie dożyję do września, bo nie mogą jeść, nie mogę spać, muszę natychmiast być przyjęty”. I tak dostałem się na studia. Potem, kiedy rozpoczynały się zajęcia, ksiądz powiedział, patrząc na mnie: „Wszyscy państwo są tutaj

z własnej woli, tylko jeden musiał”. Po ukończeniu Studium prowadziłem Poradnię Życia Rodzinnego. Teraz jeszcze prowadzę rozmowy duszpasterskie w ramach Poradni z narzeczonymi.

Wydawało mi się, że jednego powołania starczy, ale Pan Bóg ma jak zwykle swoje pomysły, kiedy Go się przyjmuje jako swego Pana i Zbawiciela, kiedy oddaje Mu się swoje życie. Na moje pięćdziesięciolecie pobłogosławił mnie specjalnie i „wyrwał” z jednego ruchu, w którym byłem dwadzieścia parę lat, a „włożył” mnie do ruchu bezpośredniej ewangelizacji, do Szkoły Nowej Ewangelizacji. Wiele nowej pracy, a czas trzeba było dzielić. Byłem jedynym żywicielem rodziny i ojcem pięciorga dzieci. Pan Bóg jednak czuwał nad nami i dawał mi potrzebne siły i środki.

Jak zastanawiałem się nad tematem dzisiejszego spotkania, co jest moją zasadniczą misją życia, zauważyłem, że od małego chłopaka jeden temat był zawsze dla mnie bardzo ważny – rodzina i wychowanie dzieci. Było to długo przed tym, jak postawiłem sobie pytanie: kim chcę być w życiu i co będę robił? Jedno wiedziałem, że będę mężem i będę chciał mieć dużo dzieci. Wiedziałem, jak pragnąłbym, aby moje dzieci były wychowane, na co będę pozwalał, a na co nie i gdzie będę stawiał granice. Ten mój obraz mojej przyszłej rodziny rzutował na moje relacje z dziewczynami, czy kobietami, które spotykałem. Zawsze stawiałem sobie pytanie, czy nadaje się ona na moją żonę i czy chciałbym z nią mieć dzieci. Za każdym razem odpowiedź była negatywna. Dopiero gdy przyjechałem z wojska na przepustkę i byłem u zaprzyjaźnionego księdza na zebraniu prowadzonej przez niego wspólnoty, zauważyłem, że po spotkaniu jedna z dziewczyn, nic nie mówiąc, wstała, zebrała naczynia i poszła je zmywać. I wtedy wiedziałem, że to jest właśnie ta, wymodlony i wymarzony ideał kobiety – mojej żony i matki moich dzieci. Jesteśmy małżeństwem 36 lat i mamy 5 dzieci.

Tadeusz Wójcik

Wybierając zawód i kierunek, mało myślimy o misji czy o powołaniu. Urodziłem się na wsi. W czasie nauki gimnazjalnej wybuchła wojna, więc wróciłem do domu i pracowałem na roli. Pamiętam taki epizod, kiedy dość duży kawał pola trzeba było zaorać jesienią głęboką orką. Tata mój był wielkim pedantem, więc orka musiała być zrobiona bardzo dobrze, skiby proste, nie przełamywane, potem na zakończenie oborane naokoło. Kiedy to wykonałem

po paru godzinach, obróciłem się, spojrzałem i poczułem ogromne zadowolenie. O tym epizodzie zapomniałem zupełnie. Kilkadzieści lat później, kiedy przechodziłem na emeryturę, organizacja, w której pracowałem, w jednym z oddziałów urządziła poczęstunek, w czasie którego pojawiły się wspomnienia. Wtedy sobie przypomniałem i powiedziałem, że nigdy potem w życiu zawodowym nie miałem tak głębokiego zadowolenia, jak wtedy po zaoraniu tego kawałka pola. Dlaczego? Doszedłem do wniosku, że decydują tu dwa czynniki. Po pierwsze było to pożyteczne, po drugie, było to zrobione dobrze. Myślę, że w życiu, jeżeli robimy coś pożytecznego, co jest dobrze wykonane, to jest to naszą misją.

Ks. Adam Zelga

Ja bym dodał jeszcze trzeci czynnik, że robił Pan to dla swojego ojca.

Jadwiga Przewłódzka

Zastanawia mnie, czy człowiek, który działa zgodnie ze swoim powołaniem, wykorzystuje swoje talenty, wykonuje swoją pracę rzetelnie i uczciwie, czy może taką pracę nazwać misją? To jest moja pierwsza wątpliwość i pytanie. A drugie – czy każdy zawód umożliwia człowiekowi spełnianie misji? Czy misją jest tylko działanie na rzecz wartości czy na rzecz wartości wyższych?



Fot. 35. Pierwsza z lewej w drugim rzędzie Jadwiga Przewłódzka

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Księdzem jestem dopiero trzy lata, a właściwie trzeci rok skończy się w maju, tzw. okres ochronny dla kapłana. Do seminarium wstąpiłem dosyć późno, mając 40 lat. Jest to dla mężczyzny często rok przełomowy, symboliczny. Zanim wstąpiłem do seminarium i zostałem księdzem, pracowałem z tu obecnym Grzesiem w "Gazecie Wyborczej", na samym początku tworzenia się tej gazety. Dziewięć lat pracowałem też w teatrze jako aktor. A decyzja o wstąpieniu do seminarium to było powołanie. Rozróżniam misję od powołania. Swoje powołanie nazywam trochę jak poeta Jarosław Mikołajewski godziną próby. Każde działanie, które podejmuję, każda parafia jest dla mnie wyzwaniem, godziną próby. W tej chwili taką godziną próby jest dla mnie parafia pod wezwaniem Edmunda Bojanowskiego. Inni ludzie, inne treści. Każdy dzień jest wyzwaniem, kiedy muszę wyjść głosić Chrystusa nie tylko słowem, ale i swoim życiem. Coraz częściej na drodze kapłańskiej rozmyślam o tej godzinie próby. Może tak jak przywołany poeta:

Jarosław Mikołajewski „Próba”

Coraz częściej rozmyślam o godzinie próby

szukuję się na nią i czuję
że byłbym gotowy gdyby próba nadeszła

wyobrażam ją sobie

jest naprawdę trudna

jest ciemna jak źródło
i warto żyć dla niej

ćwiczę się w czujności
tak żebym gdy przyjdzie
rozpoznał ją
stawił jej czoła
i wygrał

ale im częściej rzucam przyszłej próbie

zwycięskie wyzwania
tym trudniejszym cieniem
zapada we mnie pewność
że próba już była

że ta moja wielka
szlachetna
trudna próba już przeszła

tak małeńka że nawet
mi się nie przyśniła

tak lekka
że dotąd nie zgarbiła mi życia

a ja tej próby
próbą nie nazwałem

co najwyżej
pokusą
podszeptem
przynętą

i ja tej próbie nie tyle uległem
co zlekceważyłem by czekać na inną

tę która dla siebie
bym sam przyszykował

czym byłaś próbo tak wielka
że blada

czym byłaś godzino tak wieczna
że żadna
czy gdybym cię wtedy rozpoznał
to miałbym
dość siły by wyjść ci naprzeciw i zwalczyć

grzebię w pamięci i łuskam tysiące
 błahych wyborów
 bezwładów
 nastrojów

i nie ma niczego
 co już bym pokonał

niczego
 co nazwałbym tobą zwycięską
 albo zwyciężoną

gdzie więc jesteś próbo

czy z ciebie wychodzę
 czy pnę się do ciebie

czy w tobie
 jak w tym pytaniu
 ugrzęzłem

(Tygodnik Powszechny, sierpień 2007)

Każdy z nas jest do czegoś powołany, ale to powołanie dopiero odkrywa. Każdy z nas odkrywa cele, do których dąży, których nazwać do końca nie potrafi. Można by powiedzieć za Herbertem "zostałem powołany, czyż nie było lepszych".

Proces odkrywania jest ciągły, bo ciągle jest zadawanie sobie pytań. Dlaczego ja? Dlaczego nie ktoś inny? Ciągłe wypatruję tego celu, który jest przede mną, ale go nie widzę. Mam takie poczucie, że misją każdego z nas jest odkrywanie sensu swojego osobistego życia, czyli tego powołania, które tak naprawdę odkryjemy dopiero po śmierci. Odkryjemy je, kiedy spotkamy się z tym, który nas stworzył, twarzą w twarz.

Ks. Adam Zelga

Czy to, co do tej pory robiłeś przed wstąpieniem do seminarium, przed zostaniem księdzem, uważałeś za bezsensowne i doszedłeś do przekonania, że właśnie kapłaństwo jest taką drogą, po której powinienś iść, która jest wartościowsza, wspanialsza od tego, co do tej pory robiłeś? Robiłeś przecież pożyteczne rzeczy.

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Niczego, co dotychczas robiłem w życiu, nie przekreślam. Wiem, że to, co robiłem: teatr, dziennikarstwo, czy fotografia, kształtowały mnie. Ale ja w tym nie odkryłem Boga. Odkryłem Go dopiero w mo-



Fot. 36. ks. Włodzimierz Kwieciński

mencie, kiedy zadałem sobie podstawowe pytania: Po co żyję? Po co to robię? Do czego dążę? Podstawowe pytania egzystencjalne.

Tomasz Przecławski

Nasunęło mi się pytanie, jaka jest różnica między powołaniem a misją. Czy to, co robię, jest moim powołaniem czy również moją misją? Od 40 lat jestem nauczycielem. Czy jest to tylko moje powołanie, czy również moja misja? Zakładam zawsze a priori, że robię to rzetelnie i staram się dążyć do doskonałości.

Ks. Adam Zelga

Cytowany poeta Mikołajewski powiedział, że uczyniwszy wybór, na wieki wybierać muszę i nigdy nie wiemy, kiedy jest ta próba, czy kiedy jest to dotknięcie tego, co nazywamy wypełnieniem powołania, czyli misją. Czasami nam się wydaje, tak jak poecie, że to już było, albo że właśnie teraz jest najważniejszy wybór życiowy, a po latach może się okazać, że jednak nie, że dopiero jest jeszcze przede mną. Wybór kapłaństwa przeze mnie był skokiem w głęboką wodę, bo nie byłem pewien, czy to jest moja droga życiowa czy nie, ale trzeba było wybrać. Tak albo tak. Wybór jest zawsze ryzy-



Fot. 37. Ks. Włodzimierz Kwieciński, a za nim w drugim rzędzie siedzą Bogdan Motelski i Łukasz Pobudejski

kiem, jest męska decyzją. Wybieram i ryzykuję, czy wybór ojcostwa, czy wybór małżeństwa. Mnie samemu zbliża się 25 lat kapłaństwa i dopiero teraz widzę, że wybór mój był słuszny.

Jaka jest różnica między powołaniem a misją? Myślę, że są to słowa o bliskim znaczeniu. Powołanie jest głosem, pewnym wezwaniem, jeżeli traktuję swoje życie jako wezwanie. Nasłuchuję, gdzie i kto mnie woła, wzywa. Natomiast misja jest pójściem i uznaniem, że oto ja jestem tym posłanym. Nie tylko wezwanym, powołanym, ale posłanym. Ja idę i ja to robię.



Fot. 38. W pierwszym rzędzie Tomasz Przecławski, w drugim od lewej Urszula Kossowska-Cezak, a dalej słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku: Wiesław Glinka, Maria Glinka, Urszula Chlebowicz i Jędrzej Chlebowicz i za nimi Jadwiga Stępień

Marcin Cylkowski (student)

Powiem o misji, którą wykonuję już dwanaście lat. Jestem honorowym dawcą krwi i uważam to za swoją misję, gdyż mam bardzo rzadką grupę krwi 0 Rh-, którą mogę dać wszystkim potrzebującym. Osiem lat temu okazało się, że moje płytki krwi pasują idealnie jakiejś osobie, która jest chora na białaczkę. Nie znam jej osobiście. Ta osoba otrzymuje ode mnie, od ośmiu lat, płytki krwi. Jest to dla mnie bardzo ważna misja, gdyż te płytki są często bardzo pilnie potrzebne. Czasem w tej sprawie dzwoni do mnie pogotowie ratunkowe. Raz przysłali nawet po mnie karetkę do pracy, żebym te płytki natychmiast oddał, bo ktoś musi je szybko otrzymać. To, co robię, uważam za dobrą i szlachetną misję. Mogę użyć takiego sformułowania, że misja ta weszła mi w krew. Teraz już pamiętam, że raz na miesiąc muszę pójść i oddać te płytki. Nikt nie musi do mnie dzwonić. Cieszę się, że ta osoba, która od ośmiu lat otrzymuje ode mnie płytki, żyje dzięki mnie i że ta moja misja ma sens.

Angelika Szumilas (studentka)

Jan Paweł II powiedział, że każdy powołany jest do świętości. Świętość może objawiać się nawet w uśmiechu do drugiego człowieka, który tego potrzebuje. Możemy mu pomóc, możemy mu zrobić zakupy, np. starszej pani, która nie może wejść po schodach. Wydaje mi się, że każdy w jakiś sposób może pomóc drugiej osobie.



Fot. 39. W pierwszym rzędzie Jadwiga Piotrkiewicz, w drugim pierwszy z prawej Bogdan Motelski, za nim Marcin Cylkowski

Chciałam podać przykład z mojego domu rodzinnego. Moi rodzice mają gospodarkę i czasem trzeba im pomóc, bo nie mają już dostatecznych sił, aby zrobić to sami. Czasem naprawdę mi się nie chce pracować przy zbiorze ziemniaków lub zwiezieniu siana, ale wiem, że muszę to zrobić. Oni mi przecież pomagali, kiedy byłam mała. Później, gdy wracam z pola, naprawdę czuję, że dobrze zrobiłam i jestem szczęśliwa. Wiem, że Bóg pobłogosławi mnie za to. Kiedy jeszcze widzę, że tata, który za dużo nie mówi, uśmiecha się, wiem, że dobrze to zrobiłam. Nie musi mi nawet tego mówić. Takie czyny sprawiają, że człowiek czuje, że jest potrzebny drugiej osobie i że bez drugiej osoby nie może się obejść. Zawsze jesteśmy komuś potrzebni. Wydaje mi się, że nie ma człowieka, który nie może dać czegoś drugiej osobie.

Ks. Adam Zelga

Angelika ma wspaniały słuch i piękny głos. Przez sześć lat walczyłem, żeby zaśpiewała psalm kościelny i wreszcie po sześciu latach zaśpiewała. Gdyby śpiewała na każdej Mszy Świętej, to bym tego tak nie pamiętał, jak tego jednego razu, gdy zaśpiewała po sześciu latach proszenia. Nigdy tego nie zapomnę. Mam nadzieję, że jednak kiedyś jeszcze zaśpiewa.

O szukaniu i znalezieniu żony mówił pięknie Pan Zbigniew. Jeszcze inną znam historię, jak pewna dziewczynka w kołysce strasznie płakała i nagle pojawił się mały chłopczyk i nagle przestała płakać i uśmiechnęła się. Była to Joasia, a chłopczykiem był Robert.

Robert Kościuszko

Podobno tak było rzeczywiście. Poznałem moją przyszłą żonę, jak z moją mamą za rączkę podreptałem do jej koleżanki, której urodziła się córka. Kiedy wspiałem się na paluszkach i zajrzałem do kołyski, podobno przestała płakać. Tak się poznaliśmy, choć ja tego nie pamiętam.

Dzisiaj w panelu po tej stronie stołu znaleźli się sami mężczyźni. Chciałbym parę słów powiedzieć o świecie mężczyzn, a właściwie o męskim sercu, bo tak jak patrzę, chłopaki, na was (na sali sporo studentów – przyp. red.), to widzę, że jesteście bardzo znudzeni, większość z was. Obecnie my mężczyźni jesteśmy coraz bardziej znudzeni w naszym świecie. Pracujemy w coraz większych korporacjach.

cjach, jesteśmy zaprzężeni do coraz bardziej złożonych pługów, żeby orać wspólnie i nasze serca są coraz bardziej znudzone i poszukujemy czegoś, co nas ożywia, co sprawia, że podnoszę w górę ręce i wołam: znalazłem tę swoją misję, pójdę w tamtą stronę, zwyciężę, zbuduję. Nasze męskie serca uwielbiają przygodę, a w tej przygodzie rywalizację. Zastanawiamy się często, dlaczego dzisiaj kościoły są pełne kobiet, a puste są miejsca, gdzie mogliby siedzieć mężczyźni. Gdzie podzieli się mężczyźni albo młode chłopaki? Są na stadionach. Tam śpiewamy, tam unosimy ręce w uwielbieniu dla naszych idoli, dla tej naszej jedenastki. Tam jest wspólnota. Jesteśmy w stanie poświęcić jej wiele czasu i swojego wysiłku. Jeżeli mężczyzna szuka misji, to ona zawsze gdzieś jest osadzona na zmierzeniu się z przeciwnikiem lub przeciwnością. Bo każdy mężczyzna to albo strażnik, albo zdobywca, czyli wojownik, albo budowniczy, który mierzy się z pustką, ażeby zabudować ją wspaniałą budowlą. Jeżeli tego nie rozumiemy, to, gdy będziecie zarabiał pieniądze, panowie, już niedługo, będziecie się zastanawiać po paru latach, po co ja to robię? Lub gdy będziecie mieli wspaniałą, piękną żonę i kiedy po paru latach jej uroda trochę wam spowszednieje, będziecie się pytali, po co ja z nią żyję lub po co jestem w tej rodzinie? Chyba że zrozumiecie, że jesteście strażnikami swojej rodziny, ażeby nie wpuścić zła do środka, żeby wasze dzieci i wasza żona żyły i rozwijały się w środowisku, które chronicie, w którym jest dobro, w którym jest wzrost, które zaopatrujecie razem ze swoją żoną, ażeby właśnie tak chroniona rodzina mogła dobrze się rozwijać. Ja tego doświadczyłem i doświadczam i wiem, po co żyję. Jest to misja zarówno wojownika, jak i zdobywcy i strażnika, misja budowniczego, który zaczyna rozumieć, po co ma te umiejętności i po co ma to pragnienie w sercu.



Fot. 40. Robert Kościuszko

I teraz jest pora, aby powiedzieć o swoim powołaniu. Jeżeli rozumiem, że Bóg stawia mnie, żebym zmierzył się z przeciwnościami czy przeciwnikiem, aby ochraniać dobro, aby budować, aby karmić tych, za których będę odpowiedzialny, to mogę teraz wsłuchi-

wać się w podszept swojego serca, aby dokładnie zrozumieć, w którym kierunku mam iść, za jaką pracę się zabrać, z jaką osobą spędzić resztę życia, żeby to była nie mordęga, nie nuda, ale żeby to było wspaniałe przeżycie, żeby to była przygoda nie łatwa, może nawet trudna, którą trzeba ochraniać, o którą trzeba walczyć. Żeby to była misja mojego życia.

Panowie, macie serca wojowników, strażników i budowniczych. Jeżeli w męskim świecie zabraknie przeciwnika albo przeciwności, to gubimy się. Nie wiemy, po co żyjemy. I dlatego jest tytułu mężczyzn zagubionych w Kościele albo w rodzinie, dlatego że przestajemy rozumieć nasze powołanie, że nie wiemy, przed kim mamy chronić własną rodzinę, albo nie wiemy, dlaczego mamy ją zaopatrywać. A więc zastanówmy się nad naszym sercem, męskim sercem, bo to jest ważne, żeby nasza cywilizacją przetrwała.

O. Tomasz Szyszka

Nawiążę do pytania Pana Tomasza, jaka jest różnica między powołaniem a misją. Chciałbym odwołać się do znanych nam wszystkim postaci, a mianowicie do Pana Jezusa i apostołów. Apostołowie najpierw zostali powołani. Na bazie ich talentów, ich zdolności, predyspozycji byli kształtowani i dopiero kiedy zostali ukształtowani, zostali posłani. Posłanie znaczy tyle co misja, ale należy mieć na uwadze, że zawsze ważny jest element posyłania. Nie można się samemu posłać, ale jest się posłanym przez kogoś. Przez kogo? Na przykład przez Boga do ludzi z konkretnym zadaniem, w oparciu o konkretne metody i w konkretnym celu. Ten aspekt jest bardzo ważny. Z naszego powołania zaczyna wynikać nasze posłanie. Najpierw muszę poczuć się powołany do założenia rodziny, do bycia księdzem, misjonarzem, studentką czy studentem, a dopiero kiedy zaczynam to powołanie realizować, krystalizuje się moja misja. Należałoby tutaj powiedzieć sobie bardzo ważną rzecz. W misji zawsze chodzi nie tyle o coś, ale o kogoś. Jestem posłany przez Boga jako osoba do kogoś, żeby komuś pomóc i coś budować. Dlatego wydaje mi się, że byłoby sensowniejsze, żeby o swojej misji życiowej nie mówić tyle na jej początku, ale z pewnej perspektywy czasu, kiedy się już coś zrealizowało albo coś się realizuje.



Fot. 41. O. Tomasz Szyszka

Grzegorz Polak

Dodając do tego co powiedział Ojciec Tomek, uważam, że powołanie jest to przekonanie, iż to co robię, to jest właśnie to, co powinienem robić. Powołanym można być nie tylko odpowiadający na głos Boży. Nie zawężyłbym tego pojęcie tylko do płaszczyzny wiary. Można pełnić powołanie bez żadnych motywów religijnych.

Ks. Adam Zelga

Jan Paweł II wśród wielu tekstów napisał kiedyś list do młodzieży. Oparł ten list na pewnym ewangelicznym spotkaniu. Składało się ono z dwóch części. Młody człowiek przyszedł do Jezusa i zapytał: "Panie, co mam czynić, żeby być szczęśliwym? Co mam czynić?" Wtedy Jezus mu odpowiedział: "Zachowuj przykazania". On odpowiedział: "Ale ja to robię. Staram się być uczciwy. Staram się to robić". Wtedy Ewangelia mówi, że Jezus spojrzał na niego z miłością i powiedział mu: "Brakuje ci jednego. Sprzedaj wszystko, co masz i chodź za mną". I myślę, że wszyscy w jakimś sensie odczytują swoje życie jako powołanie i misję, nigdy nie odejdą zasmuceni, jeżeli posłuchają tego głosu i pójdą za tym wewnętrznym głosem, za tym wezwaniem. Ewangelia powiada, że tamten czło-

wiek odszedł zasmucony. Myślę, że ani Grzegorz, ani Robert, ani Tomasz nie idą zasmuceni przez życie, mają zakodowane w sobie, że pełnia jakąś misję i życzę, żebyście słuchając tego wewnętrznego głosu powołania, odkryli tę swoją misję. Wtedy nie odejdziecie zasmuceni tak jak ten młody człowiek w Ewangelii.

Z nagrania spisał Łukasz Bujak

*Jak wpływa na mnie posiadanie władzy
i/lub sławy?*

Cytaty

Stanisław Tkocz – Demokracja a moralność (fragment)

Za realizowanie dobra wspólnego w państwie odpowiedzialna jest władza. Ma ona charakter służebny w stosunku do obywateli, obywatele zaś zobowiązani są do posłuszeństwa wobec legalnie wybranych władz. Sobór Watykański II przypomina, że nawet w sytuacji, kiedy władza przekracza swe uprawnienia i uciska swych obywateli, ci nie powinni odmawiać świadczeń wobec państwa, jeśli tego wymaga dobro wspólne. Natomiast mają całkowite prawo do obrony własnej wobec nadużyć władzy, w granicach nakreślonych przez prawo naturalne i ewangeliczne. Człowiek jest starszy niż państwo, powiedział Leon XIII, dlatego państwo pełni rolę służebną w stosunku do swoich obywateli i czerpie swą siłę z podmiotowości społeczeństwa.

Ks. Remigiusz Sobański – Władza i pokora (fragmenty)

Urzędnik – nawet ministerialnej rangi – pozostaje w służbie państwowej – czyli w służbie obywatelom. Urząd to zespół zadań, dla których wykonania ma się określone uprawnienia, ale to nie powód do wynoszenia się ponad przeciętnych ludzi, sztorcowania ich i jawnego czy maskowanego lekceważenia. Nie dorastania do wymogów urzędu dowodzą też ci, co wykorzystują go dla zamanifestowania swojej władzy, czy do podkreślania, że jest się tym decydentem.

Zapomina się, że godność człowieka, to godność bliźniego! A przecież obraza człowieka to zawsze też obraza Boga – przypomniał Jan Paweł II w swym orędziu pokoju 2002. Bo nie uznaje Boga za ojca ten, kto ma trudności z uznaniem bliźniego za brata – z równą godnością, z równymi prawami, przede wszystkim zaś z prawem do respektowania jego godności ludzkiej. Na gruncie myśli chrześcijańskiej nie da się rozłączyć pojęć człowieka i osoby, każdy człowiek jest podmiotem praw i obowiązków. Nie wolno go więc lekceważyć ani też „lekko się o nim wyrażać”. Nie wolno tego też w demokratycznym państwie prawnym, które przecież wyrosło z ducha chrześcijaństwa. Dlatego w chrześcijańskiej myśli politycznej zawsze podkreślano pokorę jako ważną cechę władzy – zarówno świeckiej, jak też kościelnej. Ta mowa o pokorze nie wyrasta z idealistycznych mrzonek, lecz z realistycznej

oceny człowieka, każącej zdawać sobie sprawę, że władza bez pokory ulega zepsuciu i deprawacji. Przestaje być władzą dla ludzi, stara się być władzą nad ludźmi.

*Ks. Andrzej Godyń SDB – rozmowa z Zenonem Laskowikiem
(artystą kabaretowym) – fragmenty.*

Dlaczego tak wiele osób, zwłaszcza młodych, marzy o sławie aktora, piosenkarza?

Prawdopodobnie pociąga ich łatwość takiego życia, ale ci, którzy chcą zostać gwiazdami, nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, co rzeczywiście stoi po drugiej stronie. Ludziom się wydaje, że tam jest ciekawe życie, a tam jest śmiertelna nuda. W tym znudzonym świecie, żeby coś w twórczości drgnęło, trzeba nowych doznań, stąd intrygi, skandale, ucieczki w coraz to nowe związki, narkotyki, alkohol.

Co się traci przez popularność?

Popularność zabiera prywatność. Coś, o czym potem się marzy i próbuje się do niej wszelkimi sposobami wrócić. Gubi się też siebie. Człowiek jest dla innych, a nie dla siebie, dla Boga. Nie ma wyciszenia, ciągle jest szum, szum, szum. Mnie popularność przygniotła, jak krzywa ściana domu. Przywalała mnie, bo się jej nie spodziewałem, ani o nią nie zabiegałem. Nie zdawałem sobie sprawy, co to znaczy mieć uznanie publiczności, dla której się jest idolem. Mnie to doprowadziło do choroby alkoholowej. Wszyscy chcieli się ze mną napić, a ja nie umiałem odmówić.

I uciekł Pan.

Przemiana duchowa nastąpiła, kiedy zrozumiałem, że dałem się wpuścić w maliny, jeśli chodzi o to rzekome gwiazdorstwo. W pewnym momencie powiedziałem – nie. Nie jestem sobą. Ja chcę być sobą. Za wszelką cenę. Trzeba być sobą, być prawdziwym, czy to się komuś podoba czy nie. I zrobiłem na sobie eksperyment. Zszedłem ze sceny, ku zdziwieniu kolegów, którzy wzięli mnie za psychicznego. Ale przyjąłem to odium. Pomyślałem sobie, że był już taki jeden ośmieszany, któremu upletli koronę z cierni, żeby go wyszydzić. Postanowiłem, że muszę odnaleźć siebie i postawiłem to sobie za cel.

KONWERSATORIUM XXX (21.03.2009 R.)

Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?

Prowadzący: ks. Adam Zelga, (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), Marek Kamiński (polarnik, zdobywca biegunów) wywiad nagrany, dr Rafał Muchacki (dyrektor Szpitala Onkologicznego w Bielsku Białej, senator RP), Przemysław Babiarczyk (dziennikarz, komentator sportowy) i Dariusz Kowalski (aktor)

Ks. Adam Zelga

Dzisiaj w kościele czytana jest Ewangelia o faryzeuszu i Łazarzu, w której, podobnie jak w historii świata, zderzają się dwie koncepcje sensu życia. Jedną jest ta, którą prezentuje faryzeusz. Jest to koncepcja bardzo aktualna we współczesnym świecie, bardzo modna, szczególnie u polityków. Jest to koncepcja, w której sens życia polega na zdobywaniu, zdobywaniu coraz więcej i jak najwięcej. Wypowiedź faryzeusza skupia się na sobie i na posiadaniu. Inną koncepcję życia proponuje Łazarz, który w hierarchii społecznej stoi gdzieś na jej końcu i z głębi swojego upadku, świadomości bylejałości życia, jak mantrę powtarza wezwanie: „Panie zmiłuj się nade mną”. Ta druga koncepcja to koncepcja tracenia. Człowiek idąc przez życie, musi nauczyć się zdobywać, ale jeszcze bardziej musi nauczyć się tracić. Tę drugą koncepcję sensu życia szczególnie trudno jest pojąć ludziom młodym. Wydaje mi się, że filozofia zdobywania jest filozofią wirtualną, natomiast filozofia tracenia jest realna, dotyka każdego z nas. Z dnia na dzień coś tracimy, stajemy się starsi, odchodzą rodzice, dzieci wychodzą „na swoje”. Taką refleksją chciałbym rozpocząć dzisiejsze konwersatorium.

Witam wszystkich zaproszonych gości i uczestników spotkania, którzy są obecni na sali. Z Panem Markiem Kamińskim, który jest obecnie w Stanach Zjednoczonych, spotkamy się wirtualnie.

Marek Kamiński

Pytaniem dzisiejszego spotkania jest: czy demoralizuje mnie sława lub/i pragnienie władzy (pierwotny temat, potem rozszerzo-

ny, przyp. red.). Myślę, że sama w sobie sława nie jest czymś złym i nie musi demoralizować. Pamiętam, że kiedyś po wyprawie z Jaśkiem Melą na oba bieguny północny i południowy ktoś zadzwonił do mnie, że musi powiedzieć mi coś w cztery oczy i powiedział mi wówczas, że uważa, iż zrobiłem to tylko dla sławy. Mimo ogromnego wówczas zmęczenia, zaśmiałem się i powiedziałem, że byłoby cudownie, gdyby wszyscy chcieli być sławni, jeśli to oznaczałoby możliwość dawania czegoś z siebie, dawania siebie komuś innemu, podzielenia się sobą i swoim doświadczeniem z drugim człowiekiem, wskazanie mu kierunku w życiu albo też przekazanie konkretnej pomocy drugiej osobie. To jest ten dobry rodzaj sławy.

Natomiast rzeczywiście wśród różnych wzorców, także znanych z mediów, są też takie, żeby zaistnieć za wszelką cenę, tylko i wyłącznie zaistnieć – w Internecie, w telewizji, w radiu. Wtedy przestają być ważne wartości, a największą wartością staje się fakt bycia w mediach, jakby to było coś absolutnego, ponad wszystkimi wartościami. Myślę, że ten rodzaj sławy jest demoralizujący. Co to znaczy? Że zasady moralne, którymi kierujemy się w życiu, pod wpływem sławy ulegają demontażowi, czyli przestają istnieć. Celem samym w sobie staje się sława lub władza.

W moim życiu stawiałem i stawiam sobie różne cele, sława nigdy nie jest celem samym w sobie. Zawsze chcę pójść gdzieś dalej, zagłębić się w rzeczywistość, poznać, czym ona jest, poczuć sens człowieczeństwa. Natomiast nigdy wartością dla mnie nie jest ani sława, ani władza. Dlatego też później, kiedy ta „sława” do mnie zapukała, to był szok. Kiedy po wyprawie na biegun północny z Wojtkiem Moskałem wylądowaliśmy na lotnisku w Warszawie i nagle zobaczyłam ścianę aparatów fotograficznych i kamer skierowanych w naszą stronę, to było rzeczywiście pełne zaskoczenie. Od początku jednak mieliśmy dystans do tego wszystkiego. Samo zainteresowanie mediów, podzielenie się wrażeniami, doświadczeniami z wyprawy jest dobre. W ten sposób dajemy ludziom jakąś



Fot. 42. Marek Kamiński

nadzieję, dajemy przykład pokonywania barier, osiągania celów, które wydają się niemożliwe do realizacji i później starałem się zawsze myśleć o sławie jako o pewnym przywileju, ale też i pewnym obowiązku. Takim obowiązku, który polega na pomnażaniu dobra na tym świecie, które pomaga innym, dzieleniu się doświadczeniem, wiedzą i możliwościami z innymi ludźmi.

Oczywiście sława może się wiązać z próżnością. Człowiek przez własne ego, przez marzenia o wielkości nas samych, czasem może w swojej próżności, widzieć w sławie wyimaginowaną swoją wielkość. Taka sława może być złem, możemy świadomie lub nieświadomie być wykorzystywani. Dlatego myślę, że trzeba uważać, bo sława jednocześnie wiąże się z różnymi przywilejami. Mamy kontakt z wieloma ludźmi, przebywamy w miejscach nie zawsze dostępnych dla innych, bierzemy udział w zdarzeniach, które niekiedy są historyczne. Staram się zawsze traktować to wszystko z pewnym dystansem, żeby pozostawać zawsze sobą, nie zmieniając hierarchii wartości. Wraz ze spotkaniem wielu nowych ludzi zdobywamy doświadczenie, zmieniamy się, ale podstawowe wartości muszą mieć takie samo dla nas znaczenie. Dlatego trzeba uważać na każdy krok i niezależnie od tego, czy się jest sławnym czy nie, czy się ma władzę, czy jej się nie ma, każdego dnia i w każdej chwili trzeba pamiętać, że są podstawowe wartości związane z Bogiem, z nadzieją, wiarą, z miłością i za tymi wartościami trzeba podążać. Nigdy nie jest tak, żeby cel uświęcał środki, żeby takie wartości, jak sława czy władza mogły usprawiedliwiać złe uczynki. Musimy zawsze pamiętać, że jesteśmy tylko tyle warci, ile dajemy innym ludziom i czym dzielimy się z innymi. Musimy też pamiętać, że nie jesteśmy na tym świecie samotną wyspą, że są inni ludzie i to, że jesteśmy sławni, to nie przypadek. Jeśli tak się stało, że ta władza została nam dana, to przede wszystkim powinniśmy pomyśleć o innych, co możemy dla nich zrobić. Nawet jeśli tak było, że dążyliśmy do tej sławy czy władzy samej w sobie, że było w nas pragnienie posiadania władzy i/lub sławy, to wtedy, gdy ją osiągnęliśmy, powinniśmy się zastanowić, czy mamy dalej iść tą drogą wykorzystywania władzy/sławy tylko dla samych siebie czy dla innych. W historii możemy znaleźć wiele przypadków, kiedy władza demoralizowała ludzi, spowodowała, że zagubili się na tym świecie, zgubili swoją tożsamość. Niektórych władza lub sława zniszczyła

lub wręcz zabiła. Warto studiować życiorysy innych ludzi i zobaczyć, co stało się z tymi, którzy myśleli tylko o sobie, w jaki sposób przetrwali oni w ludzkiej pamięci, świadomości. Porównajmy ich z tymi, którzy posiadanie władzy i sławy wykorzystywali dla dobra innych i jakie były tego owoce. Zastanówmy się, jak chcielibyśmy pozostać w ludzkiej pamięci.

Dariusz Kowalski

Chciałbym powiedzieć parę słów na temat sławy. O władzy niewiele wiem, na szczęście nie mam nic wspólnego z polityką. Występuję tu jako ktoś, kto został wykreowany, czy raczej spopularyzowany przez media. Myślę, że na wstępie należałoby rozróżnić sławę od popularności. Sława dla mnie jest pochodną czegoś, co w życiu



Fot. 43. Dariusz Kowalski i Przemysław Babiarz w panelu spotkania

osiągamy. Na przykład, jeśli ktoś koncentruje się na jakimś celu, jest bardzo dobry w swojej dziedzinie, robi coś wielkiego, tworzy dla ludzi, np. wynajduje nowy lek, dostaje Nobla, staje się sławny dzięki pracy, która stała się dobrem wymiernym. Pan Marek Kamiński mówił o dzieleniu się, co jest pozytywnym aspektem sławy – dzielenie się z innymi uzyskanym dobrem.

Ja chciałbym powiedzieć o popularności. Jestem aktorem grającym w serialu, wielu ludzi zna moją twarz, która kilka razy w tygodniu pojawia się na ekranie telewizora. Widownia jednego odcinka serialu ("Plebania", przyp. red.) liczy kilka milionów widzów. Przede wszystkim jednak gram w teatrze i dla mnie głównym, podstawowym środowiskiem zawodowym jest teatr. Ale widownia teatralna jest tylko niewielkim ułamkiem widowni telewizyjnej. Telewizja ma ogromną siłę oddziaływania. Tam zyskuje się popularność. Na przykład Księdzu Adamowi, który nie ogląda serialu, moja twarz nic nie mówi.

Ks. Adam Zelga

Jako proboszcz mam ten serial na co dzień.

Dariusz Kowalski

Marek Kamiński mówił o rozróżnieniu: o dobrych i o złych aspektach sławy. Z jednej strony jest możliwość dzielenia się z innymi, pomnażanie dobra na świecie, pokazywanie, że można pokonywać różnego typu bariery. Z drugiej jednak są też niebezpieczeństwa związane ze sławą.

Chciałbym powiedzieć parę słów o swoim zawodzie i o popularności, która jest czasami trudna do udźwignięcia. Dotyczy to człowieka, na którego nagle zostają skierowane, tak jak powiedział Pan Marek, obiektywy, aparaty, kamery. Doświadczyłem czegoś takiego. Zwykle międzyludzkie relacje ulegają tutaj pewnemu zaburzeniu.

Po pierwsze: ludzie, których często spotykam po raz pierwszy i może jedyny, podchodzą do mnie jak do kogoś, kogo dobrze znają, co często rodzi albo przesadną śmiałość, albo nadmierną rezerwę. Ta znajomość opiera się na pewnym wyobrażeniu, powstałym przy oglądaniu granej przeze mnie postaci, która jest częstym gościem w ich domach. Wchodzą więc w relacje nie bardzo wiem z kim, ze mną czy z jakimś gotowym obrazem mojej osoby, który w nich powstał. Żeby wejść we własne, autentyczne relacje z tymi ludźmi i stworzyć prawdziwą, realną wartość, trzeba się przez to przebić. Rodzi to często pewien opór, ponieważ zawsze wymaga wysiłku.

Po drugie: pojawia się poczucie bycia kimś wyjątkowym i to jest następne niebezpieczeństwo wynikające z popularności. Jeśli nagle 100 osób chce mi zrobić zdjęcie i wszyscy traktują mnie jak

kogoś niezwykłego, to znaczy, że może rzeczywiście jestem kimś wyjątkowym...? Lepszym od innych? Mnie wolno więcej?! Na przykład, policjant nie daje mi mandatu, mówiąc: "Ja Pana znam". Znowu powstaje niebezpieczeństwo pewnych zaburzeń odbioru rzeczywistości, także postrzegania siebie samego: może w moim przypadku prawa fizyki nie obowiązują albo przynajmniej działają trochę inaczej...? Może więcej mi się od życia należy? Pojawia się pokusa prześlizgiwania się przez życie "na fali" popularności i rozgłosu... To poczucie bycia kimś wyjątkowym jest złudne, ale pojawia się i czasem trudno mu się oprzeć. Pamiętam, jak po raz pierwszy chciano przeprowadzić ze mną wywiad i cieszyłem się, że będę mógł powiedzieć parę "mądrych i ważnych" dla mnie rzeczy. Ponieważ nasza córka była wówczas mała, zacząłem mówić o wychowaniu dzieci i jeszcze jakichś sprawach, które wydawały mi się bardzo istotne. Potem okazało się, że to zostało przekształcone, zminimalizowane, że w ogóle nie o to chodziło. Panią redaktor z kolorowego czasopisma bardziej interesowało to, czy ja mam jedną żonę, czy może już drugą, gdzie mieszkam, czy jeżdżę wozem drabiniastym czy samochodem, padły propozycje zdjęć w domu itp. Tak samo było w kilku innych przypadkach podobnych rozmów, na które dałem się namówić. Tak naprawdę nie chodziło o to, jakim jestem człowiekiem, tylko o to, co można ze mnie wyciągnąć, jaki temat zrobić, który mógłby być skandalem, plotkarską pożywką "nakręcającą" sprzedaż. Bo zwykle do tego sprowadza się sens tzw. "lansowania": chodzi o podniesienie sprzedaży jakiegoś produktu, podtrzymanie czy zwiększenie nakładu, podniesienie "stupków oglądalności" itp. Często widzimy brak sensu takich wywiadów, choć czasem pojawia się pokusa, że może warto choćby dla jednego ważnego zdania na nie się zgodzić.

Popularność sama w sobie nie jest czymś złym, jak powiedział Marek Kamiński, ale zdobywana dla niej samej może prowadzić do swego rodzaju deprawacji. Dzisiaj obserwujemy, że ludzie, którzy za wszelką cenę chcą zaistnieć w mediach, decydują się zrobić



Fot. 44. Dariusz Kowalski

wszystko: sprzedać siebie, obnażyć się psychicznie i fizycznie, tylko po to, żeby ich oglądano, żeby o nich mówiono. Wszystko jedno jak będą mówili, dobrze czy źle, ważne, żeby nie przekreśli nazwiska. W skrajnych przypadkach to wygląda naprawdę żałośnie i boleśnie, podważana jest godność osoby ludzkiej i kto wie, czy nie najbardziej bolesne jest to, że tego typu dramaty znajdują masowego odbiorcę, żadnego sensacji widza i czytelnika.

Inna rzecz to sława jako pochodna czegoś, do czego człowiek sam dochodzi i efekt wytworzonego, wypracowanego dobra, które zostaje zauważone. To cudowna sprawa, że miliony na świecie mogą poznać kogoś takiego jak Marek Kamiński, który walczy ze swoją słabością, pokonuje kolejne bariery wydawałoby się nie do pokonania i pokazuje, że warto pracować nad sobą, warto zmagać się ze sobą, żeby do czegoś dojść.

Kiedy myślałem o tym spotkaniu i o poruszanych tematach, przyszło mi na myśl, że dążenie do popularności dla niej samej prowadzi do bałwochwalstwa. Media kreują bożków, zastępcze bóstwa, lansując wybrane osoby na kogoś wyjątkowego. Świat w przekazie medialnym dzieli się na dwie części: ludzi znanych, żyjących w świetle reflektorów i "szarą masę", anonimowy tłum. Ludzie patrząc na to myślą: "Ja też chcę być taki sławny, nie chcę być anonimowy". To jest jakaś ogromna tęsknota za tym, żeby zostać zauważonym. Jakieś ogromne wołanie o miłość! Jakiś potężny deficyt miłości. Tu dochodzimy do sedna samego zjawiska: skąd bierze się w człowieku ta pogoń za popularnością? Myślę, że wynika to z pomylenia miłości z podziwem. Podziw innych, uznanie dla moich talentów i możliwości nie jest w stanie zaspokoić głębokiej potrzeby miłości, wypełnić wewnętrznej pustki. Buduje tylko mój egocentryzm. To jest namiastka, zaspokaja na krótko – pustka pozostaje. Może ta pogoń za uznaniem innych ludzi wynika z zapomnienia, że w oczach Boga każdy z nas jest jedyny, wyjątkowy i niepowtarzalny...?

Myślę, że dobrym antidotum na truciznę zapatrzenia w siebie jest rozglądanie się wokół. Staram się je stosować, z różnym skutkiem. Dla mnie najważniejsze jest to, czy pojedynczy człowiek, którego spotkam, wyjdzie z tego spotkania uradowany, ucieszony, dowartościowany. Jeśli odejdzie pogiębiony i przygnębiony – to jest moja klęska. Jeśli jestem w stanie dać komuś radość, to jest moje zwycięstwo. To jest sens mojego życia, moja walka, którą toczę.

Mam tu na myśli nie tylko pole zawodowe, ale również – i może przede wszystkim – prywatne, na którym walka bywa trudniejsza. Jeśli będziemy patrzeć na świat tylko przez pryzmat osiągnięcia rozgłosu, jeśli nieustannie będziemy zapatrzeni w siebie, to stracimy możliwość prawidłowego postrzegania, stracimy rzeczywistą perspektywę. Stracimy z oczu drugiego człowieka. Pan Marek mówił, że zna ludzi, którzy tracili życie przez popularność. Nie potrafili unieść ciężaru sławy. Poddając się bałwochwalstwu można stracić dużo więcej, można stracić szansę na dobrą wieczność.

Chciałbym zacytować fragment z Księgi Mądrości (rozd. 15 w. 7):

„Bo i garncarz, ugniatając mozolnie miękką ziemię, lepi wszelakie naczynia do naszego użytku. I z tej samej gliny ulepił tak naczynia służące do celów szlachetnych, jak do przeciwnych – wszystkie podobnie. Jaki zaś będzie użytek jednego lub drugiego – rozstrzyga garncarz. W niecnym trudzie lepi z tejże gliny marne bóstwo ten, co niedawno powstał z ziemi, i pójdzie niebawem do tej, z której został wzięty, wezwany do spłacenia długu duszy. Ale on się nie troszczy o to, że niebawem umrze, ani o to, że życie ma krótkie, lecz idzie w zawody z tymi, co obrabiają złoto, odlewają srebro, naśladuje tych, co rzeźbią w brązie, i chlubi się, że lepi bałamuctwa. Serce jego jak popiół, nadzieja jego marniejsza niż ziemia i życie nędzniejsze niż glina. Bo nie poznał Tego, który go ulepił, tchnął w niego duszę działającą i napełnił duchem żywotnym. Mniemał, że nasze życie jest zabawą, targiem zyskownym nasze bytowanie, bo mówi, że trzeba ze wszystkiego ciągnąć zyski, nawet z nieprawości. Ten wie lepiej niż inni, że grzeszy, gdy z ziemskiej materii tworzy kruche naczynia i rzeźby”.

We wszelakich mediach, elektronicznych czy papierowych, w coraz bardziej agresywnej reklamie mamy ciągle nowe przykłady kreowania współczesnych bożków dla osiągnięcia wymiernych korzyści. Doskonale się w to wpisuje dążenie do popularności, do podniesienia oglądalności, do rozgłosu za wszelką cenę.

Ksiądz Adam mówił o wirtualnej filozofii zdobywania i realnej filozofii tracenia, traceniu wraz z wiekiem. Ja myślę, że tracąc coś z wiekiem, jednocześnie, być może za tę cenę, zyskuję spojrzenie na otaczającą rzeczywistość i na siebie z innej perspektywy. Zaczynam rozumieć swoją wartość jako osoby obdarzonej bezwarunkową miłością Stwórcy. Odnajduję w sobie godność Dziecka Bożego. Prze-

cież jestem ”synem i dziedzicem z woli Bożej! ” (Ga 4,7b). To jest dla mnie najważniejsze. To jest to, co mnie stanowi. Żaden ludzki podziw, żadna ilość braw czy fleszy nie jest w stanie niczego mi dodać, podobnie jak żadne ludzkie odrzucenie, żadne gwizdy nie są w stanie niczego mi ująć.

Jeszcze parę słów z tej samej Księgi Mądrości z rozdz. 13, które wydają mi się ważne:

„Głupi z natury są wszyscy ludzie, którzy nie poznali Boga: z dóbr widzialnych nie zdołali poznać Tego, który jest, patrząc na dzieła nie poznali Twórcy, lecz ogień, wiatr, powietrze chyże, gwiazdy dokoła, wodę burzliwą lub światła niebieskie uznali za bóstwa, które rządzą światem. Jeśli urzeczeni ich pięknem wzięli je za bóstwa – winni byli poznać, o ile wspanialszy jest ich Władca, stworzył je bowiem Twórca piękności; a jeśli ich moc i działanie wprowały ich w podziw – winni byli z nich poznać, o ile jest potężniejszy Ten, który je uczynił. Bo z wielkości i piękna stworzeń poznaje się przez podobieństwo ich Stwórcę”.

Dla mnie najlepszym sposobem na uniknięcie popadania w bałwochwalstwo, czynienia sobie bożków z jakichkolwiek rzeczy czy atrybutów tego świata, na zachowanie właściwej miary, jest patrzenie na wszystko z perspektywy wieczności. Cały czas się tego uczę.

Ks. Adam Zelga

Sądzę z tej wypowiedzi, że „plebanijsy” Tracz jest bliski nawrócenia!!!

Przemysław Babiarsz

W pracy aktora jest szczególnie ważne, jak bardzo potrafi się transformować i jak się jest wiarygodnym w tej transformacji. Znam Dariusza. Na ekranie widzę zupełnie inną postać: spójną, wiarygodną. Teraz, kiedy go słucham, widzę, że prywatnie jest kimś innym, co świadczy o wielkości jego aktorstwa.

Dariusz wspominał o bałwochwalstwie. Odgrywa rzeczywiście istotną rolę w błędnym wykorzystywaniu sławy. Ono nam się ściśle kojarzy z pierwszym przykazaniem: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Dotrzymanie wierności temu przykazaniu chroni nas przed bałwochwalstwem. Co może przesłonić mi Boga? Ja sam mogę przesłonić sobie Boga, mój własny obraz wykreowany

w mojej wyobraźni, emitowany przez moich słuchaczy, przez moich widzów, którzy niejako zwielokrotniają moje istnienie. Bo czym jest w istocie sława? Czy nie zwielokrotnieniem tego, który jest sławny? Jego słowa znaczą jakby więcej, są donioślejsze, są słynne, są powtarzane.

Sława jest starsza od mediów. Od niepamiętnych czasów istniała sława dobra i sława zła. Jest nawet taki związek frazeologiczny: „ktoś cieszył się złą sławą”, był znany z tego, że zrobił coś złego. Postać Kmicica w „Pocie” jest takim klasycznym zmieszaniem: „Zaiste tyleż w tym człeku jest dobrego, co i złego” – mówi w pewnym momencie Michał Jerzy Wołodyjowski. W dzisiejszym świecie

rozdzielenie dobrej i złej sławy zostało całkowicie zamać. Dobra jest właściwie każda sława. Najgorsze jest, kiedy o kimś się nie mówi. Szczególnie dotyczy to aktorów czy dziennikarzy, którzy żyją w przekonaniu, że jeśli się o nich nie mówi, to tak jakby powoli umierali. W związku z tym ludzie są skłonni do tego, by być znanymi nawet z uczynków złych, bo wtedy w ogóle są znani.

Media wytwarzają pewną ułudę, że świat, który ukazują, w gruncie rzeczy wirtualny, jest jedynym realnym. Bardzo często możemy przekonać się o tym, że jeżeli skonfrontujemy to, czego wysłuchaliśmy w postaci skondensowanej, z naszym doświadczeniem, okazuje się, że świat z naszych obserwacji jest bardziej rozcieńczony i proporcje składników, które budują go, są w rzeczywistości zupełnie inne. Wynika to z faktu, że media są podporządkowane pewnej poetyce. Jest to poetyka widowiska. Jeżeli Państwo czytaliście „Poetykę” Arystotelesa, to tam kwestia zagęszczenia jest jednym z elementów oddziaływania dzieła. Media powinny jednak przedstawiać nam świat przynajmniej adekwatny. Oczywiście muszą działać skrótowo. Przedstawienie w czasie realnym byłoby często nieznosne, opowiadać o zdarzeniu, które trwa dwie godziny, również przez dwie godziny. Oczywiście takie przypadki w mediach się zdarzają i znam je dobrze jako komentator sportowy. Porządne transmisje sportowe powinny trwać tyle czasu, ile trwają wydarzenia, które są transmitowane.



Fot. 45. Przemysław Babiarz

Jeszcze o jednym należy wspomnieć. Początkowo media tylko opowiadały nam to, co się na świecie dzieje. Ale stopniowo stały się czwartą władzą, chciały czegoś więcej. Nie wystarczało im już tylko relacjonować rzeczywistość, ale też chciały ją kreować i na nią wpływać.

Jaka może być „władza” komentatora sportowego? Moim zadaniem jest w gruncie rzeczy opowiadać o ludziach sławnych. Ja sam w sobie nie jestem sławny, ja niczego nie stworzyłem, z czego miałbym być sławny, poza moją pracą w mediach. Obok mnie siedzi słynny lekarz, znany z tego, co czyni. Najpierw był świetnym lekarzem, a potem jego sława zaczęła obiegać świat. Ja niestety nie jestem z niczego znany, bo ja niczego takiego nie zrobiłem. Ksiądz Adam napisał książkę. Ja nie napisałem książki. Ksiądz Adam stworzył coś, co jest pozamedialne, o czym ewentualnie media mogą opowiadać. Ta kolejność, że najpierw jest dzieło, a potem sława jest prawidłowa. W moim przypadku jest trochę inaczej.

Jaka może być władza komentatora sportowego? Sława zwielokrotniła siłę oddziaływania i ta siła staje się pewną władzą. Znana jest anegdota o pewnym słynnym, już nieżyjącym komentatorze sportowym z lat 70., który przed meczem przychodził do szatni, do zawodników. Wtedy miał ogromny mir, tego nie da się porównać z żadnym z dzisiejszych komentatorów. Gdy wchodził, zapadała cisza, a on mówił: „Ty dzisiaj będziesz dobrze grał”. Co to znaczyło? Że o tym zawodniku, niezależnie jak on będzie grał, komentator będzie dobrze mówił i ludzie pomyślą, że on faktycznie dobrze gra. Jest bardzo niewielu takich obserwatorów, fachowców, którzy, mimo że coś sugeruje im komentator, są w stanie sami powiedzieć, że ten komentator opowiada bzdury, bo zawodnik gra źle. Ja wiem, że są tacy, może siedzą wśród nas, którzy są w stanie w taki krytyczny sposób spojrzeć na mecz piłkarski i ocenić komentarz. Wielu jednak tej sugestii komentatora ulega.

Dotyczy to również komentatorów innych dziedzin. Weźmy np. całą sferę polityki. Bardzo często słuchamy komentatorów politycznych i jesteśmy skłonni przyjmować to, co oni mówią, za prawdę. A przecież gdybyśmy przez chwilę skonfrontowali to z naszą obserwacją, być może z komentarzem innego komentatora, to wtedy okazałoby się, że komentator nie mówi prawdy. Taka konfrontacja jest niejako niezbędna.

Ja opowiadam o ludziach, którzy są sławni. Między innymi obserwuję i opowiadam, jak sława na nich wpływa i oddziałuje na

nich. W listopadzie 2000 r. Adam Małysz był postacią stosunkowo mało znaną. Wszyscy pamiętali jego nieudany występ na Igrzyskach w Nagano w 1998 r. Wiedzano, że jest taki skoczek, że wygrał dwa lub trzy razy zawody o Puchar Świata. Był znanym skoczkiem, ale to jeszcze nie było to, co miało się zdarzyć później. Wtedy w listopadzie 2000 r. zadzwonił do mnie pewien manager sportowy i powiedział: „W tym roku będziecie skupiać się na skokach narciarskich, bo Małysz będzie daleko skakał”. „Skąd wiesz?” Tego rodzaju zapowiedzi było już wiele w poprzednich latach. A on powiedział: „Zobaczysz, że będzie skakał”. Wiedział o tym w listopadzie.



Fot. 46. Przemysław Babiarczyk

W grudniu okazało się, że Małysz jest w wielkiej formie. Pod koniec grudnia, kiedy rozpoczął się turniej czterech skoczni, zajął czwarte miejsce, następnie trzecie, potem wygrał dwa następne konkursy i wygrał cały turniej. Okazuje się, że manager wiedział, mimo że to tak trudno przewidywalny sport. Od tamtego czasu sława Małysza zaczęła nieprawdopodobnie rosnąć, a on zaczął się z nią zmagać. Przychodziło mu to bardzo trudno. Jest to skromny chłopak, który trochę wstydził się kamery, trochę nie wiedział, co odpowiedzieć na pytania, które się często powtarzały. Media mają to do siebie, że się sto razy zadaje to samo pytanie. On się często krył w tłumie, uciekał. Z czasem się z tym oswoił, nauczył się tej konwencji, czy tej gry, równocześnie nie zatracił swojej autentyczności. Natomiast rzeczywiście udało mu się, w jakimś sensie, przed tym wszystkim obronić.

Niebezpieczeństwo sławy – kiedy ono może się zacząć? Kiedy przychodziłem do telewizji, byłem na kursie przygotowawczym. Pewien słynny z telewizji człowiek mówił nam: „Niebezpieczeństwo pojawi się wtedy, kiedy już po paroletnim występowaniu na wizji pójdziesz do kiosku po gazetę, a osoba, która wam ją sprzeda, nie uśmiechnie się, bo was nie poznała i to was zaboli. Jeżeli poczujecie, że was to boli, to znaczy, że sława zaczyna was uzależniać, że bez potwierdzenia tej sławy czujecie się źle. I to jest niewątpliwie punkt zwrotny. Ci, którzy taką popularność osiągnęli (słusznie Dariusz za-

uważył, że należy rozróżnić sławę od popularności), muszą pamiętać, że może być ona groźna. Czy ja sam nie zaczynam przesłaniać sobie rzeczy najważniejszych. Św. Augustyn mówił, że kiedy Pan Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu. To jest wypowiedź, która jest mottem do pewnych momentów w moim życiu. Kiedy zaczyna się dziać coś niedobrego, zaraz zaczynam się pytać, czy coś nie przesłoniło mi Pana Boga, czy coś nie stało się od Niego ważniejsze. Być może to ja sam stałem się od Niego ważniejszy.

Na koniec jeszcze jedno słowo. Ksiądz Adam zaczął od bardzo ciekawej konstatacji i bardzo ciekawego spostrzeżenia dotyczącego dwóch koncepcji człowieka – zdobywania i tracenia. Mnie to się skojarzyło z pewną koncepcją estetyczną Michała Anioła, że rzeźba zaklęta jest w kamieniu i że trzeba tylko z kamienia ten kształt, który jest gdzieś w nim zawarty, odkuć. I pomyślałem sobie, że coś takiego samego dzieje się z człowiekiem. My jesteśmy jakby przywaleni różnymi sprawami, być może naszym złym wyobrażeniem o samych sobie, może złym wyobrażeniem innych o nas, naszą codziennością, chciwością, naszymi żądzami itd. I to wszystko tworzy pewną skałę, która nas otacza. W procesie doskonalenia, do którego dzisiejszy świat nie zachęca, bo mówi raczej "wrzuć luz", niż radzi żeby poddać się dyscyplinie – w tym procesie doskonalenia, który można porównać do odkuwania rzeźby, może powstać piękna figura, nie tylko w naszych oczach, ale również w oczach Stwórcy. Obserwując sport widzimy to najlepiej. Jeżeli sportowiec nie podda się dyscyplinie, to nic nie będzie z jego mistrzostwa.

Jeszcze jedna anegdota, która także charakteryzuje ludzi sławnych. Posłyszałem kiedyś w radiu rozmowę z bardzo sławnym i znanym aktorem. Został zapytany, jak to jest u niego ze spowiedzią w konwencji katolickiej, taką, kiedy przychodzi się do konfesyjonału. On odpowiedział: "Spowiadać się wobec drugiego człowieka to zupełny nonsens". Pomyślałem w tym momencie, że zadziałała u niego sława i jeszcze raz sława (nie mówiąc o niezrozumieniu istoty sakramentu). Nie potrafił stanąć w prawdzie wobec drugiego człowieka, który siedzi po drugiej stronie kratki konfesyjonału. Co to znaczy – stanąć w prawdzie? To znaczy być pokornym, uznać swoją słabość, uznać, że jestem właśnie taki, jaki jestem, a nie trochę lepszy. Pokora jest najlepszym antidotum na złe wykorzystanie sławy i pewnego rodzaju terapią (choć nie lubię tego terminu, bo

nie jestem przesadnym zwolennikiem terapii, a szczególnie o charakterze psychologiczno-osobowościowym) na pychę.

Rafał Muchacki

Powiem o dwóch aspektach władzy, bo nie uważam się za człowieka sławnego. Może jestem znany wśród pacjentów, szczególnie tych, których udało mi się zoperować i którzy żyją.

Każdy z nas bez względu na wiek, płeć czy wyznanie ma jakąś władzę. Jest ona niejako przypisana do naszego życia, a my często nie zdajemy sobie sprawy, że ją mamy. Możemy powiedzieć, że każda władza to jest uzależnienie jednego człowieka od drugiego, jakiejś jednej grupy od drugiej. Normalne powinno być to, że silny rządzi słabszym, mądry głępszym, chociaż nie zawsze tak jest. Dotyczy to grup ludzkich, klas i partii politycznych, czy narodów. Tak jak sława, tak również władza może być dobra lub zła, przystępna bądź nieprzystępna. Możemy wymienić wiele przymiotników, które charakteryzują władzę. Kiedy zastanawiałem się nad tym, jak posiadanie władzy wpłynęło na mnie, nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Nie wiem. Powiem tylko, jak dochodziłem do tego "nie wiem". Powiem o dwóch aspektach tej władzy, o której mogę coś powiedzieć: władzy lekarza i władzy polityka. One w pewnym momencie mojego życia zbiegły się. Moja kariera medyczna zaczęła się 36 lat temu, kiedy na studia medyczne nie dostałem się i przez dwa lata byłem sanitariuszem i noszowym. Do moich obowiązków należało wynoszenie zwłok, przenoszenie chorych, mycie korytarzy – fizyczna praca. Potem z czasem ukończyłem studia, zrobiłem specjalizację z chirurgii onkologicznej, skończyłem też drugi fakultet i zostałem dyrektorem Beskidzkiego Centrum Onkologii. Myśląc o władzy, musimy zdawać sobie sprawę, że jest ona czymś nabytym i możemy ją w każdej chwili stracić. Operując swoich pacjentów wielokrotnie, a zwłaszcza w trudnych przypadkach onkologicznych, musiałem podejmować decyzje, które de facto wpływały na życie tych ludzi.

Na to, jacy dzisiaj jesteśmy, ma wpływ wiele przeżytych sytuacji i wielu ludzi. Miałem wspaniałych rodziców (mama jeszcze żyje), miałem wspaniałego nauczyciela, oni wszyscy wpłynęli na moje wychowanie, na to, jakie jest moje postrzeganie zarówno sławy, jak i władzy, na wybory, których dokonuję.



Fot. 47. Rafał Muchacki (z mikrofonem), obok Przemysław Babiarz i Dariusz Kowalski

Zacznę od mojej pracy chirurga-onkologa, którą wykonuję od 25 lat. Zawsze mam dylemat, jak rozmawiać z chorym, ile i co mogę mu powiedzieć. Nie jestem zwolennikiem amerykańskiej szkoły, w której mówi się otwarcie: "Będzie Pan żył trzy miesiące, czy pół roku". Nie potrafię tak z pacjentem rozmawiać. Niemniej kilka razy byłem zmuszony, żeby to zrobić. Było to poprzedzone długimi rozmowami z tymi pacjentami oraz wręcz z ich żądaniem, że muszą znać prawdę. Większość chorych nie chce do siebie dopuścić informacji o najgorszym i jest to naturalna obrona przed usłyszeniem tego nieodwracalnego, często wyroku śmierci. A przecież de facto powinno się mówić prawdę, również i tę najtrudniejszą, ale z łagodnością, która nie uraża, a czasem wymaga poświęcenia. Ja chyba nie mam takiego daru.

Pamiętam pierwszego pacjenta, którego śmierć bardzo przeżyłem. Było to 36 lat temu. Do dzisiaj pamiętam, ile miał lat, jak się nazywał i gdzie mieszkał. Wielu pacjentów w moim mózgu "kotłuje się" i wielu pamiętam. Być może to, że się nie mówi całej prawdy pacjentowi, jest błędem, który w tym momencie jest niewłaściwą znajomością prawdy. Ja tej granicy też nie potrafię u siebie znaleźć. Tych pacjentów, z którymi rozmawiałem, też pamiętam, wielu z nich już nie żyje. Utkwił mi w pamięci pacjent chory na bardzo agresywny nowotwór złośliwy. Był architektem, przyszedł do mnie i powiedział: "Panie doktorze, proszę mi powiedzieć całą prawdę

o moim stanie zdrowia, ja to zniosę, ale mam w perspektywie zrobienie jeszcze paru projektów”. Powiedziałem mu, po dłuższej rozmowie, co go czeka i gdy zaznajomiłem go z beznadziejnością tej choroby, podziękował mi. Był bardzo spokojny, ale nie takim spokojem pogodzenia się z losem, lecz takim, który go zmuszał do działania. Wiedział, że ma mało czasu, a jeszcze coś musi zrobić. I pamiętam taki obrazek, że wchodzę na salę chorych, a on ma na łóżku rozłożoną deskę kreślarską i maluje projekty. Będąc sam beznadziejnie chory, myślał o przyszłości, o przyszłości swojej rodziny, wiedział, że ma jeszcze coś do zrobienia. Skończył te wszystkie projekty, po miesiącu zmarł w obecności kochającej rodziny. To są niesamowite przeżycia.

Zawsze ”władza” na oddziale, gdzie pracuję, była połączona z modlitwą. Przed każdą operacją, każdy z nas chirurgów (akurat tak trafiłem, że wszyscy chirurdzy, którzy pracują na oddziale, to ludzie wierzący) prosił Boga o to, żeby operacja się udała. To nie jest tak, żebyśmy nie wierzyli w swoje siły fachowe, tylko jak mieliśmy pacjenta na stole, to modliliśmy się, żeby ten przypadek był operacyjny, żeby tego pacjenta dało się zoperować. Oczywiście różne potem były sytuacje.

Teraz powiem coś, czego się wstydzę. W pracy onkologa miałem czasem takie przypadki, kiedy byłem strasznie zmęczony, a czekała mnie jeszcze jedna operacja do wykonania. Zdarzało się, że jak wchodziłem na salę operacyjną, myślałem ”Rany Boskie, żeby to był przypadek nieoperacyjny” i potem łapałem się na tym: ”jak ty, człowieku, możesz tak myśleć, nie wolno ci tak myśleć”. Ta myśl oczywiście odchodziła ode mnie i robiłem wszystko najlepiej jak potrafiłem, ale wiedziałem, że to jest moment, kiedy muszę iść na urlop, że muszę po prostu odpocząć, nabrać sił. Każda praca aktora, komentatora czy chirurga musi być wykonywana z pasją, tę pracę trzeba po prostu kochać. Człowiek kochający swoją pracę, dobrze ją wykonuje. Zmęczenie może jednak spowodować, że czasem wpadnie ”w dołek”.

W moim szpitalu wielu lekarzy ma amerykański styl mówienia pacjentowi bezpośrednio wszystkiego. Bawią się w Pana Boga. Biorę ich na rozmowę i staram się wytłumaczyć, że nie wolno tak mówić i tak robić, bo czasem naszym obowiązkiem jest nie tylko leczyć, ale również zapewnić godny sposób umierania. Śmierć jest ostatnim momentem życia i do życia należy – jak pisał Jan Paweł

II, więc my musimy dbać również o to, by pacjent godnie potrafił umrzeć.

Każdy z nas, choć niewielu zdaje sobie z tego sprawę, może zaobserwować cuda, które się wokół nas dzieją. Jeden z nas mniej ich doświadcza, drugi więcej. Ja miałem to szczęście, że obcowałem z wieloma. Powiem o jednym cudzie, który wywarł na mnie duże wrażenie i będę go zawsze pamiętał. W tym samym czasie i w tej samej sali leżało dwóch pacjentów w podobnym wieku, między 60 a 70 lat. Jeden umierający po operacji raka żołądka z powodu ostrej niewydolności trzustki i powikłań po operacji, niewierzący, z nieciekawą przeszłością komunistycznego dyrektora, a drugi prosty człowiek, wierzący, po operacji, ale nie onkologicznej, w dobrym stanie. Rozmawiali ze sobą, chociaż się nie widzieli, bo byli przedzieleni parawanem. Pierwszy z nich widział wiarę tego drugiego. Był świadkiem Mszy Świętej, którą odprawił ksiądz – syn tego wierzącego prostego człowieka. Efektem obcowania tych dwóch ludzi było to, że ten komunistyczny, zatwardziały dyrektor nawrócił się, przystąpił do spowiedzi, przyjął sakramenty. Po paru dniach, kiedy ten starszy wierzący człowiek, miał wyjść ze szpitala, nagle zmarł na zawał serca. W tym samym dniu stan tego drugiego człowieka, który miał umrzeć, poprawił się. Wyszedł z beznadziejnego stanu i po dwóch tygodniach został wypisany ze szpitala. Żyje do dnia dzisiejszego, mam z nim bliski kontakt.



Fot. 48. Rafał Muchacki

Powiedział mi kiedyś w rozmowie, że chodzi na grób tego człowieka, o którym myśli, że Pan Bóg go wziął do siebie zamiast niego. Był to jakby dar życia. Mówił mi też, że po rozmowie z tym drugim chorym nagle przypomniał sobie, jak się modlić, bo w młodości był wierzący i praktykujący, a potem być może sława i władza go zmanierowały. I on wtedy zaczął się modlić do Ojca Pio o wstawiennictwo i o zdrowie i Bóg go wysłuchał. Uratował mu życie, a może i dwa życia: to ziemskie i to wieczne. To był taki podwójny cud.

Chciałbym teraz powiedzieć parę słów o władzy parlamentarnej, gdyż jestem obecnie senatorem. Nieodłączną siostrą władzy

jest pycha i często staje przed nami pytanie, czy my potrafimy sobie z tą pychą dać radę. Człowiek władzy traci często kontakt z otaczającym światem, uważa, że wszystko może, że jest panem innych ludzi i nie zauważa, że w pewnym momencie już nie jest nawet panem własnej osoby. Trwa w tym zadufaniu i popełnia błędy, szkodzi sobie i innym. Ta pycha to jest rzecz, która dopada każdego z nas, a przecież w kontekście mojego zawodu, tak łatwo stracić władzę chociażby przez chorobę – dary intelektu, pamięć, rozum. Można je stracić w każdej chwili.

Myślę, że każdy polityk, patrząc na drugiego człowieka, na bliźniego, powinien zakładać, że jest on od niego mądrzejszy i wymaga szacunku. Przykładem takiej postawy był Jan Paweł II. O Ojcu Świętym mówimy jako o przewodniku dusz ludzkich, a przecie był również politykiem z krwi i kości. Był głową państwa Watykańskiego. Był również człowiekiem, który rozmontował komunizm. Potrafił to zrobić również modlitwą. Podobną postawę reprezentował R. Schuman, twórca Unii Europejskiej, którego proces beatyfikacyjny obecnie trwa. Zarówno jeden, jak i drugi mieli autorytet, który objawiał się w sile moralnej, która odwołując się do sumienia ludzkiego, przyczyniała się do dobra wszystkich ludzi.

Powiem o przypadku, kiedy skrzyżowały się w moim życiu medycyna i polityka. Był to grudzień 1981 r. i atak ZOMO na kopalnię "Wujek". Pracowałem wówczas w Centralnym Szpitalu Klinicznym w Katowicach-Ligocie i pamiętam sznur wózków pod izbą przyjęć, na których przywożono rannych górników, brudnych od węgla. Potem wielu z nich poznałem, wspaniałych ludzi. Uczestniczyłem w operacjach tych ludzi. Jedni przeżyli, inni nie. W tym samym dniu, kiedy myśmy operowali tych ludzi, w radiu o godz. 19.00 podano jako jedyną ważną wiadomość ze Śląska, że w jakiejś kopalni wydobyto nad program ileś ton węgla. Przez szacunek do Państwa nie powiem, jakich słów wtedy używałem.

Nie zgadzam się z politykami, którzy tłumacząc się z niektórych zachowań i postaw, mówią o wyborze tzw. mniejszego zła, że byli postawieni w sytuacji przymusowej i uważają, że mieli prawo podjęcia decyzji niegodnej, aby uniknąć jeszcze większej niegodziwości. Jeżeli zdajemy sobie sprawę, że coś jest złe, to nie można tego akceptować. Jest wyraźnie napisane, że zło dobrem zwyciężaj i nie ma alternatywy. Służba, do której polityk jest powołany, nie

może polegać na akceptacji jakiegokolwiek zła. Myślę, że u polityka ważną cechą jest to, żeby się edukował, uczył i potem ten system wartości, który posiada, przekazywał innym, był wzorem postępowania. Do tego jest potrzebne to, o czym mówili moi poprzednicy, czyli pokora. Pokora jest jedną chyba z najważniejszych, również najrzadziej spotykanych cech, nie tylko wśród polityków, ale i wśród ludzi w ogóle. A przecież my musimy pamiętać, że ta pokora to nie tylko zaprzeczenie pychy, ale i zła. Nie wystarczy ubolewać z powodu zła, trzeba starać się, aby je usunąć. Mówienie, że coś jest złe, to tylko stwierdzenie faktu. Trzeba dążyć do tego, żeby to zło eliminować z naszego życia.

Równocześnie człowiek mający władzę powinien mieć ograniczone zaufanie do samego siebie i stale siebie kontrolować. Tak doszedłem do tego pierwszego pytania, postawionego sobie na wstępie: "jaki wpływ ma na mnie władza?" i do mojej odpowiedzi: "nie wiem".

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Przypominam sobie, co opowiadał kiedyś mój brat. Był profesorem fizyki na Uniwersytecie Warszawskim. Kręcony był wówczas film "Iluminacja". Krzysztof Zanussi, reżyser filmu, zaprosił jeszcze przed jego realizacją szerokie grono ludzi, szczególnie ludzi nauki na dyskusję na temat elity. Co to jest elita, kto może należeć do elity i czym powinien odznaczać się członek elity. Dyskusja była długa. Mój brat opowiadał, że na początku wszyscy byli bardzo spięci, bo kamery, bo światła, ale po paru godzinach dyskusja tak rozgorzała, że już nikt na te światła ani kamery nie zwracał uwagi. W trakcie dyskusji mój brat powiedział, że według niego człowiekiem elity może być każdy, który w swojej grupie społecznej, niezależnie czy to będą pracownicy naukowcy, robotnicy budowlani czy sprzątaczkę, bierze odpowiedzialność za swoją grupę, czyli służy tej grupie.

Nawiązując do tych wspomnień, sądzę, że posiadając władzę pierwszym i podstawowym naszym zadaniem i obowiązkiem jest służenie innym. Jeżeli tego nie akceptujemy, to lepiej dla nas i naszych potencjalnych podopiecznych, abyśmy nie dostali kierowniczego stanowiska.

Druga opowieść dotyczy też mojego brata i jego roli w filmie "Iluminacja". Występował w nim jako profesor fizyki mający wykład. Ponieważ wiele ludzi oglądało wówczas ten film, przez pewien czas mój brat był rozpoznawalny. W zimie jechał z rodziną samochodem w góry na narty i gdzieś po drodze ktoś im wyjechał z naprzeciwka, a ponieważ była ślizgawica, wpadli do rowu, dachowali, przy tym ścięli przydrożny słupek. Nic się na szczęście nikomu nie stało. Przyjechała milicja i chciała zasądzić karę za ścięty słupek. Do samochodu mojego brata podszedł kapitan milicji i powiedział, że kara wyniesie 500 zł. To było, jak na te czasy, bardzo dużo. Popatrzył jednak na mojego brata i spytał: "Czy Pan występował w "Iluminacji"? Po twierdzącej odpowiedzi nie kazał płacić kary. Jest to przykład podobny do cytowanego przez Pana Dariusza na temat wpływu popularności. Równocześnie będąc znanym fizykiem zarówno w Polsce jak i za granicą, nigdy tego nie doświadczył.

Marek Buryło (student)

Mam pytanie do Pana Babiara. Jest Pan bardzo znanym komentatorem sportowym: czy popularność nie przeszkadza Panu w życiu?

Przemysław Babiara

Rzeczywiście popularność potrafi zabrać prywatność. Zdarza się, że w miejscach publicznych ludzie zaczepiają, podchodzą i chcą rozmawiać. Pół biedy, jeśli są to sytuacje, w czasie których jestem przygotowany i nastawiony na te spotkania. Dariusz wspomniał, że jestem z wykształcenia aktorem. Popularność powoduje, że my w życiu jesteśmy trochę jak na scenie. Nie zawsze jednak jesteśmy przygotowani na spotkania z obcymi ludźmi. Spieszymy się, jesteśmy czymś zajęci, a one wytrącają nas z równowagi. To jest zawsze trudne. Przyznam jednak szczerze, że ja sam mam dobre doświadczenia. Na ogół spotykam ludzi, którzy są do mnie życzliwie nastawieni. Zdarzały mi się zachowania niesympatyczne moich rozmówców, ale przeważają takie, które mnie budują. Czasem muszę pojechać metrem, bo samochód jest w przeglądzie, i wtedy próbuję się jakoś skryć, schować się za samym sobą. Mimo tego ktoś podchodzi, zagaduje. Moja pierwsza reakcja, nie objawiona: "Miałem sobie coś poczytać, a tu będę musiał rozmawiać". A tym-



Fot. 49. Przemysław Babiarz

czasem potem okazuje się, że ten ktoś zwraca mi uwagę na coś bardzo ważnego albo przekłuwa balon zamknięcia, który we mnie jest.

Mojej popularności nie da się jednak porównać z popularnością takich ludzi, którzy nie mogą prywatnie nawet nigdzie się ruszyć. Wiem z rozmów z Adamem Małyszem, że ma z tym duży kłopot. Wokół jego domu w Wiśle, gdy go budował, z drugiej strony była skarpa. Sprzedający mu posesję gwarantował, że ta skarpa pozostanie niezabudowana. Potem okazało się, że za ogromne pieniądze teren został sprzedany, a ze względu na to, że graniczy z Małyszem, wybudowano tam wysoki budynek, z którego można spoglądać na dom Małysza z góry. Adam ma tego powyżej uszu. On rzeczywiście cieszy się sławą i popularnością

bardzo gęstą i pewnie mógłby coś więcej powiedzieć na temat ich uciążliwości. Ja raczej doznaję dobrych owoców popularności, w zdecydowanej większości bardzo miłych.

Są takie sytuacje, że przyjeżdżamy do hali sportowej na transmisję, w czasie której mam wystąpić i nie ma oddzielnych sektorów. Wtedy zdarza się, że ludzie mnie zagadują, a mnie tymczasem bardzo potrzeba przynajmniej dziesięciu minut przed wejściem na antenę, żeby się skoncentrować i ułożyć sobie w logicznej kolejności to, co powiem. Nie mam umiejętności podzielenia umysłu na kilka części, żeby jednocześnie dowcipnie i swobodnie rozmawiać, a równocześnie koncentrować się. W takich sytuacjach popularność może przeszkadzać. Gdybym jednak miał sporządzić bilans, to ogólnie popularność nie jest dla mnie uciążliwa.

Ks. Marek Miotk

Badania pokazują, że w różnych spotkaniach i dyskusjach telewizyjnych większe uznanie znajdują ci z występujących, którzy wykazują więcej skromności, nie są super doskonali, nie są przemądrzali i potrafią przyznać się do błędów. Czy ludzie, wiedząc o tym, nie wygrywają na tej skromności, żeby zdobyć uznanie, być popularnym? Czy nie ma takiej pokusy?

Dariusz Kowalski

Chciałbym coś dodać, tytułem uzupełnienia mojej wcześniejszej wypowiedzi, może chaotycznej, bo jako aktor najlepiej czuję się, tak jak Przemek powiedział, w gotowych tekstach, kiedy wychodzę na scenę. Kiedy starałem się przygotować do dzisiejszego spotkania, jedno słowo w moich notatkach wziąłem w ramkę: "odpowiedzialność", a dziś nie zostało ono w ogóle przeze mnie użyte. Dla mnie najważniejszymi słowami w kontekście dzisiejszej dyskusji są: pokora i odpowiedzialność.

Bycie człowiekiem władzy czy sławnym wiąże się z byciem na świeczniku, a to stoi w naturalnej sprzeczności z pokorą. Na świeczniku jest pycha i to jest największe niebezpieczeństwo dla człowieka. Walczyć trzeba o to, żeby pycha nie przesłoniła obrazu otaczającego świata i żeby nie utracić kontaktu z rzeczywistością i z samym sobą.

Władza, czy tzw. bycie na świeczniku, wiąże się też ze szczególnego rodzaju odpowiedzialnością – za swoje czyny, słowa, postawy, szczególnie wobec tych, którzy obdarzając kogoś swoim zaufaniem, na tym świeczniku go postavili.

Była tu też mowa o kreowaniu wizerunku osób publicznych. Książd pytał o pokusę udawania skromnego, żeby zdobyć uznanie i popularność. Nie wiem, czy można udać kogoś skromnego. Trudno mi na to odpowiedzieć. Musiałoby to być coś ogromnie wyrachowanego. Trudno mi sobie wyobrazić, że osoba postrzegana przez ludzi jako autentyczna, jako ktoś ludzki, z wadami i słabościami, w rzeczywistości tylko udaje kogoś innego, niż naprawdę jest. Musiałoby to być jakieś ogromne zakłamanie, permanentne aktorstwo.

Kreowaniem swojego wizerunku są często zainteresowani politycy, słyszymy o metodach kreatorów, którzy podpowiadają, na przykład, jak układać ręce. Raptem widzimy polityka, który dla wszystkich ludzi myślących w tym kraju jest synonimem kogoś nieokrzesanego, politycznego awanturnika, jak układając w określony sposób ręce, kreuje się na kogoś, kto ma coś mądrego do powiedzenia, czy na człowieka łagodnego, zrównoważonego i pełnego ogłady, bo wyko-



Fot. 50. Dariusz Kowalski

nuje kilka prostych gestów, które są przez specjalistów mu zadane. Myślę, że w polityce można tak zrobić. To też jest jedna z ciemnych stron władzy i popularności. Kreowanie swojego wizerunku, żeby przedstawić inny, zafałszowany obraz własnej osoby dla osiągnięcia określonych korzyści – zdobycia jeszcze większej władzy, głosów wyborców lub utrzymania już posiadanych wpływów. Równocześnie widzimy, że ludzie, którzy mówią to, co myślą, często rzeczy niepopularne, bolesne, choć prawdziwe, są zaraz odrzucani. Nie lubimy, kiedy nam się mówi trudne prawdy, nie chcemy bolesnej kuracji. Chcemy szybko schudnąć, szybko wyzdrowieć, coś osiągnąć bez wysiłku. Jak ktoś nam proponuje trudną drogę, mówimy: "nie". Chcemy szybko, łatwo. No i politycy często starają się do tego dostosować... To mówię jako widz, jako osoba obserwująca.

Rafał Muchacki

Potwierdzam, że politycy przed kamerami kreują się na ludzi bardzo skromnych, a często poza kamerami są całkiem inni. Niestety duży procent polityków jest właśnie takich. Jednak ludzie, którzy z nimi obcuja, wiedzą, czego można się po nich spodziewać.

Marcin Cyłkowski

Mam pytanie do Pana doktora Muchackiego. Sława to także rozpoznawalność. Dobry lekarz jest rozpoznawany. Czy nikt Panu nie zarzucił, że wykorzystał Pan swoją sławę lekarza, żeby dostać się do polityki? Na listach wyborczych wśród wielu nazwisk, gdy zobaczymy znane nazwisko, myślimy: "O, to dobry lekarz, więc zagłosuję".

Rafał Muchacki

Pochodzę z Bielska Białej, z południa Polski i gdyby ktoś dziesięć lat temu powiedział, że będę politykiem, to bym w to nie uwierzył. To, że stałem się politykiem, była moją absolutnie świadomą decyzją, która wiązała się z tym, że w jakimś momencie zauważyłem, że pewne środki, które będąc dyrektorem Centrum Onkologii, musiałem zdobyć, przerastają moje możliwości. Nie mogłem, na przykład, zakupić ze środków ministerstwa żadnej aparatury do napromieniania chorób nowotworowych. Zostałem politykiem, tylko dlatego, żeby być bliżej władzy, żeby będąc najpierw posłem, a teraz senatorem, móc przekonać pewnych ludzi, że istnieją ośrodki pro-

wincjonalne, gdzie też są ludzie chorzy. Widząc, jakie środki idą do głównych ośrodków, jak stolica, Wrocław czy Kraków, a jakie tu na prowincję, uważałem to za jawną niesprawiedliwość. Z tego tylko powodu stałem się politykiem. Muszę powiedzieć, że to się opłaciło. I prawdą jest to, że bycie lekarzem rozpoznawalnym w regionie, na moim terenie, zdecydowanie mi pomogło. Absolutnie ma Pan rację, bo nie byłem człowiekiem jakby znikąd. Byłem znany z tego, że przez 30 lat w tym terenie pracowałem, operowałem. To mi zdecydowanie pomogło wygrać wybory i wejść do parlamentu.

Opowiem Państwu jeszcze anegdotę, jak wygląda sprawa kreowania się polityków. Jest to historia z poprzedniej kadencji parlamentu, kiedy znany polityk Andrzej Lepper był wicemarszałkiem sejmu, a u nas w klubie jednym z parlamentarzystów był Arkady Fiedler, syn Arkadego Fiedlera (czyt. Fidler), znanego polskiego pisarza. Była debata polityczna i tenże Arkady Fiedler miał wystąpić. Pan marszałek Lepper mówi: "W imieniu takiego a takiego klubu głos zabierze Pan poseł Arkady Fiedler". Arkady wychodzi i mówi: "Panie marszałku, bardzo przepraszam, nazywam się Fidler". Na co Pan marszałek Lepper mówi: "Bardzo Pana przepraszam, ale tu pisze Fiedler". Na tym przykładzie chciałem pokazać, że czasem niektórzy politycy kreują się na kogoś, kim nie są i to dotyczy wszystkich ugrupowań.



Fot. 51. Rafał Muchacki

Przemysław Babiarz

Ważne jest, żeby odróżnić skromność od fałszywej skromności. Odwołam się do ludzi uprawiających zawód aktora. Aktorstwo możemy podzielić na dobre i złe. Na czym polega to złe? Na zewnętrżności. Każdy, kto będzie szukał budowania postaci, którą ma zagrać poprzez środki zewnętrzne i będzie starał się coś udawać, ten zostanie szybko rozszyfrowany przez widownię jako nieautentyczny. Natomiast próba budowy postaci od strony tematu i poprzez własne doświadczenia, czyli uruchomienie swojego wnętrza, powoduje, że aktor na scenie czy przed kamerą jest odbierany jako ktoś autentyczny.



Fot. 52. Słuchacze: w pierwszym rzędzie od lewej Ewa Smolska (spisująca tekst z nagrania), trzeci w prawo Marcin Cylkowski

Łatwo też odróżnić pokorę od fałszywej skromności. Otóż jeżeli ktoś jest taki istotnie wewnętrznie, będziemy go odbierali nie poprzez gesty, ale poprzez całość jego istoty w danym widowisku telewizyjnym. Jeżeli natomiast on będzie wykonywał tylko gesty, z czasem te gesty muszą stać się nieautentyczne.

Pokory nie należy mylić z brakiem wyrazistości. Pokora odnosi się do mnie samego, żeby moja osoba, moje ja nie przesłaniało sprawy. Ja mogę bardzo gorąco i wyraziście działać w jakiejś sprawie. Czy można powiedzieć, że Chrystus był pokorny? Był. A czy przepędził handlujących w świątyni? "Gorliwość o dom Twój pożera mnie" – przepędził. Zachował się gwałtownie i wyraziście. Tak zachowywał się cały czas, inaczej nie byłoby czym wypełnić treści Ewangelii. Światła pod korcem też się nie chowa. Człowiek pokorny może być równocześnie wyrazisty. Jest jednak wyrazisty w sprawie, a nie na własny temat. Po tym można odróżnić pokorę od fałszywej skromności.

Radosław Rzążewski

Mam pytanie do Pana doktora Muchackiego. Ostatnio zmarł wybitny profesor Religa. Jak jego sława, jego władza wpłynęła na jego życie, szczególnie w ostatnich jego dniach?

Rafał Muchacki

Profesora Religę znałem osobiście od wiele lat. Był przez dwie kadencje rektorem Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, gdzie często spotykaliśmy się. Potem zetknęliśmy się w parlamencie, kiedy był ministrem zdrowia, a ja posłem. Pracowałem wtedy w Komisji Zdrowia. Naprawdę był to bardzo fajny chłop. Taki człowiek-dusza towarzystwa. Był to chirurg ze wszystkimi zaletami tego zawodu, ale również ze wszystkimi jego wadami. Reprezentował wspaniały kierunek wiedzy, ale był pełen nałogów, tak jak zresztą i ja. Mówiąc o medycznej stronie życia, mam o tym człowieku bardzo wysokie mniemanie. Nie dlatego, że on tylu pacjentów zoperował, że tyle uratował istnień. To robi każdy lekarz. On oczywiście te operacje wykonywał perfekcyjnie, wielu moich kolegów u niego pracowało. Dla mnie jego wielką zasługą dla polskiej medycyny było to, że wykształcił tylu uczniów. Dzisiaj w Polsce większość szefów oddziałów i klinik kardiologicznych to uczniowie prof. Religi i na tym polegała jego wielkość. W sprawach politycznych i reformy służby zdrowia mieliśmy odmienne zdania. Muszę natomiast powiedzieć, że on był otwarty na dyskusję, wiele rzeczy akceptował. Na tym zresztą polega polityka, że mamy różne zdania i że jedna strona może przekonać drugą do swoich racji.

Z onkologicznego punktu widzenia byłem na niego wściekły i mu to powiedziałem, gdy on przyznając się do raka płuc, oświadczył mi, że to nie jest związane z paleniem papierosów: "Panie Profesorze, co Pan takie rzeczy opowiada". Ostatni raz widziałem go na 3-4 tygodnie przed śmiercią, jak w Warszawie otrzymywał wyróżnienie dla człowieka najbardziej zasłużonego dla medycyny w roku 2008. W jednym z ostatnich wywiadów powiedział jako przestrozę: "nie palcie". Już wtedy uznawał związek choroby z paleniem.

Mieliśmy osobisty kontakt. Dla mnie był to wybitny człowiek, pomimo że miał inne od moich poglądy.

Elżbieta Pierścioneł

Nawiążę wierszem do wypowiedzi Pani Rektor, że każda osoba mająca sławę lub władzę powinna służyć innym:

Hipokryzja i nepotyzm

Codziennie gubię się w znaczeniu słów
 funkcjonujących powszechnie w krwioobiegu władzy.
 Zaglądam do słownika,
 podaję dla przykładu:
 ostracyzm,
 oportunizm,
 obstrukcja
 czy sekularyzacja.
 Dźwięcznie brzmią, mądrze.
 Są przewrotne;
 niosą bojkot,
 dla doraźnych korzyści non profit,
 zmieniają poglądy niczym chorągiewki kierunek na wietrze,
 łamią zasady,
 za nic mają wartości,
 utrudniają, hamują,
 oddalają od Boga i człowieka.
 Chciałabym, żeby nie istniały.
 Zastanawiam się, czy wówczas
 byłibyśmy chociaż odrobinę mniej zakłamanii?

Ks. Adam Zelga

Chciałem Panom podziękować nie tylko za udział w Konwersatorium, ale za wasze świadectwa i ich szczerość. Wypływały z was. To było bardzo wzruszające. Nie było w tym żadnej gry. Mam głębokie przekonanie, że chociaż tutaj nam, starzejącym się, wydaje się, że młodzież nas nie słucha, to owoce Konwersatoriów, zawierających tak szczere i głębokie wypowiedzi muszą powstać.

Na zakończenie, żeby zachęcić do kolejnego Konwersatorium, zaśpiewam fragment piosenki Edwarda Stachury:

Nie omami nas forsa, ni sławy pusty dźwięk,
 Inną ścigamy postać, realny zjawy tren.

Ruszał Bruno, idziemy na piwo, niech nie brakuje tam nas

Od stania w miejscu nie jeden już zginął, nie jeden zginął już świat.

Z nagrania spisała Ewa Smolska

Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?

Cytaty

*Jan Paweł II. Sport i turystyka – ożywcze siły w służbie
wzajemnego zrozumienia, kultury i rozwoju krajów
(XXV Światowy Dzień Turystyki 2004)*

W tym roku temat Dnia brzmi: „Sport i turystyka – ożywcze siły w służbie wzajemnego zrozumienia, kultury i rozwoju krajów”. W istocie, sport i turystyka ściśle się ze sobą wiążą przy okazji wielkich wydarzeń sportowych, w których uczestniczą kraje z danego regionu bądź całego świata, takich jak na przykład Igrzyska Olimpijskie, które nie powinny odstępować od swego szlachetnego powołania do ożywiania ideałów współżycia, zrozumienia i przyjaźni. Dotyczy to również wielu innych przypadków mniej spektakularnych, takich jak aktywność sportowa w środowisku szkolnym czy w zrzeszeniach działających na terenie dzielnicy bądź jednej miejscowości. W innych sytuacjach to właśnie uprawianie określonej dyscypliny sportu jest motywacją do zaplanowania podróży albo urlopu. Sport zatem jest zjawiskiem obejmującym zarówno sławnych zawodników, ich drużyny i kibiców, jak i skromne kluby, liczne rodziny, młodzież i dzieci, a w ostatecznym rozrachunku wszystkich, którzy aktywność fizyczną uznają za jeden z istotnych elementów swych podróży.

Św. Paweł apostoł dla przedstawienia chrześcijanom w Koryncie życia chrześcijańskiego posłużył się obrazem atlety – wzoru połączenia wysiłku i wytrwałości (por. 1 Kor 9, 24-25). Istotnie, właściwemu uprawianiu sportu musi towarzyszyć umiarkowanie i umiejętność wyrzeczenia; bardzo często wymaga ono ponadto odpowiedniego poczucia przynależności do zespołu, postawy szacunku, docenienia zalet drugiego, uczciwości w grze i pokory potrzebnej do uznania własnych ograniczeń. Wreszcie sport, zwłaszcza w swych formach o słabszej rywalizacji, sprzyja dobrej zabawie i spędzaniu czasu w gronie przyjaciół.

A zatem również dla chrześcijanina sport może być pomocą w rozwijaniu cnót kardynalnych – roztropności i sprawiedliwości, męstwa i umiarkowania – w wyścigach po „nieprzemijający” wieńiec, jak pisze św. Paweł.

*Jan Paweł II. Turystyka jako narzędzie walki z ubóstwem
oraz źródło pracy i ładu społecznego
(XXIV Światowy Dzień Turystyki 2003)*

27 września br. będziemy obchodzić Światowy Dzień Turystyki pod hasłem: „Turystyka jako narzędzie walki z ubóstwem oraz źródło pracy i ładu społecznego”. Turystykę należy uznać za szczególny przejaw życia społecznego, którego wymiar ekonomiczny, finansowy oraz kulturowy wywiera decydujący wpływ na losy jednostek i narodów. Biorąc pod uwagę fakt, że turystyka ma bezpośredni związek z integralnym rozwojem osoby, należy tak ją rozwijać, aby mogła służyć – podobnie jak inne formy działalności człowieka – budowaniu cywilizacji, i to w znaczeniu najbardziej autentycznym i pełnym, to znaczy „cywilizacji miłości”

Najbliższy Światowy Dzień Turystyki poświęcony będzie głównie turystyce w odniesieniu do ubóstwa, jakie istnieje na każdym kontynencie. Dramat ubóstwa stanowi jedno z najpoważniejszych wyzwań naszych czasów.

Turystyka może odegrać istotną rolę w walce z ubóstwem, zarówno w aspekcie ekonomicznym, jak też społecznym i kulturowym. Podróżując poznajemy różne miejsca i sytuacje; możemy uświadomić sobie, jak ogromna jest przepaść oddzielająca kraje bogate od ubogich. Turystyka stwarza możliwość wykorzystania zasobów i produktów lokalnych oraz zatrudnienia najuboższych warstw ludności.

Podróż i pobyt daleko od domu wiążą się zawsze ze spotkaniem różnych osób i kultur. Wszędzie, a zwłaszcza w krajach rozwijających się, turysta i odwiedzający nieuchronnie styka się z bolesną rzeczywistością ubóstwa i głodu. Pobyt w danym miejscu powinien być okazją do dialogu między osobami o takiej samej godności, sposobnością lepszego poznania miejscowej ludności, jej historii i kultury. Powinien wiązać się z autentyczną gotowością zrozumienia drugiego człowieka, co zaowocuje konkretnymi czynami solidarności.

Owa solidarność wyraża się przede wszystkim w poszanowaniu godności ludzkiej miejscowej ludności, jej kultury i obyczajów, w postawie dialogu, który ma na celu integralny rozwój każdej osoby. W czasie wypraw turystycznych postawa ta winna być jeszcze

bardziej radykalna, albowiem lepiej widoczna staje się wtedy różnorodność cywilizacji, kultur, warunków społecznych i religii. Moim żywym pragnieniem jest, aby turystyka stawała się coraz bardziej skutecznym narzędziem w walce z ubóstwem, we wspieraniu osobowego i społecznego wzrostu jednostek oraz narodów, a także w umacnianiu współpracy pomiędzy narodami, kulturami i religiami.

KONWERSATORIUM XXXI (18.04.2009 r.)

Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?

Prowadzący: ks. Adam Zelga, (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), Jerzy Engel (vice-prezes PZPN, selekcjoner reprezentacji Polski w piłce nożnej 2000-2002), Ewa Twarowska (archeolog, organizatorka pielgrzymek), Jarosław Prugar (inżynier budownictwa, turysta rowerowy i narciarski), Tomasz Leżański (olimpijczyk i paraolimpijczyk, reprezentant Polski w łucznicztwie) i Krzysztof Wojtkowski (wychowawca młodzieży, były sportowiec).

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie witam naszych gości. Krótco wszystkich przedstawię. Pierwszy od Państwa prawej strony siedzi pan Krzysztof Wojtkowski, wychowawca młodzieży i były sportowiec. Następny Tomasz Leżański, reprezentant Polski, olimpijczyk i paraolimpijczyk. Na Olimpiadzie reprezentował piękny sport – łucznictwo. Kolejno pani Ewa Twarowska, osoba o bardzo szerokich zainteresowaniach, od archeologii, przez turystykę, do organizacji pielgrzymek. Pochodzi ze znanej rodziny, dotkniętej z różnych stron wydarzeniami historycznymi. Następny Jerzy Engel, mój przyjaciel, wiceprezes Polskiego Związku Piłki Nożnej, selekcjoner reprezentacji Polski w piłce nożnej 2000-2002. Jemu zawdzięczam powołanie mnie na kapelana reprezentacji księży w piłce nożnej, co było jedną z większych moich życiowych przygód. Ostatni od mojej lewej strony siedzi pan Jarosław Prugar. Jest inżynierem, kocha sport i jutro zaczyna sezon rowerowy we Wrocławiu. Jest również miłośnikiem nart.

Dążenie do doskonałości – „bądźcie doskonali” – jest przesłaniem zarówno ewangelicznym, jak i sportowym. Zarówno sport, jak i Ewangelia preferują ćwiczenia, pracę nad sobą, doskonalenie się, aby do tej doskonałości dojść. Mówią bardzo wiele o czymś, co można nazwać ascezą, czyli przy twórczym wysiłku nałożenie na siebie ograniczeń po to, aby być coraz doskonalszym.

Jan Paweł II bardzo kochał sport i przyjmował u siebie wielu



Fot. 53. Panel spotkania: od prawej Krzysztof Wojtkowski, Tomasz Leżajski, Ewa Twarowska, Jerzy Engel, Jarosław Prugar i ks. Adam Zelga

sportowców. W 2000 roku był ogłoszony dzień poświęcony spotkaniu w Watykanie sportowców całego świata. Z panem Jerzym mieliśmy radość uczestniczyć w tym dniu. Pan Jerzy był sędzią meczu, który niewątpliwie przejdzie do historii piłki nożnej. Reprezentacja polskich księży rozgromiła w Watykanie Gwardię Szwajcarską 8:1. Ten jeden to oznaka naszego miłosierdzia!

Jerzy Engel

Dla nas szkoleniowców, trenerów, ludzi, którzy zajmują się zawodowo sportem, jest ogromnie ważne mieć bezpośredni kontakt z tymi, co ten sport uprawiają lub oglądają go na boiskach, a przynajmniej w telewizorach. Ja całe swoje życie spędziłem ze sportem, mogę powiedzieć, że od dziecka byłem skazany na sport, moi rodzice też byli mocno usportowieni. Studiując na Akademii Wychowania Fizycznego, od początku wiedziałem, czego w tym sporcie szukam. Chciałem być szkoleniowcem, trenerem, pracować z ludźmi, żeby poprowadzić ich do mistrzostwa sportowego. Dobry Bóg pokierował tak moją drogą życiową, że w pewnym momencie otrzymałem możliwość samemu wyselekcjonować zespół, a następnie spróbować powalczyć razem z nim i dokonać czegoś, czego przez wiele, wiele lat nie udawało się zrobić. Wtedy, kiedy otrzymałem nominację na selekcjonera narodowej reprezentacji, nasunęło mi



Fot. 54. Jerzy Engel

się pytanie: dlaczego tym chłopcom nie udało się dotychczas awansować? Dlaczego przez szesnaście lat, gdy starali się awansować do dużych imprez, takich jak Mistrzostwa Świata czy Mistrzostwa Europy, zawsze im czegoś brakowało? A przecież byli to chłopcy, którzy grali naprawdę w dobrych klubach, w większości za granicą, w mocnych zespołach, w najlepszych klubach europejskich we Włoszech, w Niemczech, we Francji, a jednak nie potrafili stworzyć zespołu. Oni wcześniej grali, walczyli, ale było to ulotne i uciekało. Musimy rozgraniczyć sport indywidualny od sportu zespołowego. W sporcie zespołowym olbrzymią rolę odgrywa wspólnota, odgrywa coś takiego niewidzialnego, magnetyzm, który wytwarza się między zawodnikami. I kiedy jest ta harmonia w zespole, kiedy uda się złapać tego niewidzialnego, dwunastego zawodnika, to wtedy ten zespół ma duszę. To wtedy się mówi, że ten zespół chcemy oglądać. To jest tak jak z obrazem w muzeum, kiedy się idzie do galerii, oglądamy wiele obrazów fantastycznych, one są wszystkie genialnie namalowane, ale przy jednym się zatrzymujemy. Ten jeden oddziałuje na nas czymś niewidzialnym, czego nie potrafimy określić, to nas zatrzymuje i właściwie nie można wzroku oderwać od tego obrazu.

Kiedy obejmowałem reprezentację, robiono różne sondy, rysowano i mierzono słupki. Okazało się, że w momencie kiedy zostałem selekcjonerem narodowej reprezentacji, była ona jednym z trzech najgorzej kojarzących się Polakom produktów. Taki dostałem i trzeba było coś z tego produktu stworzyć. Zacząłem od tego, żeby z tych zawodników zrobić zespół, zrobić wspólnotę, zrobić coś, co powiąże ich razem, i coś, co pokaże im wspólny cel, żeby oni poczuli tę reprezentację jako coś naprawdę swojego. Wcześniej byli zupełnie wyobcowani z tego, co dzieje się w Polsce. Harmonię, oprócz typowo sportowych spraw, przynosi zupełnie coś innego. Każdy musi być w porządku z samym sobą, musi mieć wewnętrzną harmonię, żeby zacząć wierzyć w możliwość awansu. Jeśli chodzi o harmonię wewnętrzną i o wiarę, to dotykamy bardzo delikatnej sfery, bo sfery duchowej. W tej sferze najlepszym szkoleniowcem jest duchowny. Padł wtedy pomysł, żeby zaprosić do współpracy z nami księdza Adama i księdza Mariusza. Wtedy nie było to popularne, aby reprezentacja miała swoich kapelanów i my tego nie nagłaśnialiśmy. Przed wyjazdem na Mistrzostwa Świata, kiedy bębenek nadziei został podbity szalenie wysoko, wieczorem o godzinie 10, kiedy nikt o tym nie wiedział, olbrzymi autokar, który woził nas na różnego rodzaju zajęcia, przyjechał tutaj na Ursynów, do tej małej kapliczki, gdzie ksiądz Adam i ksiądz Mariusz odprawili specjalną Mszę Świętą w intencji reprezentacji narodowej. Oczywiście, gdybyśmy wtedy ogłosili to gdziekolwiek, to w ogóle byśmy nie mogli przedrzeć się przez te drogi, bo popularność tamtej reprezentacji była ogromna. Po szesnastu latach awansowali do tak dużej imprezy! Przyjazd na Ursynów był na prośbę piłkarzy, którzy chcieli przed wylotem spotkać się jeszcze z naszymi duchownymi. Władze związku nie zgodziły się na to, żeby zabrać z nami księży na Mistrzostwa Świata. Może było to przyczyną pewnych frustracji, które spowodowały, już tam na miejscu, że nie udało się osiągnąć lepszego wyniku.

Widzieliśmy niedawno Artura Boruca, który bronił w bramce przeciwko Irlandii. Obserwowaliśmy bardzo sfrustrowanego człowieka, który nie ma wewnętrznej harmonii, który nie ma spokoju, który jest wyobcowany z zespołu. Ma własne problemy, które przenosi się na problemy reprezentacji, a dalej na problemy ogólnonarodowe, bo wszyscy kibicujemy rozgrywkom narodowej reprezen-

tacji. Mamy namacalny przykład tego, jak ważna jest wewnętrzna harmonia duchowa sportowca.

Zadaje sobie nieraz pytanie: czym tak naprawdę jest sport? Jakie ma on znaczenie dla nas i jak pracować, w ilu kierunkach podążać, jak wielu spraw dotyczyć, żeby osiągnąć jak najlepszy wynik. W sportach indywidualnych jest to łatwiejsze, bo pracować z jedną osobą jest znacznie prościej. Również zawodnik pracuje tylko nad sobą, aby przez pokonanie swoich słabości zwyciężyć. Natomiast w sportach zespołowych wszystkie problemy, które dotyczą poszczególnych zawodników poza sportem, są przynoszone do szatni, a potem do zespołu i ostatecznie na stadion. Te frustracje mogą się w pewnym momencie uwidaczniać. Dlatego wielką wagę przykładam do tego, żeby pracować nad stroną psychiczną, nad emocjami zawodników, nad tym, żeby mogli najpierw spokojnie sami z sobą porozmawiać, ułożyć sobie to wszystko wewnątrz, a dopiero później wspólnie zastanawiać się, jak zrobić, żeby wygrać. I to się udało.

Pamiętam, kiedy byliśmy na spotkaniu u Jana Pawła II, był on świetnie zorientowany, jeśli chodzi o naszą narodową reprezentację. Byliśmy po trzech meczach na pierwszym miejscu w grupie. W czasie rozmowy z Papieżem pozwoliłem sobie zażartować: „my nie wiemy jeszcze, czy awansujemy, ale pewnie Ojciec Święty już wie, no, bo tam na górze wszystko jest już poukładane?” A on mi odpowiedział: ” Ja wiem, a ty dowiesz się za rok”. Nie odpowiedział mi jednoznacznie, ale pobłogosławił koszulkę narodową, którą przywiozłem.

Zbliżał się również mecz, o którym mówił już ksiądz Adam, reprezentacji księży z Gwardią Szwajcarską. Papież wychodząc ze swojej biblioteki, gdzie nas przyjął na audyencji, odwrócił się i spoglądając na naszych księży, powiedział tylko dwa słowa ”dowalcie im”. Ponieważ sędziowałem ten mecz, wiem, że wynik 8: 1 zadowolili w zupełności naszego Papieża.

Sport to nie tylko kształtowanie ciała, to nie tylko dobre przygotowanie fizyczne, to nie tylko dobra selekcja zawodników, to coś znacznie głębszego, o czym nie mają zupełnie pojęcia media zajmujące się sportem. Na przykład, dlaczego zawodnik płacze, jak przegra? Przecież ma wszystko, ma fantastyczną rodzinę, ma pieniądze, a siedzi i płacze? Poważny mężczyzna – siedzi i płacze! On przegrał coś zupełnie innego, coś, co dotknęło jego wnętrza. To są momen-

ty, których tak naprawdę ani dziennikarze, ani media nie rozumieją. Jak ważna jest harmonia i przygotowanie do tego widowiska, jakim jest mecz, gdzie wszystko odbywa się pod niesamowitą presją. Jeżeli gramy w reprezentacji szkoły, to ciąży na nas presja, powiedzmy – kilkuset uczniów tej szkoły. Jeśli jesteśmy w Polonii Warszawa, to mamy presję już 2000 ludzi, którzy są na meczu. Jeśli gramy w Legii Warszawa, to może dotyczyć nawet 10 000 tysięcy osób. Ale kiedy jestem w reprezentacji narodowej, to czuję presję kilkudziesięciu milionów ludzi. Jak kamera idzie po twarzach zawodników i jest grany hymn narodowy, to niektórzy nie śpiewają. Dlaczego? Bo nie mogą. Spróbujcie sami sobie wyobrazić Państwo, że stoicie z orzełkiem narodowym na piersi, że reprezentujecie kraj i że teraz cała Polska patrzy na was i trzeba zaśpiewać hymn narodowy, bo za chwilę będzie mecz. Nogi się trzęsą, wewnątrz cały człowiek drży. Niekiedy zawodnicy nie wytrzymują tej presji i boją się jej bardziej niż przeciwników. Pamiętam opowieść mistrza świata w brydżu Pana Janusza Połecia: "Kiedy zdobyliśmy mistrzostwo świata teamów w brydżu w 1978 roku, dałem żonie kamerę, mówiąc: jak będą wręczać mi medal, to nagraj". Po powrocie do domu, jak przeglądaliśmy film, okazało się, że żona tak płakała z radości, że nie mogła mnie nagrać.

Świętej pamięci Władek Komar, który był niesamowitym atletą, wspaniałym człowiekiem, gdyby był tu z nami, śmielibyśmy się cały czas, bo był życiowym wesołkiem. Jednak kiedy zdobył mistrzostwo olimpijskie i stanął na najwyższym podium i gdy zagrał hymn narodowy, płakał jak małe dziecko. Sport to nie jest jednoznaczność fizyczna, 90% spraw odbywa się wewnątrz człowieka. My sobie nawet nie zdajemy sprawy, ile mamy wewnątrz siebie niewykorzystanych możliwości i to w każdej dziedzinie. Kiedyś pytałem jednego z moich piłkarzy: "Ile biegasz na 100 metrów?" "Okolo 13 sekund" – powiedział. "A gdybym puścił za tobą rotwajlera?" – zażartowałem. Jose Murinio, jeden z największych trenerów na świecie, uważa, że w każdym człowieku tkwią nieograniczone możliwości, trzeba je tylko odnaleźć i umieć je wydobyć, czyli dotrzeć do człowieka w taki sposób, ażeby zagospodarować te wszystkie rezerwy, które ma w sobie. To jest właśnie rola trenera i selekcjonera – poznać nie tylko fizyczne możliwości zawodnika, ale również dotrzeć do jego wnętrza, poznać jego duszę.

Tomasz Leżański

Żebyście Państwo zrozumieli, czym dla mnie był sport, muszę w wielkim skrócie opowiedzieć swoją historię. Tak się nieszczęśliwie stało, że w wieku sześciu lat zachorowałem na chorobę Heine-Medina. Zaowocowało to niestety porażeniem jednej nogi. Musiałem chodzić wsparty o kuli i moje beztrioskie dzieciństwo legło w gruzach. W życiu miałem chyba jednak dużo szczęścia, gdyż dobry Bóg obdarzył mnie duchem sportowca. To wyglądało trochę dziwnie, bo kulawy sportowiec nie mieści się w ramach postrzegania sportowca jako herosa, wspaniałego człowieka. Byłem jednak uparty i udało mi się trafić do klubu łuczniczego i na wspaniałego szkoleniowca, który takiego chłopaka, który chodził z laską, nie odrzucił. Dał mi łuk do ręki i powiedział "Próbuj, a ja będę cię uczył". Próbuję do dzisiaj, bo już 48 lat strzelam z łuku. Niestety, mój trener już nie żyje i wielu moich sukcesów nie doczekał. W 1972 roku znalazłem się w reprezentacji Polski na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium jako jedyny łucznik z Polski i było to dla mnie ukoronowaniem dotychczasowej kariery sportowej. Niestety, ogromna presja, jakiej poddawany jest sportowiec, o której już mówił Pan Jerzy Engel, nie pozwoliła mi uzyskać takiego wyniku, jakbym się spodziewał i do jakiego byłem przygotowany. Zająłem 45. miejsce na 90 startujących, czyli w połowie stawki. Przez



Fot. 55. Tomasz Leżański

osiem lat byłem w kadrze narodowej i startowałem na mistrzostwach świata i Europy, zajmując dosyć wysokie miejsca. Niestety, jest tak w sporcie, że nie zawsze osiąga się na arenie sportowej, podczas meczu to, do czego człowiek jest zdolny na treningu.

Gdy już zakończyłem karierę zawodnika, postanowiłem, że z racji swojej niepełnosprawności mogę startować w sporcie dla niepełnosprawnych. W 1983 roku zacząłem strzelać z łuku w strukturach niepełnosprawnych. O zgrozo, okazało się, że to nie jest zabawa, jak początkowo sądziłem, lecz że jest to w pełni profesjonalny i wyczynowy sport. Zilustruję to paroma przykładami. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Sydney w 2000 roku widziałem bieg na 100 m w kategorii mężczyzn wysoko amputowanych, tzn. biegł zawodnik z protezą i z mechanicznym kolaniem. Trudno uwierzyć, ale ten zawodnik pokonał 100 m w 11 sekund. Drugi przykład, też z lekkoatletyki. Skok wzwyż. Zawodnik jednonożny, dosłownie jednonożny, bo noga druga wyluskana ze stawu biodrowego. Nawet nie ma do czego doczepić protezy. Ten zawodnik skakał wzwyż. Jak to wyglądało? Otóż był normalny rozbieg, normalna poprzeczka i normalny zeskok. On wychodził o kulach na rozbieg, odrzucał kule, biegł do poprzeczki na jednej nodze i skakał. W Atenach wygrał zawodnik, który przeskoczył nad poprzeczką wysokość 1,89 m. Trudno to sobie wyobrazić, jak jednonożny zawodnik mógł się odbić, skoczyć i przelecieć na takiej wysokości nad poprzeczką. W innej dyscyplinie sportu, np. podnoszeniu ciężarów, zawodnicy nie dźwigają ciężaru z ziemi, bo tego oczywiście nie mogą, lecz wyciskają sztangę, leżąc na ławeczce. Zawodnik, który ważył poniżej 90 kg, wyciskał sztangę, która ważyła 230 kg. Takich rezultatów nie da się osiągnąć bez podstawowego przygotowania, bez całego zespołu ludzi, którzy zawodnika przygotowują. Na podstawie tego, co obserwuję, uważam, że sport niepełnosprawnych jest w pełni wyczynowy, traktowany niestety w Polsce trochę z przymrużeniem oka. Wielu mówi "no dobrze, niech się bawią".

Sport niepełnosprawnych ma jeszcze jedną płaszczyznę, bardzo ważną w mojej opinii. We współczesnym świecie tak się niestety dzieje, że bardzo wielu młodych ludzi w ciągu ułamka sekundy przesiada się z pięknego samochodu na wózek inwalidzki. Cały świat im się wtedy wali, zamykają się w domu i uważają, że wszystko się skończyło. Nieprawda. Właśnie sport ludzi niepełnospraw-

nych, ludzi, których dotknęło, w jakimś momencie życia ogromne nieszczęście pokazuje, że oprócz tego nieszczęścia, które trzeba znosić i ten krzyż trzeba nieść, to można jeszcze coś w życiu zrobić. Szkoda, że telewizja czy prasa rzadko pokazuje tych wspaniałych sportowców, którzy mogliby świecić przykładem i zachęcać innych, żeby spróbowali po prostu żyć na nowo. Znam wiele takich przykładów, sam zachęciłem kilku ludzi na wózkach do uprawiania sportu i robią to z dużym poświęceniem i zapałem. Moja kariera sportowa osoby niepełnosprawnej trwa do dzisiaj. Jeszcze trenuję i dalej strzelam. Zdobyłem srebrny medal w Atlancie podczas Igrzysk Paraolimpijskich, grając w zespole oraz indywidualnie srebrny medal w Atenach. Zdobywałem medale mistrzostw świata i Europy, tak że uważam, że w zupełności spełniłem swoje oczekiwania. Ale niepełnosprawni niekoniecznie muszą realizować się w sporcie. Nie każdy przecież ma duszę sportowca. To może być realizacja w zupełnie innych dziedzinach. Ważne jest, żeby pokazać, że można coś zrobić.

Chciałbym powiedzieć jeszcze parę słów o ograniczeniach. Wydaje się czasami, że ludzie niepełnosprawni mają jakąś barierę, której nie mogą przekroczyć. Na przykład, strzelanie z łuku kolarzy się wszystkim z sokolim okiem, z tzw. celnym okiem. Tymczasem okazuje się, że z łuku strzelają ludzie niewidomi i trafiają w tarczę. Jaka jest ogromna radość takiego człowieka, kiedy słyszy trafienie i opiekun mówi mu, że trafił.

Mówiliśmy już wcześniej o znaczeniu duchowego przygotowania zawodników. Dziś każdy z zawodników, który staje do walki, jest doskonale przygotowany: technicznie i wytrzymałościowo, ale zwycięży ten, który ma więcej duchowej siły, która pozwoli mu sięgnąć wyżej. Na pewno wiele razy Państwo widzieli sportowców, którzy przed startem wykonują znak krzyża i szepczą parę słów. Niektórzy obserwatorzy sportu w momencie, kiedy zawodnik się żegna, uśmiechają się. Co on chce przez to osiągnąć? On po prostu chce wygrać i szuka wszelkich możliwych sposobów na to, żeby być lepiej skoncentrowanym i lepiej przygotowanym.

Jarosław Prugar

Akurat zima się skończyła, to jest odpowiedni moment, aby powiedzieć coś o narciarstwie i to narciarstwie turystycznym, któ-

re mnie bardzo interesuje. Aby uprawiać ten sport, trzeba odpowiednio wcześniej zaplanować wyprawę, przygotować sprzęt i własną sprawność fizyczną. Dopiero wtedy możemy spróbować swoich sił. Wyprawy zimowe, z sukcesem zakończone, dają bardzo dużo wiary w siebie dzięki pokonaniu własnych słabości, gdyż w czasie ich trwania jesteśmy często zdani wyłącznie na siebie. Wraz z moim kuzynem, który jest znanym podróżnikiem z Poznania, miałem okazję odbyć parę takich wypraw zimowych. Serdecznie do nich



Fot. 56. Jarosław Prugar

namawiam, gdyż takie wyprawy dają również poczucie bezpośredniego obcowania z przyrodą.

Pierwsza wyprawa, którą pamiętam, na którą wyruszyłem wraz z kuzynem, prowadziła po Beskidzie Niskim. Kiedy wyszedłem w góry, wiedziałem, że będę pierwszą noc spędzał pod drzewem przy temperaturze -20 stopni. Obawiałem się, czy dam radę? Okazało się, że to wcale nie jest takie trudne. Sądzę, że wielu z nas, siedzących tu na Sali, mogłoby czegoś takiego spróbować. Przeszliśmy wtedy 80 km, nocowaliśmy w lesie, przy niskiej temperaturze i dużej ilości śniegu. To było niesamowite przeżycie, gdyż po raz pierwszy mogłem się sprawdzić w tych zimowych warunkach.

Gdy człowiek dokona czegoś małego, to potem chce dokonać czegoś więcej. Następną naszą wyprawą było przejście z Bieszczad do Beskidu Niskiego. Przeszliśmy wtedy w zimie prawie 200 km. Kolejno zaplanowaliśmy wyprawę do Norwegii, gdzie celem naszym było przejście największego w Europie lodowca Jostedalsglacienu. Było to latem, na przełomie lipca i sierpnia. Przeszliśmy wówczas 80 km po lodowcu. W tego typu wyprawach najbardziej fascynuje mnie to, że człowiek jest sam z przyrodą i zdany tylko na siebie. Wyprawy takie uczą dyscypliny wewnętrznej. Trzeba pamiętać o odpowiednim ubiorze, o prowiancie na całą wyprawę, o właściwym odżywianiu się i o przemierzaniu wyznaczonych odcinków trasy, wcześniej zaplanowanych. Maszeruje się własnym tempem tak, jak kto potrafi. Nie jest to wyścig na czas.

W 2005 roku udało mi się w ciągu trzech tygodni przejść prawie 300 km w Laponii norweskiej, od miejscowości Kirkenes do Kunes. Są to tereny mało dostępne, mimo to w czasie wędrówki spotykałem ciekawych ludzi – Lapończyków, z którymi można było spędzić czas i porozmawiać.

Ostatnią zimową wyprawę odbyłem w 2007 roku, kiedy udało mi się przejść po zamrożonym Bajkale 200 km. To była największa z moich dotychczasowych wypraw, szczególnie pod względem logistyki. Należało zaplanować odpowiednio samoloty oraz komunikację na miejscu z Irkucka do Wrót Olchońskich. Jest to całkowicie inny świat niż Europa. Niektórzy mówili: "Po co się tam pakujesz? Jest to niebezpieczny kraj". Ja jednak uważałem, że warto podjąć takie ryzyko i dać z siebie coś więcej niż przy normalnej jeździe na rowerze czy na nartach. Czasami warto zaryzykować. Oczywiście wcześniej człowiek ma wiele wątpliwości: czy się wszystko uda, czy wróci cały i zdrowy? Spaliśmy w namiocie przy temperaturze w nocy ok. -24 stopni. Było bardzo ważne, żeby utrzymywać ciepło i odpowiednio się ubierać i odżywiać. W ciągu 7 dni udało nam się przejść 200 km z Wrót Olchońskich aż do miejscowości Bolszoje Gołoustonoje. Po drodze spotykaliśmy tubylców, z którymi rozmawialiśmy o zupełnie innym świecie i o innych wartościach. To są ludzie, których życie ogranicza się do uprawy poletka nad Bajkałem. Gdy mówiliśmy o Polsce, to na ogół nie wiedzieli, gdzie ona leży. W momencie, kiedy doszliśmy na miejsce, byliśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się pokonać Bajkał, gdzie w czasie zimy, jak z różnych opisów wynikało, temperatura może spadać nawet poniżej -35 stopni. Nam dopisało szczęście, bo temperatura nie spadła poniżej -24 stopni w nocy, a w dzień mieliśmy piękną mroźną pogodę. Robiliśmy codziennie około 30 km na nartach, często po czystej tafli lodu poszarpanej różnymi szczelinami. Trzeba było uważać na szczeliny, ale grubość lodu była powyżej pół metra, więc nie było obawy, że się załamie. Po tym lodzie jeżdżą nawet samochody, a w roku 1905 położono tory kolejowe, po których kolej jechała z jednej strony na drugą Bajkału.

Udział w wyprawach, które opisałem, dają mi dystans do spraw, które w życiu codziennym wydają się bardzo istotne. Po powrocie z wyprawy natomiast najważniejsze jest dla mnie, że ją przeżyłem, że udało się i że sprawdziłem się, będąc zdany tylko na siebie. Na-

mawiam gorąco do tego, aby spróbować zorganizować sobie ciekawy wyjazd turystyczny, czy to na rowerze, czy na nartach biegowych czy śladowych. Ważne jest, żeby być i ruszać się na świeżym powietrzu. Ja sam każdą wolną chwilę, mimo że pracuję zawodowo od poniedziałku do piątku, staram się spędzać z rodziną i znajomymi na świeżym powietrzu, biegając czy jeżdżąc na rowerze. Latem organizuję spływy kajakarskie na Popradzie i Dunajcu, gdzie wydawałoby się, że tylko doświadczeni kajakarze mogą spływać takimi górskimi rzekami. Nie jest to prawda, bo na takie spływy zabieram również ludzi, którzy pierwszy raz płyną kajakiem i okazuje się, że wystarczy krótki kurs szkoleniowy i oni fantastycznie sobie radzą.

Rajdy rowerowe to kolejna moja pasja. Udało mi się zorganizować grupę przyjaciół, taką rodzinną grupę, z którą wspólnie jeździmy i uczestniczymy w Bikemaratonach. Wspomnę jeszcze o biegach. Mogą to być biegi uliczne, które ściągają ostatnio coraz więcej uczestników, ale mogą to być też biegi w górach, do których zachęcam. Trzeba wykorzystać swoje możliwości, ale najważniejsze, żeby dać z siebie wszystko, żeby poczuć po wysiłku przysłowiowy pot na czole. Czując zmęczenie fizyczne, poczujemy psychiczny odpoczynek, co dla osób czynnych zawodowo jest możliwością naładowania akumulatorów na kolejne tygodnie pracy.

Ewa Twarowska

Chciałabym się z Państwem podzielić doświadczeniami z innego rodzaju turystyki, turystyki pielgrzymkowej. Różni się ona tylko celem od poprzednio omawianej, bo cel jest duchowy, spotkanie z Bogiem, rozwój życia wewnętrznego, rozwój życia duchowego. Właściwie pielgrzymka jest wysiłkiem ciała, ducha i duszy, bo musimy przygotować się do niej zarówno fizycznie, jak i psychicznie oraz duchowo określić, co chcemy przez uczestnictwo w niej osiągnąć?

Bakcyła pielgrzymkowego złapałam na pielgrzymce zupełnie niezwyklej. Była to pierwsza po wojnie pielgrzymka na Białoruś śladami męczeństwa świętego Andrzeja Boboli, patrona Polski. Był rok dziewięćdziesiąty. Na tę pielgrzymkę jechali ludzie, którzy tam mieszkali przed wojną, ludzie związani z kultem świętego Andrzeja Boboli, a również ciekawscy, którzy chcieli uczestniczyć w tak niezwyklej pielgrzymce. Wieźliśmy wtedy obrazki, mszały, szaty liturgiczne, drogę krzyżową i mnóstwo innych dewocjonaliów.

Kiedy stanęliśmy na granicy białoruskiej, zdumienie celników było ogromne. Trzymali nas chyba ze 2 godziny, bo musieli porozumieć się z jakimś szefem. Wcześniej, przed pierestrojką, nie wolno było przewieźć nawet jednego obrazka, jednego różańca, a myśmy mieli cały luk autokaru wyładowany dewocjonaliami. W końcu przyszedł szef, zajrzał do luku i przyczepił się do drogi krzyżowej. Spytał po rosyjsku: "Dlaczego czternaście"? Dopiero po dłuższych wyjaśnieniach przepuszczono nas przez granicę. Dojechaliśmy do Janowa Poleskiego, gdzie 16 maja 1657 r. był zamordowany święty Andrzej Bobola.



Fot. 57. Ewa Twarowska

W czasie kiedyśmy tam byli księżom i zakonnikom nie wolno było chodzić w sutannach i habitach po mieście. Mogli chodzić tylko po cywilnemu. Nie wolno było też urządzać procesji. W dzień męczeństwa świętego Andrzeja Boboli przeszliśmy w ciszy, chodnikiem, z miejsca jego pojmania do miejsca męczeństwa na Rynku Janowskim. Kościół w Janowie był wtedy zamieniony na kino. Szedł z nami ksiądz Świątek (późniejszy kardynał) i jeden ksiądz jezuita oraz siostra urszulanka. Wędrowaliśmy śladami wielkiego męczennika, a równocześnie dawaliśmy świadectwo. Pamiętam człowieka, który kosił trawę przed domem. Jak zobaczył siostrę, która szła w szatach zakonnych, stanął zdumiony i zawołał: "Siostry wróciły". Przed wojną siostry urszulanki działały bardzo aktywnie na Polesiu, a Matka Urszula Ledóchowska była związana z kultem świętego Andrzeja Boboli.

Na pielgrzymce spotykaliśmy kościoły zamienione w fabryki, gdzie jakieś rury wystawały ze ścian kościoła, na remizy strażackie, na kina, na domy kultury. Ale spotykaliśmy też niezwykłych ludzi, świadków wiary. W Kossowie, gdzie jest kościół, w którym był chrzczony Tadeusz Kościuszko, spotkaliśmy panią Wiktorię, której matka i ona przez 20 lat, od śmierci ostatniego księdza, organizowały płacenie bardzo wysokiego podatku za kościół, byleby tylko kościoła nie zamknięto. Potajemnie zbierano pieniądze, czasami emeryci oddawali nawet połowę swojej emerytury. Tam była

wtedy straszna bieda. Opłacać kościół przez 21 lat i wierzyć, że się kiedyś odrodzi, to był prawdziwy heroizm. Przysłali tam w końcu młodego księdza – księdza Darka, misjonarza, który z wielkim zapalem rzucił się do odnawiania kościoła. W tej chwili kościół jest odnowiony, parafia jest żywa, zakładana jest obecnie druga parafia.

Na Białorusi spotkaliśmy się z czymś, co naszemu katolicyzmowi jest nieznane. Ludzie jeździli po 200, 300 km, żeby móc się wyświadczyć i przystąpić do Komunii Świętej, żeby ochrzcić dzieci, wziąć ślub. Były takie miejsca, gdzie księdza nie widziano przez wiele, wiele lat. W Baranowiczach był wtedy ksiądz Henryk Hej, obecnie biskup pomocniczy. Opowiadano nam jego historię i jego rodziny. Jego rodzice zostali zesłani do Kazachstanu, on zaś wstąpił po kryjomu do seminarium duchownego, gdzie otrzymał święcenia. Prymicyjną Mszę Świętą odprawił na Jasnej Górze i po powrocie do kraju powiedział, że jest księdzem. Zaraz go aresztowano. Opowiadające kobiety mówiły nam: "Myśmy się dniami i nocami modliły, jeździliśmy do Gorbaczowa, żeby nam księdza zwrócili. Mówiliśmy do naszej Matuchny: Niech będzie pijak, niech będzie najgorszy, ale żeby Pana Jezusa na ołtarz wprowadzał. Płakaliśmy, słuchając tych słów. W naszych polskich realiach nie zdajemy sobie sprawy z tego, jaką wartość ma obecność księdza. Potrafimy tylko krytykować i wybrzydzać, że ten ksiądz taki, a ten owaki, do tego pójde do spowiedzi, a do tego nie. My wybrzydzymy, a na Białorusi ludzie szanują księdza w niezwykle sposób.

Dzięki naszym pielgrzymkom odzyskano kościół w Janowie. Aby jednak powstała wspólnota wyznaniowa, potrzeba było 15 podpisów. Niestety, w Janowie nie było tylu katolików, ale podpisami wspomogli katolików prawosławni. Oni też chcieli, żeby powstał kościół. Długie lata trwał remont kościoła, z ogromną pomocą finansową z Polski. Myśmy od czasu tej pierwszej pielgrzymki, co roku wozili dary: odzież, żywność itp. Ksiądz dawał talony na cukier dzieciom, które wygrały jakiś konkurs w kościele.

W 1996 roku wieźliśmy, na prośbę księdza z Mozyrza, który leży 60 km w prostej linii od Czarnobyła, całą Nysę odżywek amerykańskich i lekarstw dla dzieci, które cierpiały z powodu choroby popromiennej. Pamiętam, że na granicy (nie wolno wtedy było wwozić lekarstw na Białoruś) mieliśmy lekarstwa pod ławkami, nad ławkami, przy sobie, bo cały luk był naładowany odżywkami

i produktami żywnościowymi. Modliliśmy się o pomoc do świętego Andrzeja Boboli. Na granicy, kiedy celnik kazał nam otworzyć luk, pomyślałam sobie – to już koniec, zobaczy te odżywki i nas cofnie. On zobaczył tylko cukier, który leżał na wierzchu i powiedział: "Nie mam cukru do kawy". Złapałam kilogram cukru i mu dałam, on zamknął luk i przejechaliśmy. Takie cuda się zdarzały.

Do tej pory jeździmy, żeby dawać świadectwo tym ludziom, tym katolikom, tej młodej i prężnej parafii, że jesteśmy z nimi, że to jest bardzo ważne dla nas, że możemy im pomóc, ale oni też dają nam pomoc, świadcząc o swojej nieugiętej i heroicznej wierze, pomimo ciężkich warunków.

Drugą pielgrzymką, która też zrobiła na mnie ogromne wrażenie, była pielgrzymka do Medjugorie w 1994 roku. Na Bałkanach była wojna, wyjeżdżaliśmy w listopadzie, jechaliśmy przez Chorwację, nocą z wygaszonymi światłami, bo byli snajperzy po drodze i strzelali, co słychać było od czasu do czasu. Później, częściowo drogą morską, dotarliśmy do Medjugorie, które było oazą spokoju. Dookoła trwała wojna, wtedy była pacyfikacja na północy wielu miast i cały czas był obleżony Mostar. Całą noc słyszeliśmy strzały. W Mostarze ludzie siedzieli w bunkrach. W tym czasie było spotkanie młodzieży, gdzie była emitowana z bunkra pieśń o Medjugorie. Niezwykły był pokój w Medjugorie, gdy wszędzie naokoło trwała wojna. Czuło się, że Królowa Pokoju czuwa nad tym miejscem.

Wojska ONZ stały na granicy Medjugorie, były worki z piaskiem, skrzynie, zasieki, a wieczorem przychodziły do kościoła kobiety na czarno ubrane, z krzyżami i modliły się za tych, którzy zabijali ich synów. Tam czuło się ogromne wybaczenie, ogromną modlitwę za wszystkich, którzy biorą udział w tej wojnie. Kiedy w czasie jednego z widzeń zapytano Matkę Bożą, którym wojskom błogosławi, ona powiedziała: "Po obu stronach frontu są moje dzieci". I był to czas wielkiego nawrócenia, wielkiego wzruszenia. Widzieliśmy na drodze krzyżowej żołnierzy ze znaczkami ONZ na ramionach i pielgrzymów z całego świata. Wiedzieliśmy, że Matka Boża zaprasza pielgrzymów i nad nimi czuwa. Żadnemu pielgrzymowi w czasie wojny nic się nie stało, żaden pielgrzym nie poniósł szkody.

Czas pielgrzymowania jest zawsze czasem świętym, jest taką naszą górą Tabor, kiedy dotykamy miejsc świętych i ulegamy przemianie. Pan Bóg nas wzywa tak jak Abrahama: "Wyjdź z domu Oj-

ca swego i idź do ziemi, którą ci wskażę". Z pielgrzymowania wracamy inni, utwierdzeni i umocnieni.

Ja organizuję pielgrzymki, bo widzę, jak ludzie się zmieniają w czasie ich trwania. Inna grupa wyjeżdża w tamtą stronę, a inni ludzie wracają. Ta przemiana dokonuje się w drodze, bo my jesteśmy ludem w drodze, wędrujemy do naszej Niebieskiej Ojczyzny. We wszystkich religiach świata ludzie pielgrzymują, nasze życie jest pielgrzymowaniem, a pielgrzymka kondensuje w sobie dążenie do ostatecznego dobra, piękna i prawdy. Z pielgrzymką łączy się oczywiście zwiedzanie i podziwianie piękna świata, który dla nas stworzył Bóg. Jeśli zachwycamy się krajobrazem, który mijamy po drodze, jest to szczególną modlitwą uwielbienia. Pielgrzymka jest także czasem spotkania z ludźmi, tworzeniem wspólnoty pielgrzymkowej. Musimy podjąć wspólny trud pielgrzymowania. Na początku pielgrzymki ludzie są często spięci, noszą ciężary, których nie są w stanie sami udźwignąć, widzą jak się boją, ile jest w nich lęku, że zostaną gorzej potraktowani, pominięci, odsunięci gdzieś na bok, że to inni mają lepiej itp. Podczas pielgrzymki to wszystko się jakoś ulatnia, znikają niesione przez ludzi ciężary. Ludzie wracają inni, radośni i napełnieni duchem. Mogą na nowo podjąć życie i swoje obowiązki w zupełnie innym wymiarze. Miejsca pielgrzymkowe stają się naszymi miejscami, bo możemy do nich wrócić, możemy odnowić przeżycia duchowe, które tam mieliśmy i które dają nam siły do dalszego życia. Poza tym spotykamy się z ludźmi z całego świata, którzy modlą się razem z nami. Kiedy obok mnie na Placu Świętego Piotra w Rzymie czy w Medjugorje modlą się ludzie różnych ras, różnych kultur, różnego koloru skóry i sposobów wyrażania swojego chrześcijaństwa, to ja wiem, że jestem w kościele powszechnym. Kiedy w Medjugorje mówimy wspólnie różaniec, kiedy każdy mówi w swoim języku "Ojcze Nasz", "Zdrowaś Mario" i "Chwała Ojcu", to czuję, że to jest mój kościół, że ci ludzie są moimi braćmi, że oni wyrażają to samo w swoim języku, że jesteśmy razem, że jesteśmy jedno. To uczy nas zupełnie innego spojrzenia na ludzi, wspólnotowego i solidarnego.

Co mnie osobiście dają pielgrzymki? Dają mi radość służby. Ja ludzi tylko prowadzę, czyli jestem narzędziem w ręku Boga. Muszę się doskonalić, być bardziej cierpliwa, posłuszna, usługna itp. Pielgrzymki ubogacają zarówno mnie, jak i pielgrzymów. Ubogacamy się wzajemnie.

Krzysztof Wojtkowski

Ponad dziesięć lat byłem wychowawcą dzieci i młodzieży w jednym z ośrodków Stowarzyszenia Przymierze Rodzin, do którego Uczelnia, w której się obecnie znajdujemy, należy. Każdego roku dwa razy, raz w zimie i raz w lecie, jeździliśmy na obozy w góry. Z pewnością nie było to podyktowane tylko miłością do gór, ale też głębokim przekonaniem o roli wychowawczej turystyki górskiej.

Jednym z wychowawczych aspektów turystyki górskiej jest przyjęty zwyczaj, że tempo marszu dostosowujemy do najsłabszej osoby, czy to wśród dzieci czy dorosłych. W górach oczekujemy od siebie solidarności i musimy zwracać szczególną uwagę, jakie są możliwości ludzi, którzy z nami idą. Ktokolwiek chodził w górach w dużej grupie, to wie, że niezachowanie tej zasady powoduje rozbięcie wybieżki. Nie chodzi oczywiście o to, żeby koniecznie komuś pomagać nieść plecak, tylko o to, żeby wymagając od niego wysiłku i przezwyciężania swoich ograniczeń, jednak mu pomagać. Czy jesteśmy w stanie tę zasadę stosować w naszym codziennym życiu społecznym? Patrząc na współczesną Polskę, na nasze osobiste życie w rodzinach i w pracy, mam wrażenie, że tego typu zachowania i tego typu kultura niestety powoli zanika. Chciałbym państwu tutaj zadać temat do przemyśleń: czy jesteśmy w stanie dochować zwyczajów solidarności, braterstwa, które obowiązują na szlakach górskich, w turystyce narciarskiej czy rowerowej, w naszym codziennym życiu, na uczelniach, w pracy? Wydaje się, że w wielu środowiskach zwycięża kultura indywidualizmu, która przesiąka z wielkich korporacji. To była moja pierwsza refleksja, co możemy z turystyki przenieść do życia codziennego.

Druga sprawa, którą należy poruszyć, to wychowawczy aspekt sportu. Uprawiałem sport od 10 do 19 roku życia. Trenowałem piłkę nożną i miałem rówieśników, z którymi spędzaliśmy czas bar-



Fot. 58. Krzysztof Wojtkowski

dzo aktywnie. Krążąc po podwórkach, po osiedlach, próbowaliśmy pierwszych papierosów, alkoholu. Jednak okazało się, że sport wyzwala w dziecku i młodym człowieku takie emocje i takie pasje, że te wszystkie dodatkowe atrakcje młody człowiek może rzucić zupełnie bez żalu, a mówię to z własnego doświadczenia. Mogę powiedzieć otwarcie, że sport spowodował, iż jedyną używką, jedynym nałogiem, jaki mam w tej chwili, to jedzenie słodczy. Choć pewnie wszyscy tutaj obecni byłiby w stanie podać przykłady sportowców, którzy niestety sobie z nałogami nie poradzili, u których zamiłowanie do używek było silniejsze niż pasja do sportu.

Chciałbym zadać Państwu jedno pytanie, które mnie nurtuje i na które, szczerze powiedziawszy, nie potrafię znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi. Myślę, że w życiu każdego wychowawcy czy trenera jest dylemat, w jaki sposób przygotowywać dzieci do sukcesów i co za tym idzie, w jaki sposób przygotowywać te dzieci do dorosłego życia? Czy jako nadrzędny cel postawić sukces sportowy i sukces życiowy? Czy złoty medal ma być czymś najważniejszym? Czy można uczyć dzieci oszukiwania w zabawie sportowej? Bo jak można wygrać, grając nieuczciwie, znam ze swojego doświadczenia. Czy jednak uczyć dzieci inaczej, że gra fairplay jest czymś nadrzędnym, nawet jeżeli miałyby się pewnego trofeum nie zdobyć i pewne rzeczy w życiu przegrać?

Poznałem to zjawisko "na własnej skórze" w mojej karierze sportowej, kiedy przechodziłem z wieku juniorskiego w seniorski. Było to zderzenie ze światem okrutnym. Przychodziłem ze świata, gdzie rządzą zasady fairplay, rzeczywista rywalizacja sportowa, zwyciężają najlepsi, do świata, w którym można w ciągu 15 minut meczu sfaulować i wyeliminować najlepszych zawodników, gdzie można na boisku oszukać sędziego, gdzie można w taki sposób zniszczyć przeciwnika, żeby nie miał żadnych szans zwycięstwa. To było coś, z czym do tej pory nie mogę sobie poradzić.

Myślę, że każdy z Państwa, kto się zetknął z wychowaniem młodzieży, ze sportem, kto będzie kiedyś dzieci wprowadzał do sportu, z takim zjawiskiem się spotka. Co jest ważniejsze? Odpowiedź na to pytanie znajduje również przełożenie na nasze życie codzienne – czy najważniejszy jest sukces życiowy, sukces materialny, sukces zawodowy. Część z Państwa zapewne już pracuje (zwracam się w tej chwili do studentów tej Uczelni), a część dopiero rozpocznie pracę

zawodową. Czy najważniejsze w Państwa życiu będzie dochowanie zasad fairplay i solidarności ludzkiej, pomocniczości, czy przeciwnie, najważniejszy będzie sukces zawodowy i finansowy? Jak się każdy z Państwa zachowa, gdy w pracy spotka osobę słabszą? Czy wykorzysta tę jej słabość, aby zepchnąć ją jeszcze w dół i zaprezentować się swojemu przełożonemu jako ktoś, kto jest rzeczywiście mocny, świetny? W ten sposób łatwo można zwiększyć swoje szanse na awans, sukces życiowy, większe pieniądze, władzę. Czy przeciwnie, zaopiekuje się słabszym, odsuwając na bok własną korzyść. Jaki będzie Państwa wybór w zetknięciu z takimi sytuacjami w życiu? Czy będą Państwo potrafili nie zdobyć trofeum za cenę uczciwości w swoim postępowaniu? Zachęcam do zastanowienia się, gdzie jest granica fairplay, której nie można przekroczyć.

Dyskusja

Hanna Rembertowicz

Wysłuchaliśmy bardzo ciekawych wypowiedzi osób, dla których sport i turystyka stanowią znaczący element życia albo nawet wypełniają całe ich życie. A ja chciałabym popatrzeć na sport i turystykę z punktu widzenia zwykłego zjadacza chleba, dla którego i sport i turystyka stanowią pewien, węższy lub szerszy, ale jednak tylko margines w życiu. Proszę popatrzeć na moją twarz. Z niej widać, że zarówno pierwsza, jak i druga, a nawet trzecia młodość już minęły. Równocześnie twarz mam opaloną, bo właśnie wróciłam z nart. Od dzieciństwa jeżdżę na nartach i bardzo to lubię. Jest to dar, który otrzymałam, jestem z niego niezwykle rada, szczęśliwa i ogromnie go doceniam. Nie wszystkim ten dar jest dany, ale gdybym nie zaczęła jeździć na nartach wcześniej, to nawet gdybym taki dar posiadała, nie wykorzystałabym go i nie miałabym tej radości, jaką mam do dzisiaj. Dla wszystkich mam więc radę: trzeba starać się uprawiać dowolny rodzaj turystyki i sportu od młodych lat, a potem tak to wejdzie w krew, że do sędziwej starości można z tego mieć wielką radość i satysfakcję.

Jeszcze warto wspomnieć o jednym. Dowolna turystyka: narciarska, rowerowa, piesza, kajakarska stanowi tło do konfrontacji dwóch postaw. Zaplanowałam wyprawę, mam dojsć do określone-

go celu, ale w połowie drogi wyskakuje mi bąbel na pięcie, czy ogólnie jestem znużona i zniechęcona i nie chce mi się iść dalej. Jest to pole do zdania sobie sprawy z tego, czy moje "chcę", jest silniejsze od "nie chce mi się". Jak nie wejdę na zaplanowany szczyt, czy nie dojdę do wyznaczonego celu, to ostatecznie świat się od tego nie za-

wali. Jeżeli jednak w życiu moje "nie chce mi się" będzie dominowało nad tym mocnym "chcę" to konsekwencje mogą być bardzo poważne. Na polu turystyki i sportu dobrze jest to przećwiczyć, bo jeżeli "chcę" zwycięża w naszym życiu, to wtedy okazuje się, że postawa taka niesie ze sobą ogromną satysfakcję, "nie chce", "nie chce mi się" rodzi frustrację i zniechęcenie.



Fot. 59. Hanna Rembertowicz

Druga sprawa, którą chcę poruszyć, wiąże się z turystyką grupową. Na początku każdej wyprawy czuje się w grupie niepokój: kto będzie niósł plecak z chlebem, a kto będzie niósł plecak z omastą, kto będzie szedł pierwszy, a kto będzie szedł ostatni. Czy będzie sprawiedliwie? Ale na 10. kilometrze te sprawy przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Już wszyscy wiedzą, że tym plecakiem będziemy się wymieniać, że najsilniejszy będzie go niósł, że najslabszy będzie szedł na przedzie i to się staje zupełnie oczywiste. Jeżeli to się dobrze przećwiczy, wiele razy, to wchodzi w krew i uczy solidarności nie tylko w czasie wędrówki, ale i w całym życiu.

Warto wspomnieć jeszcze o jednym aspekcie wędrówek. Zawsze mają one taki moment, kiedy ulegamy zachwyceniu światem. Gdy świat pokazuje nam się piękny, budzi się w nas ogromna wdzięczność dla Stwórcy.

Magdalena Bójniak (studentka)

Kończyłam liceum o profilu turystycznym. Uważałam, że będzie to moja przyszłość, że będę miała ciekawe zajęcie i interesujący zawód. Niestety, zawiodłam się, stwierdziłam, że to nie jest dla mnie. W tej chwili jestem na polonistyce, która mi bardzo odpowiada. Jeżeli chodzi o sport, interesuję się tańcem towarzyskim. Na początku myślałam, że jest to coś prostego, że tańczyć każdy może i że



Fot. 60. Magdalena Bójniak (z mikrofonem), obok po prawej stronie Angielka Szumilas i Wioleta Bodzak

łatwo się tego nauczyć. Po pierwszych zajęciach ledwo wróciłam do domu, miałam tak spuchnięte nogi. Kiedyś chodziłam na gimnastykę, byłam wytrenowana i to pomogło mi przetrwać następne zajęcia. Były to nowe i trudne dla mnie doświadczenia, nie sądziłam, że taniec może człowieka wykończyć w takim stopniu. W tej chwili minęło pół roku od pierwszych zajęć. Tańczę dalej. Nie wiem jak będzie, mam nadzieję, że dobrze. Ale czasem jest naprawdę ciężko.

Trudno to nam sobie wyobrazić, gdy oglądamy "Taniec z gwiazdami" czy "You can dance" i widzimy pary ładnie i lekko tańczące, jakby bez wysiłku. Aby jednak do tego dojść, ćwiczą po 10 godzin dziennie. Jest to ciężka praca i ogromny wysiłek, aby osiągnąć poziom, który zachwyca nas potem w telewizji. Ja sama chodzę na zajęcia taneczne zaledwie raz w tygodniu na półtorej godziny i to jest nic w porównaniu z wielogodzinnym codziennym treningiem tych, którzy w tej dziedzinie chcą uzyskać sukces. Muszą włożyć w to cały swój czas i ogromną wytrwałość.

Tomasz Leżański

Chce nawiązać do wypowiedzi mojej poprzedniczki. Niech się Pani nie zniechęca. Wprawdzie półtorej godziny tygodniowo to jest rzeczywiście bardzo mało, ale jeżeli będzie Pani wytrwała i w przyszłości więcej ćwiczyła, to sukces przyjdzie.



Fot. 61. Tomasz Leżajski

W każdym sporcie trzeba włożyć ogromną ilość pracy, bez tego niczego się nie osiągnie. Na przykład, zawody łyżwiarzy figurowych: z przyjemnością się je ogląda, jak lekko tańczą i swobodnie, ale nie umiemy powtórzyć żadnego ich ruchu. Podobnie, gdy obserwujemy innych sportowców, myślimy: jak daleko rzucają, wysoko skaczą, dobrze biegają, ale nie myślimy, że za tym stoi kilkadziesiąt godzin tygodniowo ciężkiej pracy i wiele wyrzeczeń. Czasami pracy, którą się wykonuje po swoich normalnych zajęciach, bo przecież nie z każdego sportu można żyć. Pan Jerzy mówił o piłkarzach multimilionerach. Rzeczywiście oni mogą tylko trenować, zarabiać pieniądze, to jest ich praca i zawód.

Ale jest wiele dziedzin sportowych, które nie dają żadnych gratyfikacji finansowych, ale pasja pozostaje w człowieku. Taki sportowiec musi chodzić normalnie do pracy, na studia czy na inne zajęcia, a potem dopiero na trening. Ostatni raz z moją żoną byliśmy na wspólnym urlopie trzydzieści parę lat temu. Nie jeździmy razem, bo nie ma takiej możliwości. Jest sezon (czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień), co tydzień zawody, kiedy pojechać? W zimie? W zimie jest sezon halowy i jest to samo. Mam szczęście, bo mam bardzo wyrozumiałą żonę, która te moje fanaberie znosi. Czasami jeździmy razem na obozy, ale też nie mamy na nich zbyt wiele czasu dla siebie, bo ja mam trening rano i po południu, a ona musi sama w tym czasie organizować dla siebie zajęcia.

Ewa Twarowska

Święty Paweł w liście do Tymoteusza pisał: "ćwiczcie się w doskonałości". Mamy podejmować trudy i starać się w nich wytrwać. Nic w życiu nie osiąga się bez trudu, bez wysiłku i bez pracy. Każda rzecz, którą w ten sposób osiągniemy, daje nam radość.

Pan Krzysztof zadał nam pytanie: czy w sporcie warto być uczciwym? Owocem uczciwości jest radość i pokój serca. Ludzie, którzy może nawet stracili finansowo lub nie osiągnęli spodziewanego sukcesu, ale postępują w życiu w sposób prawy i uczciwie dą-

żą do celu, mają coś, co jest ogromnym skarbem – pokój serca i radość. Jest to prawdziwa, autentyczna radość, która z nich promieniuje. Gdy występuje stu zawodników, nie wszyscy mogą zająć pierwsze miejsce. Ale ”w tych zawodach wystąpiłem”. To jest ważne dla nas.

Jak patrzę na starych ludzi, którzy podejmują pielgrzymowanie, którzy idą 200 km z Warszawy do Częstochowy, czy nawet 300 km z różnych miejsc w Polsce, którzy pokonują słabość własnego organizmu, czasami nieprzyzwyczajonego do wysiłku fizycznego, jestem pełna podziwu dla ich wytrwałości w tym swoim trudzie. Jedyna nagroda, jaką mają, to radość, że doszli do celu. Cel jest ważny, do którego dochodzimy, ale radość daje nam również drogę, w ciągu której pokonujemy własne słabości.

Jarosław Prugar

Nawiązując do pytania Pana Krzysztofa, powiem o pewnym zdarzeniu. W czasie maratonu rowerowego, kiedy zostało mi dziesięć kilometrów do mety, zauważyłem rowerzystę w wieku około



Fot. 62. Paneliści. Z mikrofonem Jarosław Prugar

pięćdziesięciu lat (w maratonach rowerowych mogą brać udział osoby od 10 do 75 lat, jadąc trasami o odpowiednio dobranym dystan-

sie), który szedł, prowadząc rower. Mijając go, spytałem, co mu się stało? Zobaczyłem, że ma urwany łańcuch. Zatrzymałem się i ofiarowałem mu pomoc. Miałem odpowiednie narzędzia, więc spiąłem mu łańcuch, dzięki czemu mógł jechać dalej. Oczywiście straciłem 5 czy 10 minut, ale to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Największą satysfakcją było to, że pomogłem temu człowiekowi. Dojechał do mety, był bardzo szczęśliwy i serdecznie mi dziękował.

Na trasach górskich maratonów rowerowych często bywa tak, że ktoś przebije oponę, bo są tam ostre kamienie i strome odcinki, gdzie zjeżdża się z prędkością 30 czy nawet 40 km/h. Wystarczy uderzyć tylnym kołem o kamień i, niestety, trzeba wymieniać dętkę. Bardzo często bywa tak, że ktoś się zatrzymuje i pożycza dętkę. Jest to wspaniałe w tych zawodach. Oczywiście nie wszyscy tak się zachowują. Spotyka się też, niestety, takich, których nazywam "cyborgami", którzy nie zamieniają z nikim żadnego słowa, jadą do przodu, nie patrząc na innych. Jest jednak pocieszające, że większość ludzi współpracuje ze sobą. Pozdrawiają się wzajemnie, pytają się, czy wszystko jest w porządku, gdy widzą, że ktoś się wywrócił. Jestem jak najbardziej za zachowaniem fairplay, bo daje to dużo więcej radości i satysfakcji niż to, że dojedzie się do mety pięć minut wcześniej.

Urszula Kossowska-Cezak

Chciałabym nawiązać do tego, co powiedziała wcześniej pani Hania Rembertowicz. Chodzi mi o momenty zachwycenia, które uważam za bardzo ważne przeżycia w czasie wycieczek i pielgrzymek. Powiem o tym na przykładzie mojej mamy. Pierwszy raz pojechała ze mną w góry, kiedy byłam już po studiach, a mama była dojrzałą kobietą, już dobrze po 50-tce. Była dobrym piechurem, przeszliśmy razem przez Pieniny, chodziliśmy po Tatrach. Kiedy już była osobą bardzo sędziwą (dożyła 94 lat) i słabą i nie mogła już nigdzie chodzić, wracała często do wspomnień z naszych wędrowek i podkreślała, że to były najpiękniejsze momenty w jej życiu. Myślę, że poza satysfakcją, że osiągnęliśmy zaplanowany cel, gdzieś byliśmy i coś zobaczyliśmy, ważny jest owoc wyprawy, te wszystkie wspomnienia i wrażenia, które potem pozostają nam do końca życia.



Fot. 63. W pierwszym rzędzie Tomasz Przecławski, w drugim słuchacze z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Od lewej Wiesław i Maria Glinka i Urszula i Jędrzej Chlebowicz

Ks. Adam Zelga

Na zakończenie odsyłam Państwa do Tryptyku Rzymskiego Jana Pawła II, w którym zawarł on między innymi zachwyt nad pięknem stworzonego przez Boga świata. Podzielę się również wspomnieniem zdarzenia, którego doświadczyłem w czasie prowadzenia obozu dla dzieci i młodzieży w górach. Zawsze lubiłem rano wstawać, iść na najbliższy szczyt i odmawiać jutrznię przy wschodzie słońca. Któregoś dnia przeżyłem tak ogromny zachwyt, że postanowiłem podzielić się nim z obozem. Przed piątą obudziłem wszystkich uczestników i wyprowadziłem ich na szczyt góry. Jeden z chłopców skomentował to powiedzeniem: "Jak to, będziemy teraz słońce czcić, proszę księdza?" Ten sam chłopak, po kilku latach, kiedy prowadziłem rekolekcje w tej parafii, już tam nie pracując, spytał mnie: "Czy ksiądz pamięta tę jutrznię w górach?" Odpowiedziałem: "Pewnie, że pamiętam i również jak mnie zwymyślałeś, że jestem bałwochwalcą". On na to powiedział: "My dopiero teraz księdza rozumiemy". Był to jeden z najpiękniejszych moich sukcesów wychowawczych.

Z nagrania spisała Agnieszka Nisztor

Moja droga do Pana Boga?

Cytaty

*Jan Paweł II. Pojednajmy się z Bogiem i braćmi.
„Rozdzierajcie (...) serca wasze, a nie szaty!
Nawróćcie się do Pana, Boga waszego!” (Jl 2, 13).*

Odczytany przed chwilą prorocki tekst przypomina, dzięki wielkiemu bogactwu symboli, że duchowe zaangażowanie musi wyrazić się w konkretnych wyborach i czynach; że prawdziwe nawrócenie nie może sprowadzać się do zewnętrznych form lub bliżej nieokreślonych zamiarów, lecz wymaga włączenia w ten proces i przemiany całego życia.

Wezwanie ”nawróćcie się do Pana, Boga waszego” zakłada odewrwanie się od tego wszystkiego, co nas oddala od Niego. To odewrwanie się stanowi nieodzowny punkt wyjścia, by powrócić do przymierza z Bogiem, zerwanego przez grzech.

”W imię Chrystusa prosimy: pojednajcie się z Bogiem!” (2 Kor 5, 20). Usilne wezwanie do pojednania z Bogiem występuje również we fragmencie z Drugiego Listu do Koryntian.

Odniesienie do Chrystusa, postawionego w centrum całej refleksji, sugeruje, że w Nim dana jest grzesznikowi możliwość autentycznego pojednania. Bowiem ”On to [Bóg] dla nas grzechem uczynił Tego, który nie znał grzechu, abyśmy się stali w Nim sprawiedliwością Bożą” (2 Kor 5, 21). Jedynie Chrystus może przemienić sytuację trwania w grzechu w stan łaski. Tylko On może uczynić ”sprzyjającą chwilą” czasy, w których ludzkość pogrążona jest w grzechu i głęboko nim dotknięta, podzielona i pełna nienawiści. ”On bowiem jest naszym pokojem. On, który obie części [ludzkości] uczynił jednością, bo zburzył rozdzielający je mur – wrogość. (...) [aby] jednych, jak i drugich znów pojednać z Bogiem, w jednym Ciele przez krzyż” (Ef 2, 14. 16 a).

*Ks. Wiesław Hudek. O cierpieniu prowadzącym do Boga
(fragmenty)*

Człowiek od zawsze poszukuje Boga, ”nasłuchuje”, ”przeczuwa”, próbuje zgłębić tajemnicę istnienia, szuka drogi prowadzącej ku szczęściu, ”ścieżki miłości, światła, pokoju i braterstwa”. Doświadczenie obecności Stwórcy, poznanie Go, jest dla wielu proble-

mem całego życia. Czasem bywa i tak, że zniechęcenie człowieka i "cisza" z drugiej strony prowadzą do agnostycyzmu lub do różnych form negacji istnienia Boga i elementu transcendentnego w człowieku.

Jedną ze ścieżek prowadzących do "dotykania" rzeczywistości nadprzyrodzonej jest – wpisane w sposób nierozzerwalny w ludzkie życie – cierpienie. Różnie można tę drogę pokonywać, różnie o niej można mówić i na różne sposoby można ją interpretować. Inaczej uczyni to – posługujący się wypracowaną dla tego celu i bardzo konkretną terminologią – teolog, inaczej – obdarzony zmysłem wrażliwej wyobraźni – artysta, a jeszcze inaczej – prosty, często na stałe przygwożdżony do łóżka – chory. Każdy inaczej, a jednak jest pewna cecha wspólna. Bóg w ludzkim cierpieniu pozwala odnaleźć się człowiekowi takim, jakim jest. Pozwala mu się odkryć jako Ten, "który jest Miłością", który "swego Syna dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne", który "dla nas i naszego zbawienia stał się Człowiekiem". Droga prowadząca od cierpienia do doświadczenia Boga jest drogą trudną i bolesną. Jest drogą zakorzenioną jakby w Via Crucis samego Chrystusa. Człowieka może przerażać perspektywa bólu, samotności, wędrowanie w oczekiwaniu i cieniu cierpienia. Jednak warto pójść tą drogą, warto ją wybrać, chociaż inne wydają się prostsze. Ta droga jest swoistego rodzaju twórczością, trudem, a ten po to jest, "aby się zmartwychwstało". Taka jest właśnie perspektywa ludzkiego losu, taka jest droga tego, który chce naśladować Chrystusa, taka powinna być każda życiowa wędrówka... ku Bogu.

KONWERSATORIUM XXXII (16.05.2009 r.)

Moja droga do Pana Boga

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii p. w. bł. Edmunda Bojanowskiego), oraz Monika i Krzysztof Oczkowsky, Zenon Kosicki, Małgorzata Balicka i Jarosław Babicki (dziennikarz, wydawca tygodników lokalnych).

Ks. Adam Zelga

Moje doświadczenie drogi do Pana Boga było różne na różnych etapach życia. Inna wydaje nam się ona wtedy, kiedy mamy osiem lat i idziemy do Pierwszej Komunii Świętej, inna kiedy wchodzimy w dojrzałość, kiedy podejmujemy decyzje, jeszcze inna gdy jesteśmy ludźmi dojrzałymi, z różnymi doświadczeniami życiowymi. W ubiegłym roku w mojej parafii przygotowywaliśmy dwie grupy do bierzmowania: pierwsza grupa to były nastolatki gimnazjalne. Jaka była ich droga do Pana Boga? Krótko mówiąc, i dla nich i dla nas była to droga przez mękę. Natomiast w czasie rekolekcji misyjnych zrobiliśmy tygodniowy kurs dla młodzieży starszej, studenckiej, która nie była jeszcze bierzmowana z różnych powodów. Ogłosiliśmy zaproszenie i przyszło około 60 osób. Była to najbardziej fantastyczna grupa z wszystkich spotkań misyjnych. Ci ludzie mieli już za sobą pewien bagaż życiowych doświadczeń i wiedzieli, czego im brak i czego poszukują. To byli dojrzały młodzie ludzie. Obraz tych dwóch grup może nas zbliżyć do dzisiejszej tematyki.

W kapłaństwie jest podobnie. Droga kapłana do Pana Boga ma także swoje etapy. Jest bardzo świeża wtedy, kiedy wstępuje się do seminarium, jest wtedy bardzo neoficka. Potem koryguje ją życie i stopniowo staje się dojrzała. Następuje powolna rezygnacja ze swojego ja, a liczenie na opiekę Tego, który jest, na Tego, który jest miłością, który jest miłosierdziem.

Krzysztof Oczkowski

Jaka jest moja droga do Pana Boga? Jest nią droga pełna wdzięczności. Stosunkowo niedawno zdałem sobie sprawę z tego,



Fot. 64. Krzysztof Oczkowski (z mikrofonem), obok Monika Oczkowska z synem Rochem; dalej na lewo Małgorzata Balicka

że dar istnienia, którym obdarzył mnie Pan Bóg, jest bezinteresowny i na stałe, mimo że różne były koleje mojego życia i że nie zawsze byłem Mu wierny. Bóg nie wstrzymał tego daru, za co Mu bardzo dziękuję. Oczywiście dziękuję Mu za dar życia, za to, że żyję i za to, że żyję przez Chrztost święty tym nowym życiem. Dziękuję za Kościół katolicki.

Pracuję w firmie, gdzie głównym językiem, jakim się mówi, jest angielski. Kiedyś spytałem mojego szefa, czy w moim przypadku, kiedy nie potrzebuję korzystać z żadnych kursów językowych, będę mógł codziennie w godzinach pracy czytać po angielsku, przez czterdzieści minut, jakąś książkę. Powiedział: proszę bardzo. W ten sposób przeczytałem po angielsku Katechizm Kościoła Katolickiego. Myślałem, że będzie to trudne zadanie, ale postanowiłem, że przez to przejdę. Okazało się, że po przeczytaniu tej książki dopiero w pełni zrozumiałem, jaki jestem szczęśliwy, że jestem katolikiem, że jestem członkiem takiej organizacji i wspaniałego Kościoła. Przypomina mi się rozmowa dwóch wykładowców na Uniwersytecie Jagiellońskim, z których jeden był wykładowcą religioznawstwa. Zadano mu pytanie, co sądzi o katolicyzmie? Odpowiedział: jest to piękna, stara i mało znana religia.

Bardzo dziękuję Panu Bogu za to, że na tej drodze do Niego postawił mnie właśnie w Kościele katolickim. Dziękuję za to, że w tym Kościele byli moi dziadowie, pradziadowie, szczególnie dziękuję za moją babcię, która była bardzo bliska Boga i była ogromnie rozmodlona. Kiedyś przeczytałem, że Pan Bóg błogosławi sprawiedliwemu do tysięcznego pokolenia i że gdzieś na nas czekają te błogosławieństwa. Tylko Pan Bóg czeka, żebyśmy o nie poprosili, ma je dla nas.

Dziękuję za to, że jako chłopiec chodziłem z moim tatą do kościoła i za to, że widywałem go jak przed snem, po całym dniu pełnym pracy, klękał na kolana i modlił się do Boga. Dziękuję za to, że potem, jak już byłem trochę starszy, powstała koło nas nowa parafia i mieliśmy kościół o trzy minuty drogi od nas. Dziękuję za to, że na tej drodze do Niego zostałem ministrantem i chodziłem prawie codziennie do kościoła, nie zawsze wprawdzie z czystych intencji, bo zbierało się punkty za każdą Mszę Świętą. Dziękuję za ruch Światło Życie, za tę formację, jaką tam otrzymałem. Dziękuję za to, że założyliśmy z moimi koleżankami i kolegami młodzieżową, licealną grupę biblijną, z którą spotykaliśmy się bardzo często i rozważaliśmy Pismo Święte. Dziękuję za to, że w naszej parafii kolejni proboszczowie byli otwarci na różne szalone pomysły i w braku salki udostępniali nam zakrystię na spotkania.

Dziękuję za moje studia filozoficzne i za to, że w tym czasie nie straciłem rozumu. Dziękuję za to, że Pan Bóg nigdy nie pozwolił odejść mi od siebie za daleko, mimo tego że różne rzeczy mnie ścigały na boki i że czasami wydawało mi się, że świat jest usytuowany daleko od Pana Boga, a my musimy radzić sobie sami. Dziękuję, że ta ideologia nigdy nie zapuściła we mnie zbyt głębokich korzeni i że Pan Bóg zawsze mnie jakoś do siebie przyciągał.

Dziękuję za każdą na mojej drodze Komunię świętą i spowiedź. Dziękuję za moją rodzinę, za moją żonę, która jest dla mnie uzdrowieniem i pomocą na drodze do Pana Boga, za wspólne czytanie Pisma Świętego, po prostu za wspólne życie Bogiem. Dziękuję za mojego syna Rocha, który jest dzisiaj z nami, który zawsze mi przypomina, jak idziemy obok cmentarza, żebym się pomodlił o wieczny odpoczynek dla zmarłych. Dziękuję za to, że czasami się pyta, kiedy wreszcie umrze i pójdzie do nieba. Dziękuję za każdego człowieka na mojej drodze, również za tych, którzy byli dla mnie trudni,

k którzy sprawiali mi ból, może przez to pozwalali mi szybciej dojrzewać. Dziękuję za to, że miałem dwa razy guz mózgu i za to, że mogłem przejść przez traumatyczne doświadczenie choroby, które oczyściło mnie z tego, co w życiu niepotrzebne, pokazało mi po raz kolejny, co jest najważniejsze. Właściwie w moim życiu było też wiele błędów i niewierności, ale nie była to droga do Pana Boga, więc nie będę o nich mówił. Po każdym z nich jednak zaczynałem nową drogę i za to również dziękuję. Dziękuję za to spotkanie i za to, że Państwo mnie wysłuchali.

Małgorzata Balicka

Mam na imię Małgorzata, mam 53 lata, mieszkam z moją córką. Kiedy zadzwonił ojciec Zdzisław, który jest moim kierownikiem duchowym, i zapytał, czy wezmę udział w tym spotkaniu, to pierwsza moja odpowiedź była: tak, oczywiście. Potem przyszły wątpliwości. Są to bardzo emocjonalnie świeże doświadczenia, budzące ciągle rezonans w mojej duszy. Dlatego nie byłam pewna, czy dam radę mówić o tym, być czytelna i szczerą aż do bólu.

Mój mąż wyprowadził się 23 grudnia. Na początku grudnia zgłosiłam się do lekarza z narastającymi bólami karku, szyi, trudnościami mowy. Czułam się bardzo źle, rozbita, zmęczona, zniechęcona. Lekarz zbadał mnie i dał mi zwolnienie do końca roku. Bóle fizyczne minęły, ale ja czułam się coraz gorzej psychicznie. Zapadałam się w siebie, była to męka. Czułam, że się zmniejszam, kurczę, że nie mam ochoty na nic. Moje ciało to była tylko taka zewnętrzna powłoka, skorupa, w której grzechotał maleński orzeszek, nie – ziarenko, moja dusza. Czułam, że moje ciało, o które dbałam przez całe życie, uprawiałam sporty, ćwiczyłam jogę, nie należało już do mnie. A moja dusza, o którą nie dbałam, której nie karmiłam, właśnie umierała. Kiedy leżałam tak któregoś dnia, zniechęcona, a ból szarpał mnie od wewnątrz, weszła do mnie moja córka i powiedziała: „Mamo, sama nie dasz rady, módl się”. „No dobrze – powiedziałam – ale jak to mam robić, ja nie pamiętam, jak się modlić”. Dała mi różaniec i tekst wydrukowany z komputera na kartce. Nie wiedziałam do końca, jak brzmi Ojciec nasz, a przecież wychowana byłam w rodzinie katolickiej. Moja mama była bardzo religijna. Pamiętam, że od małego dziecka prowadziła nas do kościoła, pamiętam ten kościół, Msze Święte, pamiętam, jak dobrze się

tam czułam. Byłam dzieckiem bardzo ciekawym, żywym, inteligentnym, w kościele kręciłam się, wierciłam, musiałam wszystko obejrzeć, wszystkiemu się przyjrzeć. Uwielbiałam śpiewać i słuchać, jak wszyscy śpiewają, więc byłam za to karcona. Po wyjściu z kościoła moja mama karmiła mnie za moje zachowanie i ciągle zwracała mi uwagę. Była bardzo surową matką i pamiętam, że nigdy nie pochwaliła mnie za nic. Przez to zapamiętałam Boga mojego dzieciństwa jako kogoś bardzo surowego. To był Bóg mojej matki, surowy, który mnie tylko karci, który tylko czeka na moje potknięcie, moje błędy. Ja nie chciałam takiego Boga i zaczęłam od Niego uciekać. Bardzo szybko, kiedy dorastałam, zaczęłam robić wszystko to, co było zabronione, próbować, jak to jest. W którymś momencie po prostu Pana Boga unieważniłam. Poszłam za modą, ideologią, która mówiła mi, że jestem panią siebie. Do mnie należy moje ciało i mój umysł, dlatego rozwijałam umysł i ciało, ale nie duszę. O duszy zapomniałam. Wyszłam za mąż, urodziłam dwoje dzieci, nawet je ochrzciłam i poszły do Komunii Świętej. Byłam z nimi w kościele, ale robiłam to dla tradycji, no i żeby się zabezpieczyć na wszelki wypadek, a nie z wewnętrznej potrzeby. Tymczasem moje dzieci Pana Boga przyjęły w swoim sercu.

Kiedy przygotowywałam się do spowiedzi z całego mojego życia, a było to kilka miesięcy temu, zaczęłam się przyglądać mojemu życiu, mojemu odchodzeniu od Boga. Stwierdziłam, że przekroczyłam chyba wszystkie przykazania, popełniłam wszystkie zbrodnie przeciwko miłości Boga. Myślę, że stąd był ten ból i cierpienie. Ból mojej duszy, która nie była żywiona miłością Bożą i słowem Bożym. Nie wierzyłam w tę miłość, nie wierzyłam, że zasługuję na miłość, dlatego nie mogłam uwierzyć w miłość Boga. Pamiętam, jak jechałam w Wigilię z moją córką i jej przyjacielem, zapytałam się, czy mogę jechać z nimi do kościoła. Powiedzieli, że oczywiście. Przed wejściem do kościoła, mimo że bardzo chciałam tam wejść, spytałam ich, czy mogę wejść do kościoła, ja taka grzeszna. Wtedy przyjaciel mojej córki powiedział, że przecież kościół katolicki jest kościołem grzeszników. Nie mogłam w to jeszcze uwierzyć. Czułam się jak to dziecko, które pamiętałam sprzed pięćdziesięciu prawie laty. Uwierzyłam w to, że mogę tam wejść, bo kiedyś, kiedy leżałam pełna straszliwego lęku i bólu, w takim półśnie i ciemności widziałam siebie jako małą istotkę, maleńkie dziecko w otoczeniu

tej ciemności. Pamiętam, że strasznie płakałam i byłam całkiem zagubiona. Otaczał mnie nieprzyjazny, wrogi świat. Nie wiedziałam, gdzie mam pójść, w jakim kierunku i co ze sobą zrobić. To byłam ja, ten maleńki orzeszek, ta moja dusza biedna i zagubiona. I wtedy, pamiętam, rozjaśniła się ta ciemność i usłyszałam głos, poczułam, jakby ktoś podał mi rękę i powiedział do mnie: nie bój się, nie bój się więcej, jestem przy tobie. I zobaczyłam wtedy, że to jest mój Bóg, Ojciec, który mi zawsze towarzyszył. Wyczyniałam w życiu rzeczy straszne, oddalałam się od Niego na wszelkie możliwe sposoby, raniłam Jego miłość i siebie samą swoim postępowaniem. Ale On przyszedł do mnie i poznałam, że zawsze przy mnie był, jest i będzie. Kiedy leżałam zmorzona tym bólem i lękiem, kiedy myślałam, że moje życie już się kończy, choć fizycznie byłam zdrowa, mimo to wydawało mi się, że spadam w jakąś straszną przepaść. Teraz myślę, że to było po prostu piekło. Widziałam piekło. Byłam bliska mojej duchowej śmierci.

Po spowiedzi, pamiętam, bardzo się rozpłakałam. Ojciec Zdzisław był wtedy ze mną, płakałam jak dziecko, ale kiedy wyszłam, czułam się tak lekko, tak cudownie lekko, że po prostu wydawało mi się, że fruwać kilka metrów nad ziemią. Nie wiem, jak doszłam do domu. Byłam tak zachwycona, że mogłam oddać Bogu ten ciężar, że mogłam Go przeprosić. Dziękowałam Bogu za wszystko, za całe moje życie i za ten ból i za cierpienie i wszystkie doświadczenia i za wszystko to, co jest przede mną. Czułam, że wkroczywszy na tę drogę, już z niej nie zejść i że dopiero teraz otwiera się przede mną naprawdę ciekawe życie. Jestem wdzięczna Bogu za to, że to moja córka doprowadziła mnie do Niego i wskazała mi właściwą drogę. Dziękuję Panu, za całe moje życie, za wszystkie doświadczenia, które otworzyły mi oczy na to, że jestem Bożym dzieckiem. Dzięki Ci, Panie. W spokoju przyjmuję wszystko, co mi zesłałeś, zsyłasz i co zeslesz. Dzięki za wszystkich ludzi, których spotkałam i wydarzenia. Dzięki za wiarę i nowe życie, za pojednanie. Będę służyła Ci, Panie, ze wszystkich moich sił i talentów. Powierzam Ci wszystko, czym mnie obdarzyłeś, a co dostałam od Ciebie, Panie. Proszę tylko o miłość i wytrwałość w postanowieniu.

Monika Oczkowska

Moja droga do Pana Boga jest dosyć prosta, można powiedzieć – łatwa i przyjemna. Przeczytam opis drogi do Pana Boga, który bardzo mi się podoba, ks. Jana Twardowskiego:

Zaufałem drodze
wąskiej
takiej na łeb na szyję
z dziurami po kolana
takiej nie w porę jak w listopadzie spóźnione buraki
i wyszedłem na łąkę stała święta Agnieszka
nareszcie – powiedziała
- martwiłam się już
że poszedłeś inaczej
prościej
po asfalcie
autostradą do nieba – z nagrodą od ministra
i że Cię diabli wzięli.

Wychowałam się w rodzinie dość przeciętnej, jeśli chodzi o podejście do katolicyzmu. Moi rodzice przeżywali religię bardziej obzędowo niż duchowo. Również moi dziadkowie, którzy mieli duży wpływ na moje życie. Ktoś jednak zaszczerpił we mnie te silne podstawy wiary, choć niezbyt rozbudowane. W drodze do Pana Boga potrzebne są drogowaskazy, jak na każdej drodze. W dzieciństwie poznałam takie, które utkwiły we mnie mocno i pozwoliły mi iść prostą ścieżką. Poznałam Pana Boga, trochę takiego starotestamentowego. Boga Ojca sprawiedliwego, jakkolwiek karzącego, którego trochę się trzeba bać, a trochę trzeba kochać. Niestety to, że Pan Bóg mnie kocha, usłyszałam dosyć późno.

Potem przyszedł czas liceum, takiego trochę zawirowania i muszę przyznać, że pewnej stagnacji wiary z dzieciństwa. Wydawało mi się wtedy, że tę drogę do Pana Boga powinni mi pokazać inni – rodzice, katecheci, a tego brakowało. Niektórzy mówią, że to teraz jest tak źle z naszą wiarą i praktykami, a to nieprawda, bo wtedy, kiedy robiliśmy małe ankiety na różne tematy i przyszło pytanie, kto się jeszcze codziennie modli, to tylko ja się zgłosiłam. Miałam wtedy nadzieję, że po prostu parę osób wstydziło się przyznać, bo żeby

w całej klasie nikt się nie modlił, wydawało mi się zbyt smutne. Przyznaję jednak, że moja wiara w tym okresie była dosyć uboga.

Potem przyszły czasy studiów, zaczęło się trochę więcej zabaw, niektóre praktyki religijne odeszły w kąt, ale same zasady wybierania drogi zostały. Jestem wdzięczna, że ktoś, może moi dziadkowie, którzy w moim młodym wieku mieli na mnie duży wpływ, wpoił we mnie parę zasad, które po prostu cały czas są. Tak jak w komputerach podstawowe programy zapisane na stałe. Dopiero na studiach usłyszałam, że Pan Bóg też mnie kocha, trochę późno, jak na to, że żyję w kraju, gdzie podobno jest 90% katolików. Dopiero na studiach zaczęłam sama odkrywać Pana Boga. Zaczęłam uczestniczyć w spotkaniach ruchu Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego i szukać odpowiedzi na pytania, które nurtowały mnie od dzieciństwa. Na niektóre z tych pytań znalazłam odpowiedzi, na niektóre jeszcze nie. Wtedy doszłam do wniosku, że sama muszę zacząć czegoś szukać, że nikt za mnie tego nie robi, gdyż nie ludzie dookoła kształtują moją wiarę, tylko ja sama muszę się za to zabrać.

Na szczęście po wielu, wielu latach poszukiwań spotkałam Krzysztofa, człowieka, który spełniał wszystkie moje wyobrażenia dotyczące człowieka, z którym chcę się związać na resztę życia i to też jest dla mnie człowiek, który jest wyraźnym moim drogowskazem na drodze do Pana Boga i pomaga mi iść po niej. Najważniejsze jest dla mnie to, że mamy świadomość, że nasza droga do Pana Boga zależy przede wszystkim od nas samych. Nie ma co zrzucać na innych, że są tacy, a nie inni i nie ma co kierować się tym jak oni idą, bo to jest nasza droga i nie jest dla nas żadnym wytłumaczeniem, że inni zbaczają, to my też możemy.

Nasza droga do Pana Boga w małżeństwie jest bardziej zróżnicowana. Część drogi jest wspólna, część drogi pokonuje Krzyś sam i część ja sama. Staje się dzięki temu bogatsza.

Jeszcze o jednym chciałam powiedzieć, jeśli chodzi o moje poznawanie Pana Boga. Dopiero niedawno dotarła do mnie świadomość, że Bóg jest Trójcą Świętą. W dzieciństwie był dla mnie tylko Bóg Ojciec, potem, gdy zaczęłam uczestniczyć w ruchu związanym z Jezuitami, a oni są Towarzystwem Jezusowym, pokazali mi Syna Bożego. Niedawno, dzięki mojemu mężowi, zaczynam dostrzegać Ducha Świętego, który staje się dla mnie bardzo ważny, no i mam nadzieję, że na końcu tej drogi wszystko złoży mi się w całość.



Fot. 65. Jarosław Babicki (z mikrofonem), obok Małgorzata Balicka oraz Monika Oczkowska

Jarosław Babicki

Moja droga do pana Boga trwa. Jeszcze nią idę. Temat dzisiejszego spotkania stworzył mi konieczność spojrzenia na nią z perspektywy 47 lat, bo tyle udało mi się do tej pory przeżyć. Są na niej bardzo ważne „kamienie milowe”. Są to najczęściej ludzie, do których jestem bardzo przywiązany, których Bóg postawił przy mojej drodze, którzy wywarli największy wpływ na moje życiowe wybory.

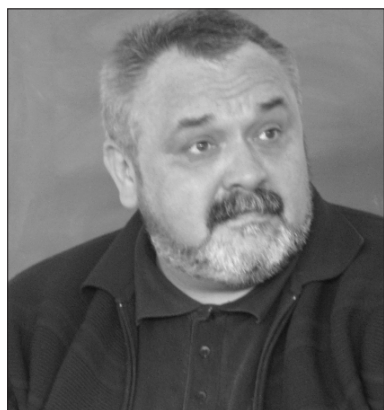
Pierwsi to byli oczywiście moi rodzice. Dziś tata ma 85 lat, mama 80, żyją obydwaj. Ich los był bardzo trudny. Ojciec był żołnierzem Armii Krajowej, przeżył dwa sowieckie łagry. Mama była zesłańcem do Kazachstanu, Bogu dzięki przeżyła i wróciła. W takiej właśnie atmosferze zaufania Bogu wzrastałem jako dzieciak. Przy takich życiorysach moich rodziców jak mogę nie wierzyć w Bożą Opatrzność.

Na tej drodze byli też kapłani, z których kilku wspominam jako moje drogowskazy, czy raczej „niebowskazy”, pokazujące drogę do Pana Boga. Jednym z nich był ksiądz Józef, opiekun ministrantów z mojej parafii. Próbował nas przerobić na rycerzy Pana Boga, a była to w tym czasie formuła bardzo chwytliwa dla młodych ludzi i dla dzieci, które oglądały wówczas w telewizji „Pana Wołodyjowskie-

go”, czy zaczynały czytać „Trylogię”. Ksiądz Józef, wspaniały człowiek, który nie odpuszczał nam nigdy i zawsze starał się doprowadzić sprawy do końca. Powiem o jeszcze jednym księdzu, który był moderatorem ruchu Światło Życie, popularnej Oazy. Ksiądz Jan był bardzo zawzięty i wytrwały, żeby mnie do wyjazdu na Oazę namówić. Nie ustawał, prosił. Dziś uważam, że to właściwa forma nacisku na młodych ludzi. Nie ustawać, męczyć, a wtedy, jeśli nie wszyscy, to wielu z nich ulegnie ku dobru. Bardzo mu za to dziś dziękuję, ponieważ taką właśnie postawą zachęcił mnie do wyjazdu, a tam bardzo dużo ważnego się wydarzyło. To był rok wyboru Karola Wojtyły na papieża, w tym roku poznałem dziewczynę, która potem stała się moją żoną. Poznałem ją właśnie na tej Oazie. Mnóstwo ważnych rzeczy zaczęło się od tamtej pory dziać. W ruchu Światło Życie pokazano mi Pismo Święte, którego wcześniej nie dostrzegałem. Dostałem wprawdzie na Pierwszą Komunię Świętą ładny egzemplarz Nowego Testamentu, ale wcześniej rzadko do niego zaglądałem. A w szkole średniej Pismo Święte jako księga – drogowskaz bardzo mi się przydało. Do dziś pamiętam mnóstwo cytatów z Biblii, które wtedy właśnie stały się dla mnie bardzo istotne. W późniejszych latach rzadziej sięgałem do Biblii, ale wtedy było to bardzo intensywne czytanie.

Ponieważ jesteśmy na uczelni, pomiędzy młodymi ludźmi, gorąco Państwa zachęcam: czytajcie Pismo Święte. Jest to Objawienie Boże. Pan Bóg przyszedł na Ziemię w postaci cielesnej, jako Chrystus Zbawiciel, który potem zmarł na krzyżu, ale też przyszedł i pozostał w postaci Słowa. Tak nas uczą i tak jest.

Potem przyszły lata studiów, kiedy nauczanie i spotkania z Janem Pawłem II, gdy przyjeżdżał do Ojczyzny, były dla mnie bardzo ważne. Jego wizyty w Polsce stały się dla mnie następnymi kamieniami milowymi. Udało mi się uczestniczyć w kilku z nim spotkaniach. Być może, że spotkania te nie pozostawiły we mnie bardzo głębokich śladów, ale emocje i te chwile spędzone w tłumie, solidarnym tłumie, były bardzo ważnymi momentami



Fot. 66. Jarosław Babicki

w życiu. Również piesze akademickie pielgrzymki z Warszawy na Jasną Górę. W 1983 roku ożeniłem się z tą właśnie dziewczyną, którą poznałem na Oazie. Minęło ponad 25 lat, bardzo ją kocham, mamy troje dzieci. Żona, dzieci, małżeństwo są moimi wielkimi kamieniem milowymi na drodze do Pana Boga.

W okresie studenckim nie włączałem się do żadnej grupy religijnej czy aktywności kościelnej. Dopiero około dziesięciu lat temu, zachęceni przez mojego przyjaciela, księdza Bernarda, pojechaliśmy z żoną na rekolekcje ruchu Rodzin Nazaretańskich, który to ruch okazał się dla mnie bardzo ważny. Praktycznie dopiero tam dowiedziałem się, że Pan Bóg jest miłością. Przez trzydzieści wcześniejszych lat śpiewałem: „Bóg jest miłością, zbawieniem duszy” itd., ale przez myśl mi nie przeszło, że prawdziwie Bóg jest miłością i że to jest Jego główna cecha, a nie to, że jest sędzią, nawet, jeśli sędzią sprawiedliwym. Nawet, jeżeli jest sędzią, to jest sędzią kochającym, czyli Kimś, kto przede wszystkim nas kocha. Dopiero po rekolekcjach RRN stało się to dla mnie bardzo jasne, proste i klarowne. Od tamtego czasu nie mam żadnych pretensji do Pana Boga, bo skoro jest miłością, skoro nas kocha, to nie robi nic, co mogłoby być dla nas niedobre. Więc te wszystkie przedwczesne odejścia naszych bliskich, znajomych, te wszystkie wypadki drogowe czy tragedie, które się zdarzają, to nie jest wina Pana Boga. On daje nam to, co jest dla nas najlepsze i to jest Jego plan, Jego myśl. To jest ta prawda, którą poznałem i która wywiera na mnie duży wpływ. To jest dar Boży, dostałem to jako Objawienie, poprzez rozum, bo zrozumiałem to, a nie pojąłem oczami wiary. Tu nie ma nic do wierzenia, taka jest prawda. W ruchu Rodzin Nazaretańskich, który przez niektórych jest ostatnio dość niesprawiedliwie oceniany, ja sam doświadczyłem samego dobra. Tam nic złego nie zdarzyło się ani ze mną, ani z moją duszą, ani z moim ciałem, ani z żadnym z moich przyjaciół. Do dziś uważam, że doświadczona w tym ruchu refleksja religijna rozpoczęła bardzo ważną drogę w moim życiu.

Czego ciekawego dowiedziałem się jeszcze podczas spotkań i konferencji w ruchu Rodzin Nazaretańskich? Że zbawienie już się dokonało. Często słyszymy od ludzi, że zasługują sobie na zbawienie przez dobre uczynki. Pojąłem tam, że Pan Bóg już nas zbawił, to już jest zrobione. Teraz trzeba tylko uwierzyć i przyjąć to. Oczywiście z tej wiary i z tego wyboru wynikają ważne konsekwencje.

Potrzebne są dobre uczynki. Wiara bez uczynków jest martwa. W ciągu życia robimy różne dziwne rzeczy, ale mimo to Bóg nas kocha, mimo to jesteśmy już zbawieni. Trzeba po prostu w to uwierzyć, przyjąć Jego miłosierdzie, zaufać Panu Bogu.

Ruch Rodzin Nazaretańskich to również stałe spowiednictwo, jeżeli ktoś sobie oczywiście go życzy. Nie ma takiego wymogu. Moim spowiednikiem został mój przyjaciel z lat szkolnych, z którym przez długie lata robiliśmy mnóstwo ciekawych rzeczy, ale rzadko rozmawialiśmy o Panu Bogu. Jest to ksiądz, który przeżył nawrócenie i wiele zawdzięcza ruchowi Rodzin Nazaretańskich. Dzisiaj siedzi, pokazuje innym drogę i „niebowski”. A propos słówka „niebowski”. Ksiądz Bernard pisze do naszych tygodników, które wydajemy w województwie Świętokrzyskim i jeden na Mazowszu, stały felieton religijny pod tytułem „Niebowski”. To on mnie nauczył kilku ważnych reguł, np. że jeśli nie czuję żalu za grzech, to żebym chociaż żałował, że nie żałuję. Jest to dla mnie ważna myśl i często do niej wracam. Nie mogę myśleć o żadnej mojej własnej zasłudze na ziemskiej drodze do Pana Boga, że coś sam zrobiłem, bo sam to ja mogę co najwyżej grzeszyć. Jeśli cokolwiek dobrego się dzieje przez moje mówienie, pisanie i działanie, to dzięki Bogu. To jest kolejna myśl, która jest kamieniem milowym na mojej drodze do Pana Boga. Bardzo dziękuję Bogu za te wszystkie kamienie milowe, które wymieniałem.

Jeszcze mam kłopot z miłością do Pana Boga. On powiedział: miłuj Pana Boga swego z całego serca, z całej duszy swojej. A ja nie wiem, czy ja Pana Boga miłuję. Jeżeli się kogoś miłuje, to się chce z nim być jak najczęściej, chce się z nim rozmawiać. Jeśli się kogoś kocha, to się chce dla niego jak najlepiej, a ja o Nim bardzo rzadko myślę, rzadko z nim rozmawiam. Wtedy pozostaje to drugie przykazanie – miłuj bliźniego swego jak siebie samego i jeszcze słowa Pana Jezusa – cokolwiek uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili. Czyli ludzi, z którymi przyszło mi żyć, muszę kochać i im czynić dobro. A przez to Kocham Pana Boga. On jest w ludziach, w wydarzeniach, we wszystkim, co mnie otacza i to dostrzegam i za to Mu dziękuję.

Zenon Kosicki

Bardzo jest mi miło z powodu zaproszenia na Konwersatorium, a miło jest mi z dwóch powodów. Bardzo lubię mówić o swojej drodze do Pana Jezusa, a po drugie, że przez dwa lata mieszkałem nie-



Fot. 67. Zenon Kosicki (z mikrofonem)

daleko i był to bardzo szczęśliwy dla mnie okres. Był to okres mojego narzeczeństwa.

Moje życie jest spięte klamrą Pisma Świętego, tak jak i moja droga do Pana Jezusa jest drogą poprzez Pismo Święte. Gdy miałem osiem lat i miałem przystąpić do pierwszej Komunii Świętej, okazało się, że jeszcze nie byłem ochrzczone. Moja mama pilnie mnie wtedy ochrzciła. Pamiętam dobrze swój chrzest, było to dla mnie wielkie wydarzenie. Na religii, na którą chodziłem, mieliśmy ciekawe podręczniki z fragmentami z Pisma Świętego, głównie ze Starego Testamentu. Postacie tam występujące bardzo mnie pociągały. Po pierwszej Komunii Świętej poprosiłem swoją chrzestną, która była osobą wierzącą i miała w domu Pismo Święte (u mnie w domu go nie było), żeby mi je pożyczyła. Patrząc na mnie spytała: „czy ty na pewno będziesz je czytał?” Zapewniłem ją, że bardzo mnie pociągają historie o Dawidzie czy o Samsonie i o innych równie bohaterskich ludziach. To mnie bardzo ciekawi i bardzo mi się

podoba. Zacząłem je czytać, od początku, bo byłem bardzo ciekawy, od czego się zaczęło. Chyba przy Księdze Liczb zrezygnowałem, bo było to dla mnie zbyt skomplikowane i trudne. Oddałem Pismo Święte, już dalej nie czytając. Był to pierwszy mój z nim kontakt.

Potem była długo pustka. Jezus i sprawy religijne zeszły na plan dalszy. Jestem z tego pokolenia, w którym w ósmej klasie przystępowało się do bierzmowania. Pochodzę z małego miasta, gdzie – taki był obyczaj – hurmem się szło do bierzmowania i nikt nie sprawdzał poziomu wiedzy i wiary. Pamiętam, że po bierzmowaniu dostrzegłem, że tak naprawdę jestem osobą niewierzącą i powinienem określić się w stosunku do Kościoła, do wiary, do tradycji itp. Uznając się za osobę niewierzącą, przestałem chodzić na religię i do kościoła, choć wcześniej też rzadko chodziłem. Uczestniczyłem w rekolekcjach dwa razy w roku, aby w szkole nie pytali, dlaczego nie byłem.

Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że moim grzechem jest brak wiary w Pana Boga, a wydawało mi się, że odzyskałem pełną wolność. To był okres, kiedy przechodziłem z podstawówki do liceum i bardzo byłem zafascynowany muzyką heavy-metal. Była połowa lat osiemdziesiątych i byłem zaangażowany w ruch punkowy, byłem perkusistą w zespole punkowym i to wszystko miało dla mnie większe znaczenie niż Pan Jezus. Teraz widzę, że na dnie mojego serca była stała chęć, żeby odnaleźć sens życia, określić się w tym życiu. Niestety te moje pragnienia szybko się wyczerpywały, uczestniczyłem wtedy w różnych subkulturach, które wypełniały moje życie. Zaangażowałem się w działania polityczne, zmieniałem studia. Wtedy trzeba było studiować, bo inaczej brali do wojska.

Trwało to tak do pewnego momentu, kiedy spotkałem ludzi z ruchu Świadomości Kriszna, w którym angażowali się moi koledzy i namawiali mnie do włączenia się do tego ruchu. Dostałem od nich książkę, która była zatytułowana „Źródłem życia jest życie”. Nie bardzo chciało mi się jej czytać, choć zawsze byłem ciekawy wschodnich religii. Kiedy zacząłem czytać (z perspektywy czasu myślę, że nie była to zbyt mądra książka), zafascynowała mnie przedstawiona tam teza, że w przyrodzie nic się nie rodzi z pustki, że jest zawsze jakiś początek. Przyszło mi wtedy na myśl, że Pan Bóg objawił się w moim życiu jako byt, który jest prapoczątkiem

wszystkiego. To było takie pierwsze świadome zetknięcie się z Bogiem. Zacząłem się angażować w ruch Świadomości Kriszny, uważając, że skoro w tym ruchu dostałem pierwszy sygnał, że Pan Bóg istnieje, to trzeba zacząć czytać ich pisma. W tym ruchu ciągle się mówi, że ich nauka jest zgodna z Biblią. Postanowiłem sam to sprawdzić, czy tak rzeczywiście jest. Im więcej zagłębiałem się w Ewangelię, tym wyraźniej widziałem, że istnieje wyraźny dysonans między tymi dwiema księgami. O ile czytając Bhagawadgita, widziałem Boga surowego, który jest w stanie ukarać za najdrobniejsze nawet przewinienie, o tyle Jezus z Ewangelii przyszedł na świat nie po to, żeby go potępić, ale żeby go zbawić. W cytowanych pismach jest napisane, że jeżeli zje się coś nieczystego, to człowiek "zaciąga karę negatywną", a przecież Jezus mówił, że wszystko, co nieczyste pochodzi z wnętrza człowieka. Byłem ogromnie zagubiony i ciągle pytałem zaangażowanych członków ruchu, czy mogą mi to wyjaśnić. Nie dając odpowiedzi, odsyłano mnie do "mądrzejszych". Ponieważ ich nie znalazłem, postanowiłem zrobić test, który zdecyduje, czy zaangażuję się w całości, czy odejdę. Pojechałem do świątyni ruchu Kriszna, która jest w Karkonoszach, gdzie po trzech dniach zobaczyłem całą nieprawdę, którą dotychczas żyłem. Widziałem ludzi, którzy tam byli i stwierdziłem, że nie mogę się w to angażować, bo nie ma w tym autentyczności. Pewnego wieczoru zobaczyłem człowieka, który prowadził pod pistoletem innego. Podjąłem wtedy ostateczną decyzję, że nie jest to droga dla mnie.

Wkrótce poznałem ludzi, którzy – jak się okazało – byli wierzącymi chrześcijanami i wybierali się na akademicką pielgrzymkę na Jasną Górę. Ponieważ nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, postanowiłem pojechać i do nich dołączyć. Spotkałem tam koleżankę, która mnie zapytała, czy nie chciałbym pójść na Apel. Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, ale postanowiłem pójść, gdyż dziewczyna mi się podobała. Dopiero jak poszedłem, okazało się, że jest to wspólna modlitwa, w czasie której ludzie modlą się własnymi słowami. Pamiętam, kiedy modliła się jakaś kobieta, że poczułem, iż słowa, które ona wypowiadała, były jakby o moim życiu. Zacząłem włączać się w tę modlitwę. Wtedy po raz pierwszy w życiu własnymi słowami zwracałem się do Pana Boga. Mówiłem Mu, że mam już dosyć takiego życia, że nie wiem, jaki jest jego sens, do czego zmierzam, czego chcę i jeżeli Jezus jest taki, jak w Ewangelii, to

proszę, aby przyszedł do mnie. No i Pan Jezus przyszedł. To było tak niezwykle doznanie, że, mimo iż od tamtej pory minęło szesnaście lat, pamiętam je doskonale i do dziś stanowi fundament mojej wiary. To było doznanie na wszystkich płaszczyznach: fizycznej, psychicznej i duchowej. Jak wyszedłem z Apelu, wiedziałem, że jestem zupełnie innym człowiekiem. Jezus rzeczywiście przyszedł i objawił mi się jako ten, który rzeczywiście kocha mnie takiego, jaki jestem. Nie muszę niczego udawać, nie muszę niczego grać. On mnie kocha. To był kolejny etap naznaczony też przez Pismo Święte. Od tamtej pory zacząłem czytać Pismo Święte i modlić się nim.

Chciałbym powiedzieć jeszcze o kolejnym etapie, który nastąpił w moim życiu, mniej więcej w dwa lata po moim ślubie, już po narodzeniu mojego pierwszego dziecka. Bardzo chciałem być dobrym ojcem i mężem. W tym czasie u mojej żony ujawniła się bardzo rzadka genetyczna choroba krwi, która stanowiła duże zagrożenie dla jej życia. Jakoś nie mogłem sobie poradzić z tą nową rzeczywistością. Wtedy poczułem, że moja rodzina, jak i całe moje życie, jest wyłącznie na moich barkach. Jakbym całkiem zgubił świadomość Bożej Opatrzności, która towarzyszyła mi przez ostatnie kilkanaście lat. Zacząłem się znowu od Pana Boga oddalać. Czytanie Pisma Świętego zeszło na plan dalszy, czytałem je coraz rzadziej, gdzieś tam pod wieczór, gdy już byłem zmęczony. Zacząłem tak o własnych siłach próbować sam siebie zbawiać, choć nie za bardzo mi to wychodziło. Dochodziło do konfliktów między mną i moją żoną, a także z innymi osobami. W tym czasie, pierwszy raz w moim życiu, pojawiła się stabilizacja finansowa, nie musiałem się martwić o to, jak dotrwać do końca miesiąca. Było dosyć swobodnie, mogliśmy sobie na różne rzeczy pozwolić. Zacząłem zaznawać tzw. świętego spokoju. Równocześnie wiele rzeczy mi nie pasowało, czułem pustkę życia. Pewnego razu poszedłem na Mszę Świętą do naszego kościoła. Kazanie mówił wtedy jakiś misjonarz z Ukrainy. Było proste, nic specjalnego w nim nie było poza jednym zdaniem, że czasem warto zaprzeczyć swojej wierze, żeby wrócić do Pana Boga. I wtedy uświadomiłem sobie, że ja chyba jestem niewierzący. To wszystko, co robię, moje różne działania, moje deklaracje, że wierzę, dbanie o życie religijne w domu, chodzenie do kościoła, modlitwa wspólna z żoną, jest całkowicie zewnętrzne. Nie ma w tym miłości między mną a Jezusem i nie ma prawdziwej rela-

cji między nami. To był wielki wstrząs dla mnie. Wróciłem do domu i powiedziałem żonie: "Słuchaj, ja jestem niewierzący". Popatrzyła na mnie jak na wariata, ale trochę się przestraszyła. To był początek mojego nowego nawrócenia. Znowu wróciłem do Biblii, do tego podstawowego źródła, które daje mnie osobiście i myślę, że wszystkim chrześcijanom, taką prawdziwą moc do życia. Jeżeli nie czytam i nie rozważam Biblii, to bardzo szybko zapominam o Jezusie i jaki On jest naprawdę. Zapominam, jak On działał w różnych sytuacjach i zaczynam działać po swojemu, czyli tak naprawdę odwracam się od Niego. Opanowuje mnie znowu moja wygoda i moje lenistwo. Jeśli się wiele lat bez Pana Boga żyło, to trudno nagle te stare przyzwyczajenia zgubić. Dlatego dla mnie bardzo ważne jest to, żeby regularnie czytać Pismo Święte i je rozważać, a przede wszystkim, żeby się nim modlić. Przyjąć, że to jest rzeczywiście słowo Jezusa dla mnie. Jeżeli nie czytamy Słowa Bożego, to szybko zapominamy o Jezusie, chociaż On na szczęście o nas nie zapomina i za co Mu dziękuję.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska -Dowgiałło

Przedstawione dziś świadectwa pokazują nam, jak różne są drogi do Pana Boga, a jeszcze są dziesiątki innych, bo każdy ma swoją indywidualną ścieżkę. Jeszcze mamy parę minut na krótkie świadectwa.

Zbigniew Witecki

Zastanawiając się nad moją drogą do Pana Boga, dziękuję Mu, że już jest bliska końca. Nie mogę się już doczekać, najbardziej tego, kiedy wreszcie przed Nim stanę i kiedy będę w Jego światłości, bo wierzę, że dojdę do Niego. On mnie nigdy nie odrzucił, bo przede wszystkim jest miłosierny. Od Boga nigdy daleko nie odchodziłem, a łatwiej mi było dlatego, że w dzieciństwie przeżyłem cud uzdrowienia. W wieku dziewięciu lat miałem ciężki wypadek. Lekarze byli pewni, że nie przeżyję, a jeżeli nawet, to będę ciężko upośledzony. Dzięki Bogu, nic się z tego nie zrealizowało. Dało mi to, już od małego, świadomość, że Bóg jest, że czuwa i że nie jestem

Mu obojętny. To uchroniło mnie od dalekich odejść, a w sytuacjach, kiedy potrzebowałem pomocy, pozwoliło spotkać wspianego kapłana, ojca duchowego i przyjaciela, który pomógł mi przejść przez trudny, nastolatkowy okres. Jak czułem samotność swojej egzystencji, postawił na mojej drodze dziewczynę, mój ideał, która stała się moją żoną.

Zauważyłem natomiast, że mimo, iż człowiek idzie z Bogiem i daleko się od Niego nie oddala, to może tak bardzo zagłębić się w życie, w problemy, które go przytłaczają, że przestaje iść z Nim. Wielokrotnie takie trudne doświadczenia miałem, na przykład, kiedy przechodziłem kryzys końca wieku młodzieńczego i kiedy nie widziałem sensu, nie widziałem żadnej możliwości dalszego swojego rozwoju. Patrząc z zewnątrz, wszystko było w porządku, żona, dzieci, studia itd. Jednak ja nie widziałem dalszej drogi dla siebie. Bóg mnie jednak nie zostawił. Wrócił do mnie, zlikwidował mój ból i powiedział – wstań, popatrz, wszystko masz, wszystko jest możliwe. Pomocy Bożej doświadczałem wielokrotnie, przez różne rekolekcje, wspólnoty, różne sytuacje i przez spotkanych ludzi i dalej dzieje się to bezustannie.

Elżbieta Mycielska – Dowgiałło

W okresie lat młodzieńczych było dla mnie oczywiste, że moja droga jest z Panem Bogiem. Rodziców miałam głęboko wierzących i praktykujących, wychowujących nas głównie swoim przykładem, równocześnie dających nam dużo wolnej przestrzeni. Z moim starszym bratem jeździliśmy zawsze w zimie na narty. Pamiętam, że niezależnie od tego, jak daleko było do kościoła, staraliśmy się być zawsze na Mszy Świętej w niedzielę. Czasem zajmowało nam to nawet parę godzin drogi, lecz dla nas było zupełnie oczywiste, że w niedzielę trzeba uczestniczyć we Mszy Świętej. Również pacierz odmawiany rano i wieczorem był oczywistością. Ten model był tak mocno we mnie zakorzeniony, że nie uległ zmianie ani w czasie studiów, ani potem, gdy opuściłam dom rodzinny i zaczęłam życie na własny rachunek. W życiu oczywiście są różne okresy, o różnej temperaturze uczuć, również w stosunku do Pana Boga, ale ugruntowany model nie pozwala zboczyć z drogi. W ciągu życia, na skutek różnych doświadczeń i różnych sytuacji życiowych, człowiek stale dojrzewa i zmienia się też często jego kontakt z Panem Bo-

giem. W moim życiu, z biegiem lat, kontakt ten stał się bardziej osobisty. Już nie są mi konieczne wyuczone teksty modlitw, modłę się często własnymi słowami, prosząc i dziękując. Dawniej więcej prosiłam, a mniej dziękowałam, teraz jest na odwrót. Znacznie wyraźniej widzę ogrom otrzymywanych darów.

Jacek Waksmundzki

Wychowałem się w rodzinie katolickiej, głęboko wierzącej i praktykującej, ale moim problemem było to, że religijność moich rodziców była bardzo silnie związana z religijnością ludową, która



Fot. 68. Jacek Waksmundzki, po jego lewej stronie Wojciech Rachuba

była bardzo dobra, prosta, ale bardziej emocjonalna niż intelektualna, a ja wchodziłem w nowy świat. Mieszkiałem wtedy w Riwierze, domu akademickim, jako student Politechniki Warszawskiej i byłem związany z duszpasterstwem akademickim przy parafii Świętego Zbawiciela. Tam spotkałem księdza Tadeusza Dajczera, późniejszego animatora ruchu Rodzin Nazaretańskich.

Dzisiaj obecność Boga odczuwam przede wszystkim w tym, że Bóg mi nieustannie pomaga. Bardzo często jestem w takich sytuacjach, że muszę prosić Boga o pomoc, żebym wiedział, co mam zrobić. Sprawy, którymi się zajmuję, są nieraz bardzo skomplikowane. Oprócz tego, że trzeba czytać Pismo Święte, to trzeba się modlić, po prostu się modlić.

Wojciech Rachuba

W swoim życiu spotkałem kilka osób, które próbowały mi wskazać drogę do Pana Boga, ale jedną zapamiętałem szczególnie. Był to mój były pracodawca. Powiedział mi – nic się nie przejmuj, na tamtym świecie są dwie rzeczy, z których jedna się kończy, a druga nigdy się nie skończy. Tą rzeczą, która się kończy, to kara czyścowa, a tą, która się nigdy nie skończy, to miłosierdzie Boże.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

W zastępstwie księdza Adama Zelgi pragnę zakończyć to ostatnie w tym roku akademickim spotkanie i serdecznie podziękować za Państwa świadectwa, bardzo głębokie i osobiste. Z mojego doświadczenia wiem, że tego typu wypowiedzi są ziarnem, które może dziś, a może kiedyś, w przyszłości wykiełkuje i wyda owoce.

Następnym razem spotkamy się w trzecią sobotę października. Serdecznie wszystkich Państwa zapraszam.

Z nagrania spisała Hanna Rembertowicz